

# ROBERTLOUISSTEVENSON

WYSPA SKARBÓW

SCAN<sub>-DAL</sub>

## DO WAHAJĄCEGO SIĘ NABYWCY

*Jeśli żeglarskie pieśni i gawędy*

*Żyją dziś z przygód przeróżnych się splótłszy*

*Jeśli okręty, wyspy, burz zapędy,*

*Ukryte skarby oraz morscy łotrzy*

*I wszystkie baśnie klecone trzy po trzy*

*Na stary temat - zabawią mądrzejszą,*

*Od starych dziadów młodzież terazniejszą*

*Jak mnie bawiły, kiedy byłem młodszy...*

*Niechaj tak będzie! A jeśli się mylę*

*I młódź się dawnych swych mistrzów wypiera,*

*Jeśli zachwyków już nie budzą tyle*

*Kingston, Ballantyne o niezłomnej sile*

*Lub morsko-leśne powieści Coopera...*

*Niech i tak będzie!... Może spoczne właśnie*

*Wraz z korsarzami mymi w tej mogile,*

*Gdzie dawno leżą - oni i ich baśnie...*

R. L. S.

**Część Pierwsza**

**STARY KORSARZ**

## Stary wilk morski w gospodzie „Pod Admiralem Benbow”

Kilka osób, między innymi JW Pan Trelawney i doktor Livesey, zwracało się do mnie z prośbą, żebym spisał od początku do końca wszystkie szczegóły i zdarzenia odnoszące się do Wyspy Skarbów, nie pomijając niczego oprócz położenia samej wyspy, a to dlatego, że znajduje się tam skarb dotychczas jeszcze nie wydobyty. A więc dziś, roku Pańskiego 17..., biorę pióro do ręki i cofam się do czasów, gdy mój ojciec prowadził gospodę „Pod Admiralem Benbow” i gdy pod naszym dachem rozgościł się stary, ogorzały marynarz z blizną od szabli.

Dokładnie, jakby to było wczoraj, pamiętam tę chwilę, gdy ów człowiek przywłókł się przed drzwi gospody, a za nim przytarabaniła się na wózku ręcznym jego skrzynia marynarska. Był to mężczyzna rostry, muskularny, o orzechowobrunatnej, ponurej twarzy. Na barki, przyodziane w brudny, niegdyś błękitny kubrak, spadał mu harcap jakby w dziegciu unurzany. Ręce chropawe i popękane kończyły się czarnymi i połamanymi paznokciami, w poprzek policzka blade przeświecała brudnosina kresa - znak od szabli. Pamiętam, jak rozglądał się dokoła po zatoce i według swego zwyczaju pogwizdywał, aż wybuchnął głośno starą piosenką żeglarską, którą później śpiewał tak często:

*Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni –*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

Głos miał przeraźliwy, choć trzęsący się od starości; rzekłbyś, że go strojono i stargano na kołowrocie kotwicy.

Po chwili zapukał do drzwi jakimś podobnym do kłonicy drągiem, którym się podpierał, a kiedy się ukazał mój ojciec, szorstkim głosem zażądał szklanki rumu. Gdy mu ją przyniesiono, zaczął pić powoli, jak smakosz, delektując się każdym łykiem, a przy tym ciągle spozierając na skały wokoło i na szyld naszej karczmy.

- Wygodna zatoka - przemówił w końcu - a karczma pięknie położona. Dużo miewacie gości, kamracie?

Ojciec odpowiedział, że bardzo niewiele, niestety.

- Doskonale! - rzekł przybysz. - To wymarzona przystań dla mnie! Hej no, człowieku! - zawołał na tego, który przywiózł jego rzeczy. - Chodź no ze mną na górę i przyturgaj walizę!

I ciągnął dalej:

- Zatrzymam się tu czas jakiś. Jestem człowiekiem skromnych wymagań. Do szczęścia wystarczy mi rum, boczek i jaja, no i głowa na karku, żebym mógł wypatrywać okręty na morzu. Jak macie mnie tytułować? Wolno wam nazywać mnie kapitanem. Ech, już widzę, jak wam bardzo chodzi - o to...

Rzucił na próg kilka złotych monet.

- Kiedy już to wszystko przejem i przepiję, to mi powiedzcie! - rzekł spoglądając tak surowo, jakby był naszym zwierchnikiem.

W istocie, mimo kiepskiego odzienia i niewytwornego sposobu wyrażania się, nie miał wyglądu ciury okrętowego, lecz znać po nim było starszego marynarza czy szypra, przyzwyczajonego do znajdowania posłuchu lub walki. Człowiek, który przybył z wózkiem, opowiedział nam, że ów gość poprzedniego dnia wysiadł z dyliżansu przed „Royal Georgem” i wypytywał, jakie gospody znajdują się na naszym wybrzeżu; ponieważ jak przypuszczam, o naszej gospodzie mówiono dobrze i wspomniano, że leży na uboczu, wybrał ją na miejsce zamieszkania. Tylko tyle zdołaliśmy dowiedzieć się o naszym gościu.

Był to człowiek zazwyczaj bardzo milczący. Po całych dniach przebywał nad zatoką lub na skałach, z mosiężną lunetą. Co wieczór przesiadywał koło ognia w kącie pokoju gościnnego i popijał zawzięcie rum rozcieńczony wodą. Przeważnie nie odzywał się, gdy go zagadywano; rzucał wówczas spojrzenie nagłe i surowe i fukał przez nos jak róg okrętowy używany podczas mgły. Niebawem, jak my, tak i ludzie, którzy bywali w naszym domu, przekonali się, że należy go zostawić w spokoju. Co dzień, gdy wracał z włóczęgi, pytał, czy nie przechodzili gościncem jacy podróżnicy morscy. Zrazu myśleliśmy, że tęskni za ludźmi tego samego pokroju i dlatego wciąż o to pyta, później jednak zauważyliśmy, że właśnie od nich stronił. Ilekroć jakiś marynarz wstąpił pod „Admirała Benbow” (a czynili to od czasu do czasu niektórzy wybierając się do Bristolu drogą nadmorską), kapitan zawsze przyglądał mu się przez zasłonięte drzwi, zanim wszedł do izby gościennej; w obecności takiego człowieka zawsze siedział cicho jak trusia. Co do tego przynajmniej ja nie miałem wątpliwości, gdyż do pewnego stopnia sam podzielałem niepokój kapitana. Razu pewnego wziął mnie na ubocze i obiecał, że co miesiąc na pierwszego będzie mi wypłacał srebrne cztery pensy, jeżeli będę czatował na żeglarza z jedną nogą i natychmiast dam mu znać, skoro przybędzie. Dość często, gdy z nadejściem pierwszego dnia miesiąca dopominałem się o swą należność, fukał przez nos i przeszywał mnie pogardliwym wzrokiem, lecz nim upłynął tydzień, już jakby się rozmyślił, przynosił mi cztery pensy i powtarzał zlecenie, bym wypatrywał żeglarza o jednej nodze.

Nie będę długo opowiadał jak ta osobistość prześladowała mnie nieraz we śnie. W burzliwe noce, gdy wichura wstrząsała wszystkimi czterema węglami domu, a bałwany morskie z hukiem rozbijały się na skałach zatoki, widywałem tę zjawę w tysiącnych postaciach i z tysiącnymi diabelskimi grymasami. Raz ów żeglarz miał nogę obciętą w kolanie, to znów w biodrze; kiedy indziej był jakąś przerażającą poczwarą, która miała od urodzenia tylko jedną nogę, i to w samym środku ciała. Patrząc, jak skakał, biegał i gonił za mną przez płoty i rowy, było najgorszą zmorą. Krótko mówiąc, wobec tych strasznych widziadeł ciężko przychodziło mi zarabiać moje cztery pensy miesięcznie.

Jednakowoż choć tak mnie trwożyła sama myśl o żeglarzu zjedną nogą, to samego kapitana bałem się o wiele mniej niż ktokolwiek z tych, którzy go znali. Bywały takie wieczory, że uraczył się nad mierną ilością rumu z wodą, ponad wytrzymałość jego głowy; wtedy zazwyczaj siedział i śpiewał jakieś wariackie, stare i dzikie pieśni marynarskie, nie zważając na nikogo. Niekiedy jednak kazał wokoło zastawić szklanki i zmuszał całe zalękłe towarzystwo do słuchania swych gawęd lub wtórowania chórem jego pieśniom. Często słyszałem, jak dom trząsł się od przyśpiewki: „*Jo-ho-ho!*”

*i butelka rumu!*” Wszyscy stołownicy z obawy o swe cenne życie przyłączali się do tego chóru i w śmiertelnym strachu, starali się zagłuszyć jeden drugiego, byle się nie wyróżniać. Podczas bowiem tych ataków kapitan był towarzyszem najniepoczytalniejszym w świecie. Tłukł ręką w stół, aby uciszyć zebranych, skakał jak opętany unosząc się gniewem na niewczesne pytanie albo też odwrotnie, gdy nie zadawano mu pytań - jedno i drugie uważał za dowód, że obecni nie dość uważnie słuchali jego opowieści. Nikomu nie pozwalał opuszczać gospody, póki sam, zmorzony trunkiem, nie potoczył się do łóżka.

Najwięcej z wszystkiego jednak przerażały nas jego opowiadania. Były to potworne bajania: o wisielcach, o strącaniu skazańców w morze, o burzach morskich, o skwarnych Wyspach Żółwich, o okropnych, dzikich czynach i zakamarkach w Zatoce Meksykańskiej. Zmiarkować z tego było można, że musiał spędzać życie pośród najgorszych ludzi, jakim Bóg zezwolił pływać po morzu, język zaś, w którym opowiadał te wszystkie niestworzone dzieje, przejmował prostaczków wiejskich nie mniejszym dreszczem niż zbrodnie, które opisywał. Ojciec mój wciąż mawiał, że gospoda nasza zejdzie na psy, że ludzie zaprzestaną do nas przychodzić, by znosić tyranizowanie, pomiatanie i drżąc wracać na spoczynek. Mnie się jednak wydaje, że bytność kapitana wychodziła nam na korzyść. Ludzie zrazu mieli naprawdę tęgiego pietra, lecz po pewnym czasie upodobali sobie nawet te osobliwości; stanowiły one doskonałą rozrywkę w jednostajnym życiu sielskim. Pomiędzy młodzieżą znalazło się nawet sporo takich, którzy udawali, że go podziwiają, nazywając go „prawdziwym wilkiem morskim”, „starym wygą” itp. i utrzymując, że to jeden z owych dzielnych wiarusów, którzy Anglię uczynili postrachem mórz.

Wszakże pod jednym względem naprawdę ów wilk morski nas rujnował; mieszkał u nas tydzień po tygodniu, miesiąc za miesiącem, aż w końcu pieniądze, które dał z góry za kwaterę i wikt, dawno się wyczerpały, a ojciec już nigdy nie mógł się odważyć zażądać więcej. Jeżeli kiedy bąknął o należności, kapitan parskał przez nos tak głośno, że to parskanie można było uważać za ryk, i przesywającym spojrzeniem wyświecał go z pokoju. Widziałem, jak po każdej takiej odprawie biedny ojczulek załamywał ręce i jestem przekonany, że ta zgryzota oraz to życie w ciągłej grozie przyspieszyły w znacznej mierze jego śmierć przedwczesną i nieszczęśliwą.

Przez cały czas swego pobytu u nas kapitan nie zmienił żadnego szczegółu w swej odzieży; raz tylko nabył u przekupnia kilka par pończoch. Gdy jedna poła jego kapelusza oberwała się i opadła w dół, pozostawił ją w tym obwisłym stanie, choć dawała mu się we znaki na wietrze. Nigdy nie zapomnę widoku jego kubraka, który tak często latał własnoręcznie w swym pokoju na piętrze, że w końcu lata nakrywała łatę. Listów nigdy nie pisał ani nie otrzymywał, z nikim nie rozmawiał oprócz sąsiadów, i to przeważnie tylko wtedy, gdy wypił za wiele rumu. Nigdy nikt z nas nie widział, żeby wielka skrzynia podróżna była otwarta.

Raz tylko napotkał opór, a było to już pod sam koniec, gdy ojciec mój biedny dogorywał na suchoty, które zabrały go nam ze świata. Pewnego popołudnia, o dość późnej godzinie przybył do nas doktor Livesey, aby obejrzyć chorego. Po oględzinach zjadł coś niecoś z obiadu podanego przez matkę i udał się do izby gościnnej, by wypalić fajkę czekając na swego konia, którego miano sprowadzić ze wsi, gdyż gospoda pod starym „Benbow” nie miała stajni. Wszedłem za nim i pamiętam wrażenie kontrastu, jaki tworzyła postać przystojnego, eleganckiego doktora, o włosach przysypanych śnieżnobiałym pudrem, o czarnych, błyszczących oczach i miłym sposobie bycia, na tle

nieokrzesej karczemnej gawiedzi, a zwłaszcza w zestawieniu z brudnym, kaprawym, spode łba patrzącym dziadygą, który wsparłszy się łokciem o stół, łykał rum nader obficie. Nagle ów - mówię oczywiście o kapitanie - zaczął pogwizdywać swą wieczną piosenkę:

*Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni –*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

*Diabli i trunek resztę bandy wzięli.*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

Pierwotnie przypuszczałem, że owa „skrzynia umrzyka” nie oznacza nic innego jak ową wielką skrzynię we frontowym pokoju, i myśl ta często kojarzyła mi się w snach z upiorem żeglarza o jednej nodze. Lecz w tym czasie już dawno przestali przywiązywać większą wagę do słów tej pieśni. Tego wieczoru nie była ona już nowością dla nikogo oprócz doktora Liveseya. Zauważyłem, że wywarła na nim nader niemiłe wrażenie; przez chwilę patrzył z gniewem na śpiewającego, po czym znów wdał się w rozmowę z ogrodnikiem, starym Taylorem o nowym sposobie leczenia reumatyzmu. Tymczasem kapitan coraz bardziej zapalał się w śpiewie, wreszcie grzotnął ręką w stół, co jak nam było wiadomo, stanowiło znak nakazujący milczenie. Natychmiast wszyscy umilkli, jedynie doktor Livesey głosem dźwięcznym i łagodnym prowadził w dalszym ciągu rozmowę poprzednio rozpoczętą, co parę słów pykając prędko fajeczkę. Kapitan wpił w niego źrenice, znów huknął pięścią w stół, spojrzał jeszcze groźniej, a na koniec bluznął, prostackim, szorstkim przekleństwem:

- Stulić pysk - tam na międzypokładzie!

- Czy pan do mnie przemawia? - zapytał doktor.

Gdy ów gbur odpowiedział przytakująco i rzucił nowe przekleństwo, doktor mu na to:

- Powiem panu tylko jedno, że jeżeli będziesz pan nadal pił rumu tyle co teraz, to świat wkrótce pozbędzie się pewnego wstrętnego szubrawca!

Wściekłość starego marynarza nie miała granic. Skoczył na równe nogi, wydobył składany nóż marynarski i otworzywszy go począł kołysać na dłoni, grożąc przygwożdżeniem doktora do ściany.

Doktor bynajmniej się nie zmieszał, lecz począł mówić do niego przez ramię tym samym głosem co poprzednio - może nieco donośniej, by wszyscy w izbie mogli dosłyszeć, ale zawsze spokojnie i z powagą.

- Jeżeli natychmiast nie schowa pan tego noża do kieszeni, ręczę słowem honoru, że znajdziesz się pan w najbliższym czasie przed sądem przysięgłych.

Czas jakiś krzyżowały się ich spojrzenia jak w pojedynku, lecz wkrótce kapitan spokorniał, złożył broń i usiadł wydając pomruk podobny do warczenia obitego psa.



- A teraz, mości panie - ciągnął doktor - skoro już wiem, że taki ptaszek znajduje się w moim okręgu, możesz pan być pewny, że z pana nie spuszczę oka ani w dzień, ani w nocy. Jestem nie tylko doktorem, ale i urzędnikiem, jeżeli więc usłyszę choć najmniejszą skargę na pana, gdyby chodziło nawet o takie grubiaństwo jak dzisiaj, poweźmę skuteczne środki, aby pana pojmać i wydalić na cztery wiatry. Na tym poprzestanę.

W chwilę potem przyprowadzono konia przed drzwi gospody i doktor odjechał. Owego wieczora i przez wiele następnych kapitan zachowywał się bardzo przykładowie.

## Zjawia się „Czarny Pies” - i znika

Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaszedł pierwszy z tych tajemniczych wypadków, które nareszcie uwolniły nas od kapitana, choć jeszcze nie od spraw związanych z jego osobą - jak to zobaczycie.

Nastąpiła nieznośna, ostra zima przynosząc długotrwałe silne mrozy i szalone zawieje; od początku było do przewidzenia, że biedny mój ojciec prawdopodobnie nie dożyje wiosny. Z dnia na dzień opadał z sił, więc matka wraz ze mną wzięła zarząd gospody w swoje ręce; mając czas wciąż zajęty nie zwracaliśmy zbytnej uwagi na niemiłego gościa.

Pewnego poranku styczniowego, o bardzo wczesnej porze, mróz był przenikliwy i zatoka cała posiwała od szronu. Drobne zmarszczki wody lekko tylko muskały głązy nadbrzeżne. Słońce stało jeszcze nisko, ledwo dotykając wierzchołków wzgórz, i słało blask daleko na morze. Kapitan wstał wcześniej niż zwykle i usiadł na wybrzeżu; pod szeroką połą starego błękitnego kubraka chwiał się przewieszony kordelas, pod pachą widać było mosiężną lunetę, kapelusz zsunął się na tył głowy. Gdy zszedł ze swej czatowni, widniał jeszcze na tym miejscu jego oddech na kształt smugi dymu, a ostatnim dźwiękiem, jaki doszedł mnie z jego strony, gdy zwrócił się ku wielkiej skale, było głośne prychnięcie, świadczące o gniewnym usposobieniu; snadź nie otrząsnął się jeszcze z myśli o doktorze Liveseyu.

Matka bawiła właśnie na piętrze u ojca, a ja zastawiałem stół do śniadania na przybycie kapitana, gdy wtem otworzyły się drzwi izby gościnnej i wszedł mężczyzna, którego dotychczas nigdy nie zdarzyło mi się widzieć. Miał cerę żółtą jak wosk i brakowało mu dwu palców u lewej ręki; choć miał przy boku kordelas, nie wyglądał jednak na wojownika. Dybałem na żeglarzy, czy to o dwóch nogach, czy o jednej, a więc człowiek nowo przybyły wprowadził mnie w kłopot. Nie miał w sobie nic z żeglarza, a pomimo to załatywało od niego morzem.

Zapytałem, czym mogę służyć. Zażądał rumu, lecz gdy zabierałem się do wyjścia z pokoju, chcąc spełnić jego żądanie, rozsiadł się za stołem i skinął na mnie, bym podszedł bliżej. Przystanąłem trzymając pod pachą serwetę.

- Chodź no bliżej, synku - rzekł nieznajomy. - Chodź no bliżej!

Postąpiłem krok naprzód.

- Czy ten stół zastawiacie dla mego towarzysza Billa? - zapytał ów świdrując mnie zezem.

Odparłem, że nie znam jego towarzysza Billa, nakrywam zaś do stołu dla osoby mieszkającej w naszym domu i zwanej przez nas „kapitanem”.

- Niech mu będzie! - rzekł ów. - Wszystko mi jedno, czy mój towarzysz Bili nazywa się kapitanem czy też nie. Ma bliznę na policzku, a przy tym bardzo miłe obejście z ludźmi, zwłaszcza przy picciu. Jako dowód weźmy więc, że wasz kapitan ma bliznę na policzku - i jeśli wola, zaznaczę jeszcze, że jest to prawy policzek. Ach, tak! Już ci o tym mówiłem! Wobec tego, czy mój towarzysz Bili znajduje się w tym domu?

Wyjaśniłem, że wyszedł na przechadzkę.

- Dokąd, mój synku? Dokąd poszedł?

Wskazałem mu skałę i udzieliłem wskazówek, kiedy i jaką drogą kapitan prawdopodobnie będzie wracał, oraz odpowiedziałem na kilka innych pytań. Wówczas przybysz odezwał się:

- No, to już na pewno sobie podpisę serdecznie z mym towarzyszem Billem.

W czasie wymawiania tych słów miał minę bardzo rzadką, tak iż miałem podstawę przypuszczać, że nie ma racji, nawet jeżeli faktycznie mówi, to co myśli. Lecz pomyślałem sobie, że to nie moja sprawa, a zresztą sam nie wiedziałem, co wypada począć. Przybysz nadal stał w samych drzwiach gospody, wyczierając za róg domu jak kot czyhający na mysz. Raz już chciałem wyjść na ulicę, lecz natychmiast mnie odwołał; ponieważ zaś nie chciałem ulec jego zachciankom, zmienił się okropnie na trupiożółtej twarzy i zmusił mnie do posłuszeństwa takim przekleństwem, że aż się zdrygnąłem. Ledwom się cofnął, przybrał znów dawny wyraz i klepiąc mnie na wpół dobrotliwie, na wpół drwiąco po ramieniu, nazywał mnie „pocziwym chłopakiem” i twierdził, że żywi dla mnie szczerą sympatię.

- Mam syna rodzzonego, podobnego do ciebie jak dwie krople wody, który jest moją chlubą. Lecz pierwsza rzecz u chłopca to karność, tak, mój synku, karność... Gdybyś pływał po morzach wraz z Billem, nie kazałbyś sobie niczego dwa razy powtarzać - nie! Nie było to nigdy w zwyczaju Billa ani tych, którzy z nim żeglowali. Ale otóż, ani chybi, kroczy mój kamrat Bili z lunetą pod pachą! A niechże go! Tak, to on! Chodź no, synku, ze mną do izby i schowajmy się za drzwiami. Zrobimy małą niespodziankę Billowi. A niechże go, powiadam!...

Mówiąc to nieznajomy wycofał się wraz ze mną do izby gościnnej i ustawił mnie poza sobą w kącie w ten sposób, że otwarte drzwi zasłaniały nas obu. Możecie sobie wyobrazić, jak byłem nieswój i przerażony, a strach mój jeszcze się zwiększał, gdy widziałem, że osobliwy gość też nie grzeszył odwagą. Wciąż tarł rękojeść kordelasa i próbował obłuźnić brzeszczot w pochwie, a przez cały czas oczekiwania nieustannie coś przelykał, jakby się dławił jakąś ością w gardle.

W końcu kapitan wszedł gromkim krokiem do izby, trzasnął drzwiami za sobą i nie rozglądając się w prawo ani w lewo, zmierzał wprost do miejsca, gdzie oczekiwało nań zastawione śniadanie.

- Bili! - ozwał się nieznajomy głosem, któremu jak mi się zdawało, usiłował nadać brzmienie śmiałe i silne.

Kapitan wykonał zwrot w tył na pięcie i stanął do nas frontem; twarz naraz straciła barwę brunatną i nawet nos mu posiniał. Miał wygląd człowieka, który zobaczył upiora lub diabła, albo o ile to możliwe, jeszcze gorszą stwore. Słowo daję, że żał mi się go zrobiło przez chwilę, tak wydał się stary i złamany.

- Chodź, Billu! Wszak mnie poznajesz? Poznajesz na pewno Starego druha okrętowego? - mówił tymczasem przybysz.

Kapitan jakby zaczerpnął powietrza.

- Czarny Pies! - powiedział.

- A któż by inny? - zachnął się tamten nabierając nieco rezonu.

- Czarny Pies, ten sam co zawsze, przybywa, żeby zobaczyć się ze swym starym druhem Billem w gospodzie „Pod Admiralem Ben-bow”... Ach, Billu, Billu, przeżyliśmy obaj kopę lat od czasu, gdy postradałem te dwa knykcie - i wzniosł do góry okaleczoną rękę.

- Patrzcie no - mruknął kapitan. - Takżeś mnie podszedł! Tak, jestem tu we własnej osobie. No, mów, co się stało?

- To o ciebie idzie - odpowiedział Czarny Pies - musisz to usłyszeć, Billu. U tego miłego chłopaczka zamówiłem szklankę rumu, bo mi się bardzo pić chce; siądźmy przy sobie, jeżeli sobie tego życzysz, i pogwarzymy jak starzy kamraci.

Gdy wróciłem z rumem, obaj już siedzieli z obu stron stołu zastawionego dla kapitana. Czarny Pies siedział bliżej drzwi, bokiem, i zdawało mi się, że jednym okiem spozierał na swego kamrata, a drugim szukał odwrotu.

Poprosił mnie, żebym wyszedł i zostawił drzwi szeroko otwarte.

- A wara tam podglądać przez dziurkę od klucza, synku!

- upomniał mnie. Zostawiłem więc ich obu i odszedłem do szynkwasu.

Przez długi czas, pomimo wszelkich zabiegów zmierzających do podsłuchania ich rozmowy, nie zdołałem nic uchwycić prócz przytłumionego mamrotania, lecz w końcu głosy zaczęły się coraz więcej podnosić i mogłem wyróżnić oderwane wyrazy, przeważnie przekleństwa kapitana.

- Nie, nie! Nie, nie! Z tym trzeba już raz skończyć - wrzeszczał zajadle, a w chwilę później znów dały się słyszeć słowa:

- Jeżeli chcecie możecie tu wszyscy przyjeżdżać, powiadam. Ja nie ustąpię!

Naraz, zgoła niespodzianie, nastąpił przerażający wybuch przekleństw i innych hałasów, stół i krzesło poszły w kawałki, dał się słyszeć brzęk stali, a potem okrzyk bólu; w chwilę później zobaczyłem, że Czarny Pies uciekał co sił w nogach, a kapitan ścigał go zapalczywie - obaj mieli w ręku obnażone kordelasy, pierwszemu zaś szła ciurkiem krew z lewego ramienia. Tuż przy samych drzwiach kapitan wymierzył w uciekającego ostatni groźny cios, który strzaskałby mu kość pacierzową, gdyby ostrze nie zawadziło o sążnisty szyld naszego „Admirala Benbow”. Po dziś dzień można oglądać powstałą stąd szczerbę na dolnej krawędzi deski.

Było to ostatnie uderzenie w tej bójce. Czarny Pies znalazłszy się na ulicy okazał się, pomimo rany, przedziwnie rączy w nogach i w ciągu pół minuty zniknął za skrajem wzgórza. Natomiast kapitan stanął jak wryty, wlepiając oczy w deskę szyldu, następnie przetaił kilkakrotnie oczy ręką i

wreszcie zawrócił do domu.

- Jim! Daj mi rumu! - przemówił, a zauważyłem, że słaniał się nieco i jedną ręką próbował uchwycić się ściany.

- Czy pan raniony? - zawałałem.

- Rumu! - powtórzył. - Muszę stąd odejść. Rumu, rumu! Wybiegłem, by mu go przynieść, lecz ponieważ byłem wytracony z równowagi tym wszystkim, co zaszło, więc stłukłem szklankę i pobrudziłem nakrycie. Gdy wybierałem się powtórnie po trunek, usłyszałem łoskot w jadalni. Wybiegłszy ujrzałem kapitana leżącego jak długi na posadzce. W tejże chwili matka moja, zaniepokojona wrzawą i zgiełkiem bijatyki, zbiegła z piętra na pomoc. Wspólnymi siłami podnieśliśmy głowę omdlałego. Oddychał głośno, chrapliwie, lecz oczy miał zamknięte, a twarz zmieniła mu się okropnie.

- O, moiściewy! Olaboga! - labiedziła matka. - Jakie to nieszczęście spadło na nasz dom! A tatulo biedny chory!

Wśród tego nie mieliśmy pojęcia, jak przyjść z pomocą kapitanowi, i nie wątpiliśmy ani na chwilę, że otrzymał cios śmiertelny w bójce z nieznanym. Na wszelki wypadek przyniosłem rumu i usiłowałem wlać mu do gardła; lecz zęby miał szczelnie zaciśnięte, a szczęki twarde jak z żelaza. Uczuliśmy radość i ulgę, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i wszedł doktor Livesey przybywający w odwiedzin do ojca.

- Ach, panie doktorze! - zawałaliśmy oboje. - Co tu począć? Gdzie on odniósł ranę?

- Ranę? Ech, głupstwo! - rzekł doktor. - Tak raniony jak wy lub ja. Ten drab miał atak apopleksji, wszak mu to przepowiadałem.

A teraz, moja pani Hawkins, niech pani skoczy na górę do swego małżonka i o ile to możliwe, ani mru-mru o tym, co się stało! Ja ze swej strony uczynię co w mej mocy, żeby uratować nikczemne życie tego draba; niech Jim przyniesie mi miednicę!

Gdy powróciłem z miednicą, już doktor rozerwał rękaw kapitańskiego kubraka i odsłonił potężne, żyłaste ramię. Było tatuowane w kilku miejscach. Na przedramieniu znajdowały się ozdobne i wyraźnie wykonane napisy: „Na szczęście”, „Niech wiatr sprzyja” i „Billy Bones, dla fantazji”, powyżej zaś, bliżej łopatki, mieścił się rysunek przedstawiający szubienicę z dyndającym wisielcem - świadczący, jak mi się zdawało, o wielkich zdolnościach rysownika.

- Wieszczy znak! - zauważył doktor dotykając palcem rysunku. - A teraz, imć panie Billy Bones, jeżeli tak się nazywasz, zobaczymy, jaki kolor ma twoja juszka. Jim, czy boisz się krwi?

- Nie, panie konsyliarzu - odparłem.

- No dobrze! Więc potrzyмай miednicę - i po tych słowach wziął lancet i otworzył żyłę.

Sporo krwi trzeba było upuścić, zanim kapitan otworzył oczy i rozejrzał się mgławo dokoła.

Najpierw rozpoznał doktora i zmarszczył brwi z wyraźną niechęcią; następnie jego źrenice spoczęły na mnie i wydawało się, jakby doznał ulgi. Naraz zmienił się na twarzy i spróbował się podnieść krzycząc:

- Gdzie Czarny Pies?

- Nie ma tu żadnego czarnego psa - odparł doktor - chyba, że błąka się w twojej mózgowicy. Za wiele rumu wypiełeś, więc też przyszedł atak, zupełnie jak przepowiedziałem, teraz zaś, prawie na przekór własnej woli, wyciągnąłem cię za czuprynę z grobu. No, ale panie Bones...

- To nie moje nazwisko - przerwał ów.

- Dużo mnie to obchodzi - odpowiedział doktor. - Jest to nazwisko pewnego znanego mi opryszka, ja zaś dla zwięzłości tak waszeć nazywam. Lecz chciałem aści powiedzieć, co następuje: jedna szklanka rumu jeszcze waszeci nie sprzątnie ze świata, lecz jeżeli pan wypijesz jedną, zachciewa ci się drugiej i trzeciej, a stawiam w zakład własną perukę, że jeżeli waszeć wkrótce nie zmienisz tego trybu życia, to umrzesz - rozumiesz? - umrzesz pan i pójdiesz na miejsce dlań przygotowane, jak ów człowiek, o którym mówi Pismo Święte. A teraz postaraj się wasze pójść ze mną. Zaprowadzę pana do łóżka.

Wspólnymi siłami, acz z wielkim trudem, udało się wciągnąć go na piętro i położyć do łóżka; głowa opadła mu na poduszkę, jakby prawie omdlał.

- A teraz - rzekł doktor - proszę to sobie zapamiętać. Mam czyste sumienie: ostrzegłem waćpana, że rum sprowadzi pańską śmierć.

To powiedziawszy wziął mnie pod ramię i wyszedł, aby zbadać stan zdrowia ojca. Ledwo zamknął drzwi za sobą, odezwał się:

- Drobnostka, nic mu nie będzie! Wypuściłem mu dość krwi, aby go uspokoić na jakiś czas. Jakiś tydzień przeleży w łóżku - co i jemu, i wam wyjdzie na dobre. Ale powtórny atak przyprawi go o śmierć.

# Czarna plama

Około południa udałem się do pokoju kapitana niosąc lekarstwa i chłodzące napoje. Kapitan leżał zupełnie tak samo, jakśmy go pozostawili, jedynie głowę miał podniesioną nieco wyżej. Widać w nim było jednocześnie wycieńczenie i podniecenie.

- Jim! - odezwał się do mnie. - Jesteś tu jedynym człowiekiem, którego cenię i wiesz, że zawsze byłem dobry dla ciebie. Nie było miesiąca, żebym ci nie dał srebrnych czterech pensów. Teraz widzisz, braciszku, że kiepsko ze mną i że wszyscy mnie opuścili... Jim, nie przyniósłbyś mi, brachu, kusztyczka rumu?

- Pan doktor... - zacząłem mówić, ale chory przerwał mi klnąc doktora głosem słabym, lecz stanowczym:

- Wszyscy doktorzy to partacze, a ten wasz doktor, skąd może się znać na chorobach marynarzy? He? Bywałem ci w krajach gorących jak smoła, gdzie wiara-kamraci zapadali na żółtą febrę, gdzie biesowska ziemia chybotąła się jak morze - cóż by o tych krajach umiał powiedzieć wasz doktorek? A przecież przeżyłem to wszystko dzięki picciu rumu, mówię szczerą prawdę! To było moje pożywienie, mój napój, mój mąż i żona; gdy nie dostanę rumu, jestem jak stare, skołatane pudło okrętu, co nie może odbić od brzegu z powodu przeciwnego wiatru. Krew moja spadnie na ciebie, Jim, a doktor partacz... - tu posypał się stek przekleństw. Po chwili kapitan ciągnął błagalnym tonem:

- Patrz, Jim, jak mi się palce trzęsą, nie mogę ich utrzymać w spokoju. Nie miałem jeszcze ani kropli w ustach w przeklętym dniu dzisiejszym. Doktor jest głupi, powiadam ci. Jeżeli nie dostane kapki rumu, Jim, zaraz te straszne widzenia znów dręczyc mnie będą; już widziałem kilku tych ludzi. Tam w kącie widziałem starego Flinta... widziałem go wyraźnie jak na dłoni. A jeżeli napadną mnie te widziadła, to staję się znów tym człowiekiem, co żył tak okropnie; wówczas budzi się we mnie Kain. Przecież sam wasz doktor powiedział, że jedna szklanka mi nie zaszkodzi. Dam ci, Jim, złotą gwineę za kusztyczek.

Jego podniecenie wzrastało z każdą chwilą i zacząłem się niepokoić o ojca, który tego dnia czuł się bardzo niedobrze i potrzebował ciszy; zresztą uspokajały mnie słowa lekarza, obecnie znów mi przytoczone, a nade wszystko czułem się dotknięty ofiarowaniem mi łąpówki.

- Nie chcę pańskich pieniędzy - zazaczyłem - z wyjątkiem tego, coś pan winien memu ojcu. Przyniosę panu jedną szklankę, ale na niej kwita - później już ani kropli.

Gdy przyniosłem, schwycił łąpczywie trunek i wychylił duszkiem.

- No, no! Już mi nieco lepiej, ma się rozumieć! A powiedz mi jeszcze, brachu, czy ten lekarz powiedział, jak długo mam wylegiwać się w tych zapleśniałych betach?

- Co najmniej tydzień - wyjaśniłem.

- Do kroćset piorunów! - wrzasnął. - Tydzień! To niemożliwe! Tymczasem przyślą mi czarną

plamę! Łotry już krążą wokoło, żeby przewąchać o mnie w tej przeklętej chwili! Łotry! Nie mogą poprzestać na tym, co mają, chcą pazurami wydrzeć cudzą własność! Doprawdy, niech mi kto powie, czy takie postępowanie można nazwać godnym marynarza! Ale ja jestem człowiekiem oszczędnym, nigdy nie roztroniłem ani nie zaprzepaściłem lubego grosza, więc i teraz wyprowadzę ich w pole. Nie boję się ich wcale. Skręcę żagle w inną stronę i wystrychnę ich wszystkich na dudków!

Mówiąc to powstał z łóżka z wielką trudnością, chwyciwszy mnie za ramię tak silnie, że o mało co nie krzyknąłem z bólu i począł sztywnie stawiać kroki. Słowa jego, choć w treści znamionowały uniesienie, pozostawały w smutnej sprzeczności z bezdźwięcznym głosem, jakim je wypowiadał. Urwał, gdy znalazł się w pozycji siedzącej, wielce zakłopotany.

- Ten doktor coś mi zadał - mrucał. - Dzwoni mi w uszach. Połóż mnie z powrotem do łóżka.

Zanim zdołałem mu pomóc, upadł znów na dawne miejsce i przez chwilę leżał spokojnie.

- Jim! - zagadnął nareszcie. - Widziałeś dziś tego żeglarza?

- Czarnego Psa? - zapytałem.

- Ee! Czarnego Psa! - zachnął się. - To wprawdzie zły człowiek, lecz są jeszcze gorsi, którzy nim się wyręczają. Ale jeżeli w żaden sposób nie będę mógł czmychnąć, a oni przyślą mi czarną plamę, pamiętaj, że idzie im o starą skrzynię marynarską: wtedy dosiędziesz konia - umiesz przecież? He? - A więc siądziesz na konia i popędzisz do - dobrze! tak, niech tak będzie! - do tego wiecznego partacza, doktora, i powiesz mu, żeby zagwizdał na swoich piesków - urzędników, policjantów czy jak tam się zowią - niech wylądują w gospodzie „Pod Admiralem Benbow”, niech capną całą hałastrę starego Flinta, młodych czy starych, wszystko, co jeszcze pozostało. Byłem pierwszym majtkiem w załodze, byłem bosmanem starego Flinta i jestem jedynym człowiekiem, który zna owo miejsce. On podał mi je w Savannah, gdy leżał w śmiertelnej chorobie, całkiem jak ja w tej chwili - widzisz? Lecz nie wypapłaj tego, aż oni przyślą mi czarną plamę albo aż zobaczysz powtórnie Czarnego Psa lub marynarza z jedną nogą - przede wszystkim jego, pamiętaj, Jim.

- Ale cóż to za czarna plama, kapitanie? - zapytałem.

- To ich pozew, kamracie. Powiem ci, gdy przyślą. Lecz proszę cię, Jimie, czuwaj pilnie, a podzielę się z tobą po połowie; słowo honoru ci daję.

Jeszcze przez chwilę bredził, a głos jego stawał się coraz słabszy. Po chwili podałem mu lekarstwo, które przyjął jak dziecko, zauważywszy przy tym:

- Jeżeli kiedy było potrzeba leków marynarzowi, to z pewnością mnie...

W końcu zmógł go ciężki, podobny do omdlenia sen, w którym go pozostawiłem. Nie wiadomo, jakbym się zachował, gdyby wszystko szło zwykłym trybem. Prawdopodobnie opowiedziałbym doktorowi całą historię, gdyż byłem w śmiertelnym strachu, że kapitan pożałuje swych zwierzeń i zabije mnie. Lecz gdy to wszystko się działo, nagle tego samego wieczora mój biedny ojczulek rozstał się z tym światem, to zaś usunęło na bok wszystkie inne sprawy. Nasz naturalny ból i ciągle



odwiedziny sąsiadów, kłopoty związane z pogrzebem oraz równoczesna konieczność zajmowania się gospodą - wszystko to tak mnie pochłaniało, że nie miałem zgoła czasu, żeby myśleć o kapitanie, a tym mniej, by się go obawiać.

Jednakowoż nazajutrz rano, jak można się było spodziewać, zszedł on na dół i jak zwykle spożywał posiłki; jadł mało, a za to - obawiam się - nad zwykłą miarę raczył się rumem, gdyż sam dobierał się do szynkwasu robiąc srogie miny i parszając przez nos, tak iż nikt nie miał odwagi wejść mu w drogę. Wieczorem w przeddzień pogrzebu upił się jak zwykle. W domu żałoby niezmiernie przykro brzmiała nuta jego ohydnej śpiewki marynarskiej, ale pomimo jego słabości czuliśmy wszyscy śmiertelną przed nim trwogę, doktor zaś właśnie podówczas wyjechał nagle do chorego o wiele mil od nas i po śmierci ojca nie zjawił się w pobliżu naszego domu. Powiedziałem, że kapitan był osłabiony; w istocie wydawało się, że zamiast odzyskać siły, coraz bardziej je traci. Gramolił się po schodach to na dół, to do góry lub przechadzał się z jadalni do szynkwasu i znów z powrotem, niekiedy zaś wytykał nos za drzwi, by zaczerpnąć powietrza morskiego; wtedy trzymał się ściany, jak gdyby szukał oparcia, a oddychał ciężko i powoli jak człowiek stojący na stromym szczycie górskim. Nigdy nie zwracał się specjalnie do mnie i sądzę, że z pewnością zapomniał poczynionych wyznaniach poczynionych w przystępie szczerości; lecz w usposobieniu stał się bardziej dziwaczny i o ile mu słabość pozwalała, bardziej popędliwy niż dotąd. Gdy był pijany, napędzał nam obecnie strachu w ten sposób, że wyciągał kordelas z pochwy i kładł go przed sobą na stole. W gruncie rzeczy jednak mało zważał na ludzi i był jakby zamknięty w swych myślach, a raczej w swym obłąkaniu. Razu pewnego, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, zagwizdał niespodziewanie odmienną melodię, jakby jakiejś sielskiej piosenki miłosnej, której pewno nauczył się w dzieciństwie, zanim zbratał się z morzem.

Nazajutrz po pogrzebie nastał dzień posepny, mglisty i mroźny; była może godzina trzecia po południu, gdy wyszedłszy przed drzwi, pełen żalonych wspomnień o nieboszczyku ojcu, ujrzałem nieopodal jakiegoś człowieka wlokącego się drogą. Był niewątpliwie ślepy, gdyż obmacywał kijem drogę przed sobą, a ponad jego oczyma i nosem zwieszał się wielki zielony daszek; poza tym był zgarbiony, jakby wiekiem czy niemocą, a odziany w przydługie i postrzępione od starości płaszcz marynarski z kapturem, który nadawał mu wygląd wielce dziwaczny.

W życiu nigdy nie widziałem okropniejszej poczwary. Zatrzymał się na chwilę przed gospodą i podnosząc głos, tonem jakiejś dziwacznej kantyczki, rzucił w przestrzeń te słowa:

- Może jakaś litościwa osoba powie biednemu ciemnemu człowiekowi, który postradał drogocenny dar wzroku w zaszczytnej obronie swej ojczyzny Anglii i miłościwie nam panującego króla Jerzego, gdzie i w jakiej okolicy tego kraju znajduję się w tej chwili?

- Jesteś, dobry człowieku, koło gospody „Pod Admiralem Benbow”, nad zatoką Black Hill - przemówiłem.

- Słyszę głos - rzekł ów - głos młodzieńczy, ale człowieka nie widzę. Mój miły, młody przyjacielu, czy nie podasz mi ręki i nie wprowadzisz mnie do wnętrza gospody?

Ledwie wyciągnąłem dłoń, a ta straszna, słodko mówiąca i oczu pozbawiona stwora ścisnęła mija nagle jak w kleszczach. Byłem tak przejęty trwogą, iż usiłowałem się wyrwać, lecz ślepiec

jednym ruchem ręki przyciągnął mnie do siebie, mówiąc:

- A teraz, mój chłopcze, zaprowadź mnie do kapitana.

- Łaskawy panie - odrzekłem - słowo daję, że nie mogę się odważyć na to.

- O, cóż znowu?! - zaszydził. - Prowadź mnie natychmiast albo ci pogruchocę ramię.

To mówiąc tak mi wykręcił ramię, że aż zawrzasłem z bólu.

- Łaskawy panie - wyjąkałem - mam tu na względzie jedynie pańskie dobro. Kapitan nie jest już tym, czym był niegdyś. Siedzi tam z dobytym kordelasem... Inny człowiek...

- Dalej, jazda, ruszaj! - przerwał mi ów; nie słyszałem nigdy głosu tak okrutnego, zimnego i obrzydliwego jak głos tego ociemniałego człowieka. Odczuwałem większy strach niż ból; stałem się uległy woli żebraka, idąc prosto przez drzwi do jadalni, gdzie siedział nasz schorzały stary wilk morski, pijany jak bela. Ślepiec postępował tuż za mną, trzymając ramię moje w swej żelaznej pięści i przytłaczając mnie ciężarem, który zaledwie mogłem wytrzymać.

- Prowadź mnie wprost do niego, a gdy mnie spostrzeże, zawołaj: „Oto twój przyjaciel, Billu!” Jeżeli tego nie uczynisz, zrobię ci tak - i ścisnął mnie tak mocno, iż myślałem, że omdleję. Wśród tego takim lękiem przejmował mnie ów ślepy żebrak, iż zapomniałem o strachu przed kapitanem; otworzywszy więc drzwi do jadalni, bez wahania, choć drżącym głosem, wykrzyknąłem poleczone mi słowa.

Biedny kapitan podniósł oczy; w jednej chwili rum wyszumiał mu z głowy, a wzrok stał się trzeźwy i przytomny. Na twarzy jego uwydatniła się nie tyle trwoga, ile jakaś śmiertelna niemoc. Poruszył się chcąc powstać, lecz zdaje mi się, że zabrakło mu sił.

- No Billu, siedź, nie ruszaj się z miejsca! - mówił żebrak. - Wprawdzie jestem pozbawiony wzroku, lecz słyszę nawet skinienie palca. Interes jest interesem. Wyciągnij lewą rękę, a ty, chłopcze, uchwycić jego lewą rękę w przegubie i przybliżyć do mojej prawicy.

Obaj spełniliśmy jego rozkaz co do joty i zobaczyłem, że ów straszny dziadyga przesunął coś ze swej ręki, która dotąd trzymała kostur, na dłoń kapitana, kapitan zaś silnie zacisnął w garści ów trzymany przedmiot.

- A więc już wykonane - powiedział ślepiec, po czym natychmiast uwolnił mnie ze swego uścisku i z niewiarygodną pewnością siebie i zręcznością wyskoczył z jadalni, a następnie na ulicę. Stojąc jeszcze nieruchomo w miejscu, słyszałem przez pewien czas w oddali miarowe stukanie jego kija.

Wszystko to stało się, zanim my obaj zdołaliśmy zebrać zmysły; w końcu jednak, i to prawie jednocześnie, ja wypuściłem przegub ręki kapitana, który dotychczas jeszcze trzymałem, a kapitan rozwarł dłoń i bystro spojrzął na przedmiot w niej zawarty.

- O dziesiątej! - zawołał. - Sześć godzin! Jeszcze im pokazemy! - i skoczył na równe nogi.

W tej chwili, gdy to uczynił, chwycił się ręką za gardło, zachwiał się na nogach i wydawszy dziwne rżenie runął całym ciężarem na podłogę twarzą naprzód.

Natychmiast przypadłem do niego, krzykiem wzywając matkę. Lecz na nic nie zdał się pośpiech. Kapitan zmarł, rażony apopleksją. Jednej rzeczy zrozumieć nie mogę: bez wątpienia nigdy nie byłem przywiązany do tego człowieka, choć ostatnio obudziła się we mnie litość nad nim; gdy jednak zobaczyłem, że nie żyje, wybuchnąłem rzewnym płaczem.

Była to druga śmierć, którą oglądałem własnymi oczyma, a po pierwszej odczuwałem jeszcze w sercu nie zagojoną boleść.

## Skrzynia marynarska

Nie tracąc czasu opowiedziałem oczywiście matce wszystko, co mi było wiadomo i co może dawno powinienem był jej wyjawić; zrozumieliśmy od razu, że położenie nasze jest trudne i niebezpieczne. Pewna część pieniędzy kapitana - o ile je posiadał - należała się z pewnością nam jako wierzycielom; było jednak rzeczą wielce wątpliwą, czy jego towarzysze, a zwłaszcza oba indywidua widziane przeze mnie, Czarny Pies i niewidomy żebrak, zgodziliby się ustąpić część zdobyczy na rachunek długów nieboszczyka. Polecenie kapitana, by natychmiast dosiadać konia i jechać po doktora Liveseya, było nie do pomyślenia, gdyż matka zostałaby sama jedna, bez opieki. Obojgu nam wydawało się niepodobieństwem dłuższe przebywanie w domu: przesypywanie się węgla na ruszcie kuchennym, ciche tykanie zegara napełniało nas przerażeniem. Słuch nasz miewał złudzenia, że dokoła domu rozlega się odgłos coraz to bliższych kroków, podobnych do stąpania upiórów... Wobec zwłok kapitana na podłodze w jadalni, wobec uporczywej myśli o wstrętnym ślepym żebraku, czyhającym gdzieś niedaleko i mogącym powrócić lada chwila, przejęty byłem taką zgrozą, że niekiedy miałem chęć, jak to mówią, wyskoczyć ze skóry. Należało czym prędzej coś przedsiębrać; wnet przyszło nam do głowy, by wyjść razem z domu i szukać pomocy w sąsiedniej osadzie; myśl tę od razu wprowadziliśmy w czyn. Jak byliśmy, z gołą głową, tak pognaliśmy natychmiast wśród gęstniejącego mroku i przenikającej mgły.

Osada była od nas oddalona o kilkaset jardów, lecz leżała na uboczu, po drugiej stronie sąsiedniej zatoki. Wielkiej otuchy dodawało mi to, że znajdowała się w kierunku przeciwnym temu, skąd pojawił się ślepiec i dokąd przypuszczalnie podążył z powrotem. Byliśmy w drodze ledwo kilka minut, lecz po kilkakroć zatrzymywaliśmy się, aby zrównać się ze sobą lub nasłuchiwać. Jednakże nie doszedł do nas żaden odgłos osobliwy - słychać tylko było cichy szmer fal i krakanie wron na drzewach.

Gdy dotarliśmy do osady, już pozapalano świece - nigdy w życiu nie zapomnę tej błogości, jakiej doznałem na widok żółtawego blasku w drzewach i oknach; lecz jak się przekonałem, była to jedyna pociecha, jakiej zaznać mogliśmy w tej dziurze. Myślicie może, że ludzie mieli choć trochę wstydu? Gdzież tam! Nie można było znaleźć duszy, która by się zgodziła wracać z nami „Pod Admirala Benbow”. Im więcej opowiadaliśmy o swych obawach, tym skwapliwiej każdy, zarówno mężczyzna, jak kobieta czy dziecko, zatrząskiwał nam drzwi przed nosem. Nazwisko kapitana Flinta, dla mnie obce, było niektórym aż nazbyt dobrze znane i wywoływało nieopisany przestach. Paru ludzi, którzy pracowali w polu opodal „Admirala Benbow”, wspominało ponadto, że na gościńcu widzieli kilku nieznanomych drabów, a biorąc ich za przemytników zaryglowali dobrze drzwi; ktoś tam nawet widział mały lugier[1] w tak zwanej przez nas Pieczarze Kitta. Z tego powodu każdy, kto był towarzyszem kapitana, pobudzał ich do śmiertelnej trwogi. Krótko mówiąc, rezultat był taki, że choć znalazło się kilku chętnych, którzy podjęli się jechać po doktora Liveseya mieszkającego w innej stronie, to jednak nikt nie podjął się wespół z nami bronić gospody.

Mówią, że tchórzostwo jest zaraźliwe: w każdym razie człowiek czuje się lepiej na duchu, gdy komuś bez ogródek wytnie prawdę w oczy. Toteż gdy każdy sianem się wykręcał, matka sypnęła ludziom tęgie kazanie oświadczając, że nie może na pastwę oddać grosza należącego do jej syna-sieroty.

- Jeżeli wam wszystkim dusza uciekła w pięty, to ja z Jimem

okażemy więcej odwagi! Wracamy do domu tą samą drogą, którąśmy tu przyszli - obejdziemy się bez waszej łaski! Takie dryblasy, chłopcy jak dęby, a serca mają jak zające! Otworzymy skrzynię, choćbyśmy mieli za to kipnąć! Panią Crossley, a do paniusi to się umizgnę o tę sakiewkę, żebym miała gdzie wrazić te pieniądze, co się nam z prawa przynależą.

Ma się rozumieć, że powiedziałem, iż chcę iść z matką, a po prawdzie wszyscy nam też wymyślali od kiepskich wariatów: niemniej jednak nikt nie zechciał nam towarzyszyć. Poprzestano na wręczeniu mi nabitego pistoletu, na wypadek gdyby nas napadnięto; obiecano również mieć w pogotowiu osiodłane konie, na wypadek, gdyby nas ścigano, tymczasem jeden z parobków zabierał się do odjazdu w stronę domu doktora, celem sprowadzenia zbrojnej pomocy. Mogłem dokładnie rozeznąć bicie własnego serca, gdy znaleźliśmy się znów oboje w objęciach zimnej nocy w obliczu groźnego niebezpieczeństwa. Zaczął właśnie wschodzić księżyc w pełni, przezierając czerwonawą poświatą poprzez górny rąbek mgły; wzmogło to naszą prędkość, gdyż nie ulegało wątpliwości, że zanim dojdziemy do celu, zrobi się jasno jak w dzień, a nasza wyprawa wpadnie w oko jakiemuś czatownikowi. Bez szelestu, błyskawicznie prześliznęliśmy się koło opłotków, nie słysząc ani nie widząc nic takiego, co mogłoby zwiększyć naszą trwogę. Doznaliśmy ogromnej ulgi, gdy drzwi gospody „Pod Admiralem Benbow” zamknęły się za nami.

Nie tracąc czasu zasunąłem zawory; przez chwilę staliśmy i dyszeliliśmy w ciemności, sam na sam ze zwłokami kapitana. Niebawem jednak matka wydostała świeczkę z kredensu i wkroczyliśmy do jadalni trzymając się za ręce. Kapitan leżał tak, jakeśmy go porzucili: na wznak, z otwartymi oczyma, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie.

- Spuść zasłony w oknach, Jimie! - wyszeptała matka. - Oni tu mogą podejść i szpiegować nas od dworu!

Gdy uczyniłem to, odezwała się znowu, wskazując na skrzynię:

- A teraz musimy skądciś wytrzasnąć klucz od... tego... Chciałabym wiedzieć, kto ma go dotknąć!

Gdy wymawiała te słowa w jej głosie brzmiało jakby szlochanie.

Ukląknęłam natychmiast przy zmarłym. Na podłodze tuż przy jego dłoni spoczywał mały zwitek papieru pomazany na czarno z jednej strony. Nie miałem wątpliwości, że to jest właśnie owa „czarna plama”. Podniósłszy ten świstek znalazłem na jego odwrotnej stronie wypisane pięknym, czytelnym charakterem następujące zwięzłe zdanie: „Masz czas dzisiaj do dziesiątej wieczorem”.

- Mamo, jemu dali czas do dziesiątej! - powiedziałem, a właśnie w tej samej chwili stary nasz zegar zaczął wybijać godzinę. Ten nieoczekiwany dźwięk przejął nas dreszczem; jednak uspokoił się niebawem, gdyż przekonaliśmy się, że jest dopiero szósta.

- Jim! A ten klucz? - nagabywała matka.

Przetrasnąłem wszystkie kieszenie nieboszczyka jedną po drugiej. Kilka drobnych monet, napałek, kłębek nici i parę wielkich igieł, laseczka prasowanego tytoniu, nadgryziona z jednego końca, scyzoryk z zakrzywioną rączką, kompas i cynowe pudełko - oto wszystko, co się tam kryło. Byłem bliski rozpaczy.

- Może znajduje się na szyi - domyślała się matka. Przemógłszy wielką odrazę rozchełstałem mu koszulę koło szyi, tam zaś, zgodnie z domysłem, znaleźliśmy klucz wiszący na brudnej tasiemce, którą przeciąłem własnym kozikiem kapitana. Nabrawszy wielkiej nadziei po tym odkryciu, popędziliśmy cwałem na górę do pokoiku, gdzie kapitan nocował od tak dawna i gdzie jeszcze od dnia jego przybycia stała skrzynia.

Jej wygląd zewnętrzny niczym się nie różnił od wyglądu innych kufków marynarskich. Na wieku widniał monogram „B” wypalony żelazem; rogi były poobijane nieco i starte przez długie używanie oraz niedelikatne obchodzenie się z nim.

- Podaj mi klucz! - rzekła matka. Wprawdzie zamek się zacinał, lecz zdołała go przekręcić i odrzuciła w mgnieniu oka wieko.

Silna woń tytoniu i dziegciu wionęła ze środka, lecz na wierzchu było widać jedynie garnitur zupełnie przyzwoitego ubrania, starannie oczyszczony i poskładany. Matka wyraziła przypuszczenie, że kapitan nie miał go jeszcze nigdy na sobie. Pod spodem był istny groch z kapustą: kwadrant, blaszany kubek, kilka laseczek tytoniu, dwie pary nader pięknych pistoletów, sztaba lanego srebra, stary zegarek hiszpański i wiele innych świadczeń niezbyt wielkiej wartości i przeważnie wyrobu zagranicznego, para mosiężnych kompasów oraz pięć czy sześć osobliwych muszli z Indii Zachodnich. Często później zastanawiałem się nad tym, po co on te wszystkie rupiecie woził z sobą wszędzie w ciągu swego niespokojnego, występnego i pełnego niebezpieczeństw życia.

Dotychczas oprócz srebra i drobiazgów nie znaleźliśmy niczego, co by mogło przedstawiać jakąś wartość, a żaden z tych przedmiotów nie stanowił dla nas upragnionej zdobyczy. Pod spodem znajdował się stary płaszcz żeglarski, wyblakły od soli morskiej w wielu podróżach. Matka odrzuciła go niecierpliwie i ujrzałem ostatnie przedmioty znajdujące się na dnie skrzyni: paczkę owiniętą w ceratę i wyglądającą na plik papierów oraz worek z płótna żaglowego, który przy poruszeniu odezwał się jakby brzękiem złota.

- Pokażę tym łajdakom, że jestem uczciwą kobietą - oświadczyła matka. - Odbiorę swój dług i ani grosza więcej. Trzymaj sakiewkę pani Crossleyowej! - I zabrała się do obliczania z worka kapitańskiej sumy, którą był nam winien; przeliczone pieniądze przesypywała do sakiewki trzymanej przeze mnie.

Było to zajęcie znużające i uciążliwe, gdyż pieniądze pochodziły z różnych krajów i były rozmaitej wielkości: były tam i dublo-ny, i luidory, gwinee, talary i nie wiem już jakie inne monety, wszystko zmieszane pospołu. Na domiar złego gwinee, na których jedynie znała się moja matka, spotykało się prawie że najrzadziej.

Gdyśmy już doszli niemal do połowy, nagle położyłem rękę na ramieniu matki, gdyż w głuchym, mroźnym powietrzu posłyszałem dźwięk, który mi ściał krew w żyłach - było to miarowe stukanie

laski ślepego żebraka na zamrażonym gościńcu. Odzywało się raz po raz, coraz bliżej, podczas gdyśmy siedzieli z zapartym tchem. Ktoś począł się dobijać do drzwi gospody, później słyhać było, jak przekręcano klamkę i coś chrobotać koło zamku, jakby napastnik próbował się włamać; potem nastąpiła chwila dłuższej ciszy zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. W końcu rozpoczęło się na nowo kuszykanie laski żebraka i ku niewysłowionej radości naszej i zadowoleniu znów cichło z wolna w miarę oddalania się, aż ucichło zupełnie.

- Mamo! - odezwałem się. - Weź wszystko i uciekajmy stąd!

Byłem pewny, że zaryglowane drzwi musiały wzniecić podejrzenie, więc ów zbój sprowadzi nam na głowę cały rój szerszeni; w każdym razie, jak dziękowałem sobie sam za zaryglowanie drzwi, tego nie potrafi wysłować nikt, kto nie spotkał się w swym życiu z tym przerażającym ślepcem.

Lecz matka, choć miała tęgiego pietra, nie chciała przystać na to, by wziąć o grosz złamany więcej, niż się jej należało, a również stanowczo sprzeciwiała się poprzestaniu na mniejszej sumie. Powtarzała, że jeszcze nie ma siódmej, że zna swoje prawa i chce je wykorzystać. Jeszcze spierała się ze mną, gdy wtem rozległo się ciche, krótkie gwizdnięcie opodal na wzgórzu. To wystarczyło aż nadto nam obojgu.

- Wezmę to, co mam - powiedziała zrywając się na równe nogi.

- A ja wezmę tę drobnostkę dla zaokrąglenia rachunku! - dodałem chwytając ceratową paczuszkę.

W jednej chwili zbiegliśmy po omacku na dół zostawiając świecę przy wypróżnionej skrzyni, otworzyliśmy drzwi i poczęliśmy umykać co sił w nogach. Nie wybraliśmy się ani o minutę za wcześniej. Mgła szybko się rozwiewała, a księżyc z wysoka świecił już bardzo jasno na wszystkie strony, jedynie na samym dnie wąwozu i koło drzwi karczmy leżała wąska smuga ciemności, osłaniająca nasze pierwsze kroki. Ale niespełna w połowie drogi do wioski, prawie u stóp pagórka, musieliśmy wyjść na przestrzeń oświetloną księżycem. Nie dość tego: do naszych uszu doszło tupotanie kilku pędzących ludzi. Gdy spojrzeliśmy w ich stronę, ujrzeliśmy światło chybotające się tam i z powrotem i zbliżające się coraz bardziej, co świadczyło, że jeden z przybywających miał latarnię. \*

- Mój kochany - rzekła nagle matka - weź pieniądze i uciekaj. Ja słabnę.

Myślałem, że już niechybnie nadszedł kres nas obojga. O, jakże przeklinałem tchórzostwo sąsiadów! Jak wymyślałem w duchu biedną mateńkę, za jej uczciwość i chciwość, za jej dawną niewczesną śmiałość i obecną słabość! Na szczęście znajdowaliśmy się koło mostku, przeto słaniającą się i wyczerpaną doprowadziłem na skraj brzegu, gdzie jak przewidywałem, wydała jęk i upadła bez przytomności w moje ramiona. Nie wiem, skąd mi się wzięło tyle siły, aby to wykonać i pewno zrobiłem to dość niezdarne, bądź co bądź jednak udało mi się zaciągnąć ją pod mostek, a nawet ukryć za węgarem. Dalej już nie mogłem jej posunąć, gdyż mostek był niewysoki, tak iż zaledwie sam zdołałem wczołgać się pod niego. Tak musieliśmy czekać zmiłowania Bożego, oddaleni od karczmy zaledwie na odległość głosu. Matka leżała bez ducha.

## Dokończenie opowieści o ślepych żebraku

Jednakowoż ciekawość przemogła trwogę; nie mogłem wytrzymać na jednym miejscu, lecz wgramoliłem się z powrotem na brzeg, gdzie chowając się za krzakiem janowca, mogłem przyglądać się drodze wiodącej do naszej gospody. Ledwo stanąłem na czatach, już zaczęli się schodzić nasi wrogowie; biegło ich siedmiu czy ośmiu całym pędem, aż tętent ich stóp rozlegał się od czasu do czasu wzdłuż drogi; człowiek z latarnią wyprzedzał ich o kilka kroków. Trzech biegło razem, trzymając się za ręce; pomimo mgły wyobrażałem sobie, że środkowy mężczyzna w tej trójce był to ślepy żebrak. W chwilę później jego głos potwierdził moje domysły.

- Rozwalić drzwi - zawołał.

- Według rozkazu! - odpowiedziało kilka głosów. Do „Admirała Benbow” przypuszczono szturm, latarnia posunęła się naprzód; zaraz zauważyłem, że się zatrzymali, a rozmowa przeszła w przytłumiony pomruk, jak gdyby napastnicy się zdumiali widząc drzwi otwarte. Lecz przerwa trwała krótko, ponieważ ślepiec znów powtórzył rozkaz. Głos jego brzmiał donośniej i przeraźliwiej, jakby był roznamiętniony zniecierpliwieniem i wściekłością.

- Naprzód, do środka, do środka! - darł się i obrzucał ich przekleństwami za opieszałość.

Czterech czy pięciu z nich posłuchało od razu, dwóch pozostało na gościńcu wraz ze strasznym dziadygą. Przez chwilę było cicho, potem dał się słyszeć okrzyk zdziwienia, a wreszcie głos jakiś wrzasnął:

- Bili nie żyje!

Ślepiec znów ich złażał za ociąganie się.

- A, wy wykrętne łotry! Niech go który zrewiduje, a reszta wio! na górę i znieść tę skrzynię.

Słyszałem łoskot ich obcasów na naszych starych schodach; pewno cały dom aż dygotał od tych uderzeń. Za chwilę doleciały do mnie nowe krzyki zdumienia; ktoś w pokoju kapitana otworzył na oścież okno z trzaskiem i brzękiem tłuczonego szkła. W blasku księżycy widać było jak wysunął stamtąd głowę i barki jakiś mężczyzna, który zwrócił się do ślepeca stojącego poniżej na ulicy:

- Słuchaj, Pew! Tu już był ktoś przed nami! Ktoś przetrząsnął cały kufer i przewrócił w nim wszystko do góry nogami.

- A czy to się tam znajduje? - ryknął Pew. - - Pieniądze są.

Ślepiec zaklął odsyłając pieniądze do wszystkich diabłów.

- Mówię o piśmie Flinta! - krzyknął.

- W żaden sposób nie możemy go odszukać - odpowiedział tamten.



- Hej, wy na dole! Czy nie znaleźliście tego przy Billu? - wołał znów ślepiec.

Na to przybiegł inny drab, widocznie jeden z tych, którzy zostali na dole, żeby obszukać zwłoki kapitana, i stanął w drzwiach mówiąc:

- Billa już ktoś obmacał! Nic nie zostało!

- W tym musieli palce maczać ludzie z tej karczmy! To sprawka tego chłopca! Och, żebym mógł mu oczy wyłupić! - krzyczał ślepy żebrak Pew. - Oni tu byli niedawno... zaryglowali drzwi, kiedy próbowałem się do nich dostać. Dalej, chłopcy! Biegajcie na wszystkie strony i przyłapcie ich!

- Z pewnością tu się gdzieś ukryli i siedzą po kątach! - bąknął zbójca stojący w oknie.

- Rozsypcie się na wszystkie strony i szukajcie ich! Przetrząsni-jcie cały dom! - powtarzał Pew waląc kosturem o ziemię.

Hałas ogromny zapanował w całej naszej starej gospodzie; to tu, to tam rozbrzmiewały ciężkie stąpania, przewracano sprzęty, otwierano kopnięciami drzwi, aż skały odpowiadały głośnym echem. Na koniec zbójcy poczęli wychodzić jeden za drugim na ulicę oznajmiając, że niepodobna nas odnaleźć. Równocześnie ten sam gwizd, który poprzednio spłoszył matkę i mnie w czasie liczenia pieniędzy kapitana, dał się ponownie słyszeć wyraziście w ciszy nocnej, lecz tym razem dwukrotnie. Mniemałem wprzód, iż jest to surma bojowa niewidomego dziada wzywającego całą szajkę do ataku. Teraz jednakże przekonałem się, że świstanie pochodziło ze zbocza pagórka zwróconego w stronę wioski, sądząc zaś z wrażenia, jakie wywarło na rozbójnikach, było znakiem, który ostrzegał ich przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

- To znowu Dirk[2]! - rzekł jeden z nich. - Dwa razy! Trzeba zawracać, koledzy!

- Dam ja ci zawracać, baranie! - zlił się Pew. - Dirk był głupcem i tchórzem od urodzenia; nie zważać na niego! Oni tu muszą być niedaleko; nie mogą być daleko! Więc do dzieła! Rozsypać się i szukać, psy jedne! Och, na mą duszę - krzyczał - gdybym miał oczy!

Rozkaz ten sprawił niejakie wrażenie. Dwaj opryszkowie wzięli się do poszukiwań tam i sam pośród gratów, lecz jak mi się zdawało, bez entuzjazmu i przez cały czas spozierając w stronę grożącego niebezpieczeństwa; reszta stała niezdecydowanie na gościńcu.

- Macie już krocie pieniędzy prawie w garści, wy głupcy, a nie chce się wam powłóczyć nogami! Jeżeli uda się wam to znaleźć, będziecie bogaci jak królowie; wiecie, że to jest tutaj, a stoicie i udajecie zmęczonych! Nie było między wami takiego, który by się odważył stanąć wobec Billa... i ja to uczyniłem, ja, człowiek niewidomy! I ja też przez was tracę swe szczęście! Zostanę ubogim włóczę-gą-żebrakiem, nie mającym nawet za co napić się rumu, chociaż mógłbym jeździć kareta! Gdybyście mieli choć tyle serca co najmniejszy robaczek, już byście ich złapali.

- Daj spokój, Pew, zdobyliśmy talary! - zrzędził jeden ze zbójców.

- Oni mogli ukryć tę przeklętą rzecz - \* rzekł inny. - Chodź, Pew, weź z sobą Jerzego i nie drzyj gęby!

„Darcie gęby” było tu trafnym wyrażeniem, gdyż wściekłość Pew wzrosła niebywale w miarę sprzeciwu; wreszcie, gdy rozjuszenie przeszło wszelkie granice, zaczął ich okładać na oślep w prawo i w lewo, a kij jego zadudnił głucho na plecach niejednego z nich.

Ci ze swej strony przekleństwami i obelgami odwzajemniali się ślepemu hultajowi, odgrazając mu się w strasznych słowach, a zarazem nadaremnie usiłowali pochwyć kostur i wydrzeć go z jego rąk.

Ta sprzeczka była dla nas wybawieniem. Gdy oni jeszcze się spierali ze sobą, od wierzchołka wzgórza w stronie wioski doszedł inny odgłos, a mianowicie tętent galopujących koni. Prawie równocześnie błysnęło coś koło żywopłotu i rozległ się trzask wystrzału pistoletowego. Było to niewątpliwie ostatnim hasłem niebezpieczeństwa, gdyż piraci natychmiast zwrócili się do ucieczki rozpraszając się we wszystkich kierunkach, jedni ku zatoce, drudzy na przełaj przez wzgórze, słowem, gdzie kto mógł. W ciągu pół minuty nie było ani śladu po nich - pozostał tylko Pew. Opuścili go współnicy, nie wiadomo, czy jedynie z winy popłochu, czy też z zemsty za obelgi i razy, dość że pozostał w tyle, grzmocąc zaciekle laską w ziemię, szukając po omacku i nawołując swych kamratów. Wreszcie przybrał mylny kierunek i począł biec ku wsi, mijając mnie o kilka kroków i wrzeszcząc:

- John!... Czarny Psie!... Dirk!... - tu następowały jeszcze inne imiona i przezwiska. - Chyba nie chcecie porzucić starego Pew, druhowie, nie opuszczajcie starego Pew!

Akurat wtedy na szczycie pagórka zabębniły kopyta końskie, w blasku miesiąca wyłoniło się czterech czy pięciu jeźdźców, którzy w pełnym galopie poczęli zjeżdżać po pochyłości.

Pew zmiarkował swą omyłkę, więc z krzykiem zawrócił, popędził wprost do rowu i stoczył się do niego. W sekundzie jednak był znów na nogach, lecz teraz całkowicie oszołomiony, rzucił się wprost pod pierwszego z nadjeżdżających koni.

Jeździec chciał go ocalić, ale na próżno. Pew powalił się wydając krzyk, który przenikliwie zabrzmiał wśród nocy; cztery kopyta stratowały i zmiażdżyły nieszczęśnika i przeszły dalej. Upadł na bok, następnie osunął się z wolna twarzą ku ziemi i odtąd już się nie poruszył.

Zerwałem się na równe nogi i powitałem jadących. Osadzili konie w miejscu, mimo wszystko przerażeni wypadkiem, więc ich od razu poznałem. Jeden, człapiący na ostatku, był to ów parobek, który wyprawił się z wioski do doktora Liveseya; resztę stanowili strażnicy celni, których spotkał on po drodze i z którymi przezornie natychmiast wrócił.

Pewne pogłoski o statku w grocie Kitta dotarły do nadkomisarza Dance'a, co skłoniło go owej nocy do wyprawy w naszą stronę; tej to okoliczności matka i ja zawdzięczaliśmy ocalenie.

Pew był martwy, martwy jak kamień. Co się tyczy mojej matki, to gdy zaniesiono ją do wioski i poczęto cucić zimną wodą oraz solami, przyszła wnet do siebie i bynajmniej nie odbił się na jej zdrowiu niedawny strach, chociaż nie przestawała narzekać na stratę należnych pieniędzy. Tymczasem komisarz ruszył galopem w stronę. „Pieczary Kitta”, ludzie jego zaś zaczęli zsiadać z

koni i przekradać się do parowu, prowadząc, a niekiedy ciągnąc za sobą swe wierzchowce, w ciągłej obawie zasadzki. Toteż nie było wielką niespodzianką, gdy dotarłszy do jaskini zastali lugier już w drodze, choć w niewielkiej odległości. Komisarz huknął na załogę. Jakiś głos zawołał, żeby zszedł im z oczu, bo go poczęstują ołowiem; w tejże chwili kulka świsnęła mu tuż obok ramienia. Lugier zdwoił swą chyżość i niebawem znikł. Pan Dance stał i - jak się wyraził - był podobny do ryby wyrzuconej z wody; jedyną rzeczą, którą mógł uczynić, było wysłanie jednego ze strażników do B..., ażeby zawiadomić stojący tam kuter.

- I to zresztą - nadmienił - na nic się nie przyda. Dali drapaka i na tym koniec! - Słyszac zaś moją opowieść dodał:

- Cieszę się przynajmniej, że wreszcie przydeptałem nagniotki sławetnemu Pew.

Powróciłem w jego towarzystwie „Pod Admirala Benbow”. Trudno sobie przedstawić obraz większego spustoszenia! Nawet zegar stracili na ziemię ci złoczyńcy w swym zajadłym polowaniu na mnie i moją matkę. Pomimo że nie skradziono niczego oprócz sakiewki kapitana i drobnej ilości srebra z szuflady, to jednak od razu poznałem, że jesteśmy doprowadzeni do ruiny. Komisarz Dance nie mógł nic zrozumieć z tej sceny.

- Przecież znaleźli pieniądze, jak sam mówiłeś? Powiedz mi więc, Hawkins, czego tu jeszcze oni szukali? Zapewne jeszcze innych pieniędzy?

- Nie, panie! - odpowiedziałem. - Zdaje mi się, że nie szukali pieniędzy. Jestem przekonany, że przedmiot ich poszukiwań mam w kieszeni za pazuchą, a prawdę powiedziawszy powinienem go oddać w bezpieczne przechowanie.

- Oczywiście, chłopcze, masz słusność - odrzekł. - Mogę go wziąć, jeśli chcesz.

- Sądziłem, że może doktor Livesey... - zacząłem mówić, lecz ów przerwał wesołym tonem.

- Ależ zupełnie słusznie! To człek dostojnie urodzony i urzędnik! Wszelako przyszło mi na myśl, że mógłbym konno prędko tam zajechać i doręczyć jemu albo dziedzicowi. Imci pan Pew zginął w tym całym zajściu, nie żał mi go, lecz ludzie, gdy tylko mogą, ostrzą sobie zęby na urzędnikach celnych Jego Królewskiej Mości i teraz z jego śmierci ukują zarzut przeciwko mnie, jeżeli się im uda. Wobec tego wiesz co, mości Hawkins, jeżeli pozwolisz, zabiorę cię z sobą na świadka.

Podziękowałem mu serdecznie za tę usługę i wróciliśmy do wsi, gdzie stały konie. Ledwo zdążyłem opowiedzieć matce o swych zamiarach, już wszyscy strażnicy byli na siodłach.

- Dogger! - rzekł pan Dance do jednego z nich. - Masz dobrego konia, posadź za sobą tego zucha.

Gdy siedziałem już na koniu, trzymając się pasa Doggera, komisarz wydał komendę i oddział pomknął w cwał gościńcem wiodącym ku domowi doktora Liveseya.

# Papiery kapitana

Jechaliśmy rączo przez całą drogę, aż zatrzymaliśmy się przed bramą domu doktora Liveseya. Całe mieszkanie od frontu pogrążone było w ciemności.

Komisarz Dance poprosił mnie, żebym zeskoczył i zapukał do drzwi, a Dogger podał mi strzemień do zsiadania. Za chwilę otworzyła służąca.

- Czy zastaliśmy doktora Liveseya? - zapytałem. Odpowiedziała, że nie ma go w domu; wprawdzie po południu

wpadł do siebie, lecz później udał się do dworu, gdzie miał zostać na wieczery i pogawędzić z dziedzicem.

- A więc jedziemy tam, chłopcy! - zakomenderował pan Dance.

Tym razem, ponieważ odległość była nieznaczną, nie wsiadłem na konia, lecz biegłem przy strzemieniu Doggera. Minawszy bramę wjazdową znaleźliśmy się w długiej, bezlistnej, oblanej księżycowym światłem alei, którą zamykała biała smuga zabudowań dworskich, odcinająca się na tle starego parku leżącego z obu stron. Pan Dance zsiadł z wierzchowca i wziął mnie z sobą do pałacu.

Wpuszczono nas tam na pierwsze słowo. Pokojówka poprowadziła nas przez sień wysłaną kobiercami i wskazała nam w końcu wielką bibliotekę, zastawioną szafami pełnymi książek i ozdobionymi popiersiami. Dziedzic wraz z doktorem Liveseyem siedzieli po dwóch stronach płonącego kominka kurząc fajki.

Nigdy dotychczas nie widziałem dziedzica z tak bliska. Był on wzrostu słusznego, ponad sześć stóp wysokości, tęgi był w miarę; twarz miał jowialną i nieco rubaszną, opaloną, stwardniałą i pomarszczoną wskutek długich podróży. Brwi miał nadzwyczaj ciemne, żywo poruszające się, co nadawało mu pozory popędliwości - ale nie robił wrażenia człowieka złego, tylko raptusa i gorączki.

- Proszę wejść, panie Dance - powiedział tonem pełnym dostojności i łaskawym.

- Dobry wieczór, mości Dance - przemówił doktor skinąwszy głową. - I ciebie witam, kochany Jimie. Jakież bogi was tu przynoszą?

Komisarz stanął na baczność, jakby połknął kij, i wyrecytował całą historię jak zadaną lekcję. Warto było widzieć, jak obaj panowie pochylili się w przód i spozierali po sobie w zdumieniu i zaciekawieniu, zgoła zapomniawszy o fajce. Gdy posłyszeli, jak moja matka wracała do karczmy, doktor Livesey uderzył się dłonią po udzie, dziedzic zaś krzyknął: „Brawo!” i złamał długi cybuch swej fajki na kracie kominka. Jeszcze zanim się to stało, pan Trelawney (zapewne pamiętacie, że było to nazwisko naszego dziedzica) powstał z krzesła i jął przechadzać się po pokoju, a doktor, jakby chciał lepiej słyszeć, zdjął napudrowaną perukę i siedział tak, wyglądając bardzo śmiesznie z głową pokrytą własnymi czarnymi, krótko ostrzyżonymi włosami.

Gdy pan Dance dokończył nareszcie swej opowieści, dziedzic odezwał się:

- Panie Dance, dzielny z pana człowiek! Co się tyczy przejechania tego czarnego, wstrętnego łajdaka, to panu ów postępek poczytuję za czyn chwalebny jak rozdeptanie karalucha. A z tego urwisa Hawkinsa, jak się przekonałem, też ćwik nie lada. Jimie, bądź tak dobry, zadzwoń tym dzwonkiem. Pan Dance musi napić się piwa.

- Słuchaj, Jim - rzekł doktor. - A masz ty ten przedmiot, na który ci łotrzy urządzali obławę?

- Oto jest, panie doktorze! - odrzekłem podając mu ceratowe zawiniątko.

Doktor obejrzał je z wierzchu, jakby go palce świerzbiały, by otworzyć paczuszkę; jednak zamiast to uczynić, włożył ją najspokojniej w świecie w kieszeń surduta.

- Panie dziedzicu - przemówił. - Pan Dance, skoro napije się piwa, będzie musiał niestety nas pożegnać, gdyż jest w służbie Jego Królewskiej Mości. Mam jednak zamiar zatrzymać na nocleg w moim domu przynajmniej Jima Hawkinsa, a za pańskim pozwoleniem proponuję, by poczęstować go zimnym pasztetem i dać mu kolację.

- Jak pan sobie życzy, Livesey - zgodził się dziedzic. - Hawkins zasłużył na coś więcej niż na zimny pasztet.

Przyniesiono potężną porcję pasztetu z gołąbków i postawiono na bocznym stoliku; wzięłem się do jedzenia, aż mi się uszy trzęsły, bo głodny byłem jak wilk. Tymczasem pan Dance słuchał w dalszym ciągu pochwał, aż w końcu oddalił się.

- A teraz, dobrodzieju... - rzekł doktor.

- A teraz, doktorze... - zaczął dziedzic jednocześnie.

- W tej samej chwili myślimy o tym samym - zaśmiał się doktor Livesey. - Przypuszczam, że pan słyszał o Flincie?

- Czy słyszałem? - oburzył się dziedzic. - Pan się pyta, czy o nim słyszałem? Wszak był to najstraszniejszy opryszek, jaki kiedykolwiek pływał po morzu! Sinobrody był dzieckiem w porównaniu z Flintem. Hiszpanie tak się go strasznie lękali, że mówię panu, nieraz byłem dumny z tego, iż był on Anglikiem. Na własne oczy widziałem jego żagle, gdyśmy odbili od Trinidad, a ten tchórzliwy opój, który dowodził statkiem, zawrócił... tak, powiadam panu, zawrócił do Port d'Espagne!

- No tak, ja sam nasłuchiwałem się o nim dosyć nawet w Anglii - rzekł doktor. - Lecz grunt w tym, czy miał on pieniądze?

- Pieniądze! - krzyknął dziedzic. - Czy pan słyszał tę historię przed chwilą? A czegoż, proszę, poszukiwali ci szubrawcy, jak nie pieniędzy? O cóż im kiedy chodziło, jak nie o pieniądze? Dlaczegoż narażali swe łajdackie ścierwa, jak nie dla pieniędzy?

- O tym zaraz się dowiemy - odparł doktor. - Ależ pan jest w gorącej wodzie kapany i taki z pana krzykacz, że nie mogę dojść do słowa. Chcę się takiej rzeczy dowiedzieć: dajmy na to, że w mojej kieszeni znajdują się pewne wskazówki, gdzie Flint zakopał swoje skarby; otóż pragnąłbym się dowiedzieć, czy ten skarb ma wielką wartość?

- Wielką, pan mówi! - wybuchnął dziedzic. - Zaraz panu powiem, czego on dosięga. Jeżeli posiadamy ów klucz, o którym pan mówi, tedy każę zbudować okręt w stoczniach bristolskich, zabieram ze sobą pana i obecnego tu Hawkinsa i znajdę ów skarb, choćby mi przyszło rok go szukać.

- Wyśmienicie - rzekł doktor. - Zatem, jeżeli Jim pozwala, otworzę tę paczkę.

To powiedziawszy położył paczkę przed sobą na stole. Była zszyta, więc doktor wydobyl skrzynkę z narzędziami i rozciął szwy za pomocą nożyczek chirurgicznych. Paczka zawierała dwa przedmioty: zeszyt i ćwiartkę zapieczętowanego papieru.

- Najpierw zbadamy zeszyt - zauważył doktor.

Dziedzic i ja staliśmy za nim i spoglądaliśmy poprzez jego ramię, gdy otworzył zeszyt, ponieważ doktor Livesey skinął był na mnie uprzejmie, ażebym podszedł bliżej od stołu, gdzie spożywałem wieczerzę i abym również wziął udział w badaniu. Na pierwszej stronie było jedynie kilka gryzmołów, jakie mógł nakreślić z nudów lub dla wprawy człowiek mający pióro w ręce. Jeden z napisów był taki sam jak na tatuowanym ramieniu: „Billy Bones, dla fantazji”; dalej szły słowa „B. Bones, marynarz”, „Ani krzty rumu więcej”, „W Palm Key on dostał tego” - i kilka innych bazgroł, przeważnie oderwane wyrazy bez związku i sensu. Nie mogłem żadną miarą dojść do zrozumienia, kim był ów ktoś, co „dostał tego”, i co mianowicie on dostał. Może nożem w plecy? Kto odgadnąć zdoła?

- Nie ma tu żadnych objaśnień - rzekł doktor Livesey odwracając kartkę.

Następnie dziesięć czy dwanaście stron było wypełnionych szeregami dziwnych zapisków. Na początku każdej linijki była data, a na końcu suma pieniężna, jak w zwykłych księgach rachunkowych, lecz pomiędzy jednym a drugim zamiast wyrazów objaśniających znajdowały się jedynie krzyżyki w najrozmaitszej ilości. Na przykład, pod datą 12 czerwca 1745 roku zanotowano sumę siedemdziesięciu funtów, oznaczającą niewątpliwie dług zaciągnięty u kogoś, a ponadto nie było nic oprócz sześciu krzyżyków stanowiących jakby dalsze wyjaśnienie. W niewielu wypadkach dodawano zapewne nazwę miejscowości, jak na przykład: „W pobliżu Caracas”, albo też suchą notatkę o długości i szerokości geograficznej, na przykład: 62° 17' 20”, 19° 20' 40”.

Spis obejmował mniej więcej dwadzieścia lat, a wysokość poszczególnych rachunków wzrastała z biegiem czasu; na samym końcu, po pięciu czy sześciu błędnych dodawaniach, umieszczono wynik ogólny oraz słowa: „Bones, jego mienie”.

- Nie mogę tu związać początku z końcem - rzekł doktor Livesey.

- Eee! Sprawa jest jasna jak słońce! - zawołał dziedzic. - Jest to księga rachunkowa tego przeokrutnego złoczyńcy. Te krzyżyki zastępują nazwy okrętów lub miast, które oni zatopili czy

złupili; te sumy stanowią zdobycz tego obwiesia, a tam gdzie obawiał się dwuznaczności, widzicie, że dodał bliższe objaśnienie. Na przykład: „W pobliżu Caracas”; widzicie, do tych wybrzeży łotrzy przyholowali jakiś nieszczęsny statek. Boże, bądź miłościw tym biednym duszom, które przed laty wysadzono na tej koralowej skale...

- Ma pan rację! - rzekł doktor. - Co to znaczy być podróżnikiem! Trafnieś pan odgadł! A widzi pan, jak sumy rosną, im więcej kolumny mają cyfr!

Ponadto nie było już nic ważnego w całym zeszycie, co najwyżej na czystych stronicach przy końcu znajdowało się kilka wzmianek o różnych miejscowościach oraz tabela zamiany pieniędzy francuskich, angielskich i hiszpańskich na walutę obiegową.

- A to ci kutwa! - zawołał doktor. - Takiego to niełatwo w pole wywieść!

- Teraz zabierzemy się do drugiego dokumentu! - rzekł dziedzic.

Papier był w kilku miejscach zapieczętowany, a zamiast pieczętka użyto napařtka; może był to ten sam napařstek, który znalazłem w kieszeni kapitana. Doktor z wielką ostrożnością przełamał pieczęcie, a ze środka złożonej ćwiartki wypadła mapa jakiejś wyspy, z podaniem długości i szerokości geograficznej, mielizn i głębi, nazw wzgórz, zatok i przystani - słowem, ze wszystkimi szczegółami potrzebnymi do bezpiecznego lądowania u jej brzegów. Wyspa ta miała około dziewięciu mil wzdłuż i pięciu wszerz, a kształt jej, rzec można, przypominał opasłego smoka w postawie stojącej; były tam dwie przystanie bardzo dogodne, bo zamknięte dokoła, a pagórek w samym środku nosił nazwę „Lunety”. Było jeszcze kilka dopisków z daty późniejszej, lecz przede wszystkim były tam trzy krzyżyki nakreślone czerwonym atramentem - dwa w północnej części wyspy, a jeden na południu, koło nich zaś tym samym czerwonym atramentem i drobnym pięknym pismem, wielce odmiennym od koślawych kulfonów kapitana, wypisano słowa następujące: „Tu wyładowano skarb”.

W górze na odwrotnej stronie ta sama ręka wypisała dalsze objaśnienia:

*Wysokie drzewo, cypel „Lunety”, kierując się na Pn. od strzałki kompasu Pn. Pn. W.*

*Wyspa Szkieletów W. Pd. W. i przez Wsch.*

*Dziesięć stóp.*

*Sztaby srebra są w północnej skrytce; można je znaleźć idąc w kierunku wschodniej grani, dziesięć sążni na południe od czarnej skały, zwróciwszy się twarzą ku niej.*

*Broń można łatwo znaleźć na piaskowym wzgórzu, kierunek Pn. od przylądka północnej zatoki, zwrot na W. i ćwierć Pn.*

*J. F.*

Było to wszystko, lecz objaśnienia, acz zwięzłe i niezrozumiałe dla mnie, napełniły radością dziedzica i doktora Liveseya.

- Mości Livesey - rzekł dziedzic - dasz pan już spokój swej utrapionej praktyce lekarskiej. Jutro odjeżdżam do Bristolu. W ciągu trzech tygodni - co mówię, trzech tygodni! Dwóch tygodni, dziesięciu dni - będziemy mieli najlepszy statek i najlepszą załogę w Anglii, Hawkins pojedzie z nami jako chłopiec okrętowy; będziesz, imć Hawkinsie, świetnym chłopcem okrętowym. Waszmość, panie doktorze, będziesz lekarzem naszej załogi, a ja będę dowódcą okrętu. Weźmiemy z sobą Redrutha, Joyce'a i Huntera. Będziemy mieli pomyślne wiatry, szybką jazdę i niewiele trudności w znalezieniu owej miejscowości, a za to dosyć grosza, by dobrze sobie podjąć, zaproszyć głowę i zagrać w gąskę i gąsiora.

- Panie Trelawney - wtrącił doktor. - Ja pojedę z panem i ręczę, że i Jim tego samego sobie życzy; bądźmy więc dobrej myśli co do naszego przedsięwzięcia. Boję się tylko jednego człowieka...

- Któż to taki? - krzyknął dziedzic. - Proszę mi powiedzieć imię tego niegodziwca!

- Mówię o panu - odpowiedział doktor - gdyż nie umiesz trzymać języka za zębami. Nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy wiedzą o tym papierze. Ci hultaje, którzy napadli dziś w nocy na karczmę (bez wątpienia zuchwali i nie mający nic do stracenia rębacze!) i inni, którzy znajdowali się na pokładzie wiadomego statku (a śmiem przypuszczać, że jest ich więcej w pobliżu), spiknęli się wszyscy, żeby zdobyć te pieniądze. Musimy się nieco rozłączyć, aż do czasu gdy przyjdzie nam odpłynąć na morze. Jim musi na razie pozostać u mnie; pan weźmie Joyce'a i Huntera i odjedzie do Bristolu, a od początku do końca nie wolno nikomu z nas pisnąć ani słowa o tym, cośmy odkryli.

- Livesey! - rzekł dziedzic. - Masz pan zawsze słusność w takich wypadkach. Będę milczał jak grób.



**Część Druga**

**Kucharz okrętowy**

## Przybywam do Bristolu

Wbrew przypuszczeniom dziedzica sporo wody upłynęło, zanim byliśmy gotowi do żeglugi, przy tym nie ziścił się po naszej myśli żaden z pierwotnych zamiarów, nawet zamiar doktora Liveseya, by mnie zatrzymać przy sobie. Doktor musiał wyjechać do Londynu, żeby tam spełniać obowiązki swego zawodu; dziedzic miał wiele pracy w Bristolu, ja zaś mieszkałem we dworze pod opieką starego Redrutha, leśnika dworskiego. Tu prowadziłem życie pustelnicze, ale pełne marzeń o morzu oraz najrozkoszniejszych rojeń o nieznanymi wyspach i przygodach. Godzinami całymi dumałem o mapie, której wszystkie szczegóły pamiętałem dokładnie. Siedząc przy kominku w pokoju ochmistrzyni zbliżałem się wyobraźnią do tej wyspy, wdrapywałem się po tysiące razy na ów wysoki pagórek zwany „Lunetą”, a z jego wierzchołka podziwiałem najczarowniejsze i zmieniające się widoki. Niekiedy wyspa była zaludniona przez dzikusów, z którymi staczaliśmy walki; kiedy indziej rośla się od drapieżnych zwierząt, które nas ścigały. Pomimo to we wszystkich tych majaczeniach nigdy nie zdarzyło mi się nic tak dziwnego i strasznego jak przygody, które nam przyszło przeżywać na jawie.

Mijał tydzień po tygodniu, aż pewnego pięknego poranku nadszedł list adresowany do doktora Liveseya i opatrzony uwagą: „W razie jego nieobecności otworzy Tom Redruth lub młody Hawkins”. Stosując się do tego polecenia znaleźliśmy - ściśle mówiąc, znalazłem ja, gdyż leśnik był nietęgi w piśmie i znał się jedynie na literach drukowanych - następujące ważne nowiny.

*Bristol, gospoda „Pod Starą Kotwicą”, 1 marca 17..*

*Kochany Liveseyu!*

*Ponieważ me wiem, gdzie Waćpan się obracasz, czy we dworze, czy w Londynie, więc posyłam list niniejszy w dwu egzemplarzach w oba miejsca.*

*Okręt już kupiony i wyporzadzony. Stoi na kotwicy gotów do drogi. Pewno sobie Pan nie wyobrażał nigdy piękniejszego szonera - dziecko mogłoby na nim żeglować. Pojemność dwieście ton; nazywa się «Hispaniola».*

*Nabyłem ten statek za pośrednictwem starego przyjaciela, Bland-ly'ego, który sam wypróbował należycie to zachwycające cacko. Czcigodny wiarus wprost zaprzedał się w mą służbę i mogę powiedzieć, że wszyscy w Bristolu prześcigają się w uprzejmości dla mnie, skoro tylko doczekamy się wiatru pozwalającego na odbicie od lądu, wyruszamy, jak mniemam, na poszukiwanie skarbów!*

- Panie Redruth! - odezwałem się przerywając czytanie. - Doktor Livesey nie będzie zadowolony. Jaśnie pan wszystko wygadał...

- No, no, kto ma rację - burknął leśnik. - Zdaje mi się, że byłoby rzeczą dziwną, gdyby jaśnie pan nie wygadał wszystkiego doktorowi Liveseyowi.

Słyszając to już nie kusilem się o komentarze, lecz czytałem jednym tchem dalej:

*Sam Blandly wynalazł «Hispaniolę» i dzięki zadziwiającemu sprytowi nabył ją za bajecznie niską cenę. W Bristolu nie brak ludzi zażarcie uprzedzonych do Blandly'ego. Ci nie wahają się mówić w oczy, że to chłopisko pocziwe z kośćmi dopuściło się szalbierstwa, jako że «Hispaniola» była jego własnością, a on sprzedał mi za cenę wyśrubowaną do niemożliwości - wszystko to najoczywistsza potwórz. Nikt z nich w każdym razie nie śmie odmówić okrętowi wielkich zalet.*

*Aż dotąd nie miałem trudności. Wprowadzcie robotnicy - cieśle okrętowi i jak się tam jeszcze zowią - marudzili wstrętne przy pracy, jednak czas zrobił swoje. Kłopot mi sprawiało jedynie zdobycie załogi.*

*Chciałem mieć liczną drużynę - na wypadek spotkania z krajowcami, z korsarzami ',^ szelmami Francuzami. Gotów już byłem iść choćby do samego faska, żeby znaleźć z pół tuzina wiarusów, gdy wtem nadzwyczajny zbieg okoliczności nastroczył mi człowieka, jakiego mi było potrzeba.*

*W rozmowę z nim wdałem się przypadkowo, bawiąc w stoczni. Dowiedziałem się że był marynarzem, obecnie zaś jest właścicielem szynku i zna wszystkich marynarzy w Bristolu. Pobyt na ładzie oddziaływa niekorzystnie na jego zdrowie, więc stary wilk morski chciałby otrzymać miejsce kucharza na okręcie, aby znów pojeździć po odmętach. Przywłókł się tu rano o kulach, żeby jak się mówi, poczuć zapach słonego powietrza.*

*Wzruszyło mnie to niezmiernie - i sądzę, że pan również byłby przejęty \_\_ więc ie szczerego współczucia zwerbowałem go prosto z mostu na kucharza okrętowego. Nazywa się Długi John Silver i jest pozbawiony jednej nogi, co wszakże uważam za chlubę, gdyż postradał ją w służbie ojczyzny, pod dowództwem nieśmiertelnego admirała Hawke ła swe zasługi nie otrzymuje zgolą wynagrodzenia; wyobraź sobie Pan kochany panie Lwesey, w jakim to okropnym wieku żyjemy.*

*No, mociumpanie myślałem, że znalazł tylko kucharza... aliści wnet potem jak spol z^em^ wyrosła mi cała załoga! Przy pomocy Silvera zebrałem w ciągu kilku dni zastęp starych marynarzy, najwytrawniej-szych, jakich możnii s^obie wyobrazić; na pierwszy rzut oka mogą się nie podobać z wyglądu lecz z twarzy ich poznać można ducha nieulekłego. Twierdzą, że dalibyśmy radę fregacie.*

*Długi John odprawił także dwu majtków z liczby sześciu czy siedmiu, których umówilem poprzednio. Dowiódł mi, że są to nowicjusze, nie obeznani z wodą morską, którzy w razie poważnego niebezpieczeństwa byliby namjent kulą u nogi.*

*Jestem w pełni zdrowia i dobrej myśli. Jem jak wół, sypiam twardo iak kamień, jednego tylko braknie do szczęścia, a mianowicie bym już nareszcie posłyszał dreptanie moich marynarzy przy kapestanie. Hej, na morze! Co mi tam Skarby, sława morska nęci mnie więcej niż one! Dalej więc, mości Liveseu, przybywaj co rychlej i nie trać ani godziny jeżeli żywisz respekt dlamnie*

*Miody Hawkins niech zaraz pod opieką Redrutha pójdzie pożegnać się z matką, następnie*

*niech obaj stawią się czym prędzej w Bristolu.*

*John Trelawney*

*Postscriptum. Nie wspomniałem jeszcze, że ów Blandly, który mówiąc nawiasem, obiecał przysłać nam w odwodzie drugi okręt, jeżeli nie wrócimy z końcem sierpnia - wyszukał nam doskonałego szypra, który jest wprawdzie człowiekiem małymównym, czego żałuję, ale pod innymi względami jest skarbem. Długi John Silver wystraszył skądś biegłego i doświadczonego sztormana, nazwiskiem Arrow. Mam bosmana, który jest namiętym fajczarzem, co Pana pewno ucieszy, kochany panie Livesey. W ten sposób nasza miła «Hispaniola» będzie się prezentowała niczym okręt wojenny.*

*Zapomniałem opowiedzieć panu, że Siher jest człowiekiem majątnym, a przekonałem się, że ma nieprześcigniony zmysł kupiecki. Zostawia żonę, aby w jego zastępstwie prowadziła szynk; ponieważ jest to kobieta kolorowa, więc takim dwóm starym kawalerom jak pan i ja można wybaczyć przypuszczenie, że go ta żona, w równym stopniu jak i zdrowie, skłania do ponownej włości.*

*J. T.*

*Postscriptum. Hawkins może spędzić jedną noc u matki.*

*J. T.*

Możecie sobie wyobrazić podniecenie, jakiemu uległem po odczytaniu tego listu. Nie posiadałem się z radości i niemal odchodziłem od zmysłów; jeżeli czułem kiedy dla kogokolwiek wzgardę, to dla starego Toma Redrutha, który umiał tylko zrzedzić i narzekać. Niejeden z leśniczych chętnie by się z nim zamienił; cóż jednak zrobić, że tak właśnie rozporządził jaśnie pan, a wola jaśnie pana była dla nich prawem. Nikt też z wyjątkiem starego Redrutha nie miał nawet tyle odwagi, by sarkać lub utyskiwać.

Nazajutrz rano wyruszyłem piechotą „Pod Admirała Benbow”, gdzie zastałem matkę w dobrym zdrowiu i usposobieniu. Kapitan, który tak długo był powodem wielu naszych zgrzyot, odszedł już tam, gdzie nawet złoczyńcy przestają mącić wodę. Dziedzic kazał pona-prawiać to i owo, przemalować pokoje gościnne i tablice, a nawet podarował nieco sprzętów - zwłaszcza prześliczny fotel dla mojej matki, który dziś stoi w szynkowni. Wynałazł jej również chłopaka do posług, tak iż miała wyrękę podczas mej nieobecności.

Patrząc na tego chłopaka uprzytomniłem sobie po raz pierwszy własne położenie. Dotychczas myślałem wyłącznie o nadchodzących przygodach, a wcale nie o domu, który miałem opuścić, teraz na widok tego niezdarnego przybłądy, który miał zająć moje miejsce przy matce, po raz pierwszy łyzy puściły mi się z oczu. Mam wyrzuty sumienia, że zanadto dokuczałem temu chłopcu, traktując go jak kundla podwórzowego; był on jeszcze niewprawny w robocie, nie zaniedbałem więc żadnej sposobności, by go strofować i popychać.

Przeszła noc, a na drugi dzień po obiedzie obaj z Redruthem puściliśmy się pieszo w drogę. Powiedziałem „do widzenia!” matce i zatoce, nad którą żyłem od urodzenia, i staremu drogiemu „Admirałowi Benbow”, który już mi mniej był drogi, odkąd go przemaalowano. Jedną z ostatnich mych myśli było wspomnienie o kapitanie, który tak często wałęsał się po wybrzeżu w swym wystrzępionym kapeluszu stosowanym, ze starą mosiężną lunetą, z policzkiem pokiereszowanym od szabli. Niebawem minęliśmy zakręt drogi i strony rodzinne znikły mi z oczu.

Już się zmierzchało w pustkowiu, gdy wsiedliśmy do dylizansu przy zajeździe „Pod Królem Jerzym”. Wcisnąłem się między Red-rutha i otłętego, podeszłego już w lecjach jegomościa; pomimo szybkiej jazdy i nocnego chłodu musiałem zrazu tęgo zadrzemać, a następnie chrapnąć snem kamiennym, podczas gdyśmy mijali góry, doliny i postój za postojem - skoro bowiem szturchnięty przez kogoś w żebra, obudziłem się i podniosłem powieki, zobaczyłem, że jesteśmy przed wielkim gmachem na ulicy jakiegoś miasta, a słońce świeci już wysoko na niebie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

- W Bristolu - usłyszałem głos Toma. - Wyłaź, śpiochu! Pan Trelawney zakwaterował się w odległej gospodzie, aż koło

stoczni, aby doglądać roboty na statku. Zwróciliśmy tam kroki. Ku wielkiej mej uciechu droga nasza wiodła wzdłuż nadbrzeża, gdzie sterczał istny las okrętów przeróżnych rozmiarów oraz o najrozmaitszym takielunku i przynależności państwowej. Na jednym z nich żeglarze śpiewali przy pracy, na drugim wysoko nad naszą głową wdrapywali się ludzie po linach, które wydawały się cienkie jak nitki pajęczce. Choć całe życie dotychczas spędziłem nad morzem, to jednak miałem wrażenie, że nigdy nie znajdowałem się tak blisko morza jak wówczas. Woń smoły i soli była dla mnie jakby nowością. Widziałem tu najosobliwsze istoty ludzkie, przybywające z najodleglejszych krain za oceanem. Widziałem również wielu starych marynarzy, z kolczykami w uszach, z bokobrodami trefionymi w kędziory i z zasmolonymi harcapami, idących butnie niezgrabnym krokiem ludzi morza; nie mógłbym się więcej zachwycić, gdybym widział tłum królów czy arcybiskupów.

I ja sam też wybierałem się na morze... Na statku był bosman kurzący fajkę i marynarze z harcapami śpiewający swe przedziwne pieśni... Wybierałem się w drogę ku nieznannej wyspie, na poszukiwanie zakopanych skarbów!

Gdy jeszcze oddawałem się tym błogim marzeniom, doszliśmy nagle do dużej karczmy i ujrzeliśmy pana Trelawneya ubranego od stóp do głów, jak oficer marynarki, w grube granatowe sukno, uśmiechniętego i zdążającego ku nam przepyszny krokiem żeglarskim.

- Witam was, witam! - zawołał. - Doktor również przybył tej nocy z Londynu. Brawo! Załoga okrętowa stawiała się co do jednego!

- O panie łaskawy! - wykrzyknąłem. - Kiedy odpływamy?

- Kiedy odpływamy? - powtórzył. - Jutro podnosimy kotwicę!

## Szydł „Pod Lunetą”

Gdy zjadłem śniadanie, dziedzic wręczył mi pismo adresowane do Johna Silvera w karczmie „Pod Lunetą” i objaśnił, że znajdę łatwo to miejsce idąc wzdłuż stoczni i wypatrując małej gospody, mającej za godło wielką mosiężną lunetę. Ruszyłem w drogę, uradowany sposobnością bliższego przyjrzenia się okrętom i żeglarzom, i począłem przeciskać się między gawiedzią ludzką, wózkami i pakami, gdyż była to pora, kiedy w stoczni panuje ruch najbardziej ożywiony.

Wreszcie znalazłem karczmę, o którą chodziło; było to małe, lecz schludne siedlisko rozrywek. Wywieszka była świeżo malowana, w oknach widniały przyzwoite czerwone firanki, podłogę wysypano czystym piaskiem. Po obu stronach ciągnęła się ulica i drzwi otwarte były na przestrzał, dzięki czemu, mimo kłębow dymu tytoniowego, można było dokładnie przyjrzeć się obszernej, niskiej świetlicy.

Gośćmi byli przeważnie marynarze, którzy rozmawiali głosami tak podniesionymi, że zatrzymałem się w drzwiach, prawie lękając się wejść. Gdy się tak wahałem, z bokówki wyszedł człowiek, w którym na pierwszy rzut oka poznałem Długiego Johna. Miał lewą nogę uciętą pod samym biodrem, a pod lewą pachą trzymał szczudło, którym posługiwał się z nadzwyczajną zręcznością, skacząc na nim jak ptaszek. Był niezmiernie wysoki i tęgi, twarz miał wielką jak szynka, wprawdzie brzydką i bladą, lecz rozsądną i uśmiechniętą.

Zdawało się doprawdy, że ma nader wesołe usposobienie, gdyż wciąż chodził pośród stołów, pogwizdywał, a tego i owego obdarzał żartobliwym słowem lub klepał po ramieniu jeżeli był to który z ulubieńszych gości.

Prawdę mówiąc, kiedy wyczytałem pierwszą wzmiankę o Długim Johnie w liście JWP Trelawneya, zrodziła się we mnie obawa, że może to być ten sam żeglarz o jednej nodze, na którego tak długo czatowałem pod starym „Benbow”. Lecz dość było jednego spojrzenia na człowieka przede mną. Widziałem kapitana i Czarnego Psa, i ślepego Pew, więc zdawało mi się, że wiem, jak wygląda rozbójnik morski. Według mego zdania, korsarz musiał być istotą zupełnie odmienną od tego schludnego i dobrodusznego oberżysty.

Zebrałem się na odwagę, przestąpiłem próg i skierowałem się wprost do tego człowieka, który stał wsparty na szczudle, rozmawiając z jednym z klientów.

- Wszak mówię z panem Silverem? - zapytałem trzymając w ręce pismo.

- Tak jest, mój chłopcze - odparł ów - rzeczywiście tak się nazywam. A kimże ty jesteś?

Skoro obejrzał list dziedzica, wykonał ruch taki, jak gdyby chciał podskoczyć, i rzekł głośno, wyciągając rękę:

- No, teraz to już wiem! Jesteś naszym nowym chłopcem okrętowym. Bardzo mi przyjemnie cię poznać!

I ścisnął mą dłoń w swej szerokiej, silnej garści.

Właśnie w tej samej chwili porwał się z miejsca jeden z gości siedzących opodal i zmierzał ku drzwiom. Znajdowały się tuż niedaleko, więc niezwłocznie wypadł na ulicę. Pośpiech jego ściągnął na siebie moją uwagę, toteż poznałem zbiega za pierwszym spojrzeniem. Był to tenże człowiek o bladej twarzy, pozbawiony dwóch palców, który niegdyś przybył „Pod Admirala Benbow”.

- Chwytajcie go! - krzyknąłem. - Zatrzymajcie! To Czarny Pies!

- Nic mnie to nie obchodzi, kim on jest - zawołał Silver - ale on nie zapłacił rachunku! Harry, biegnij za nim i złap go!

Jeden z tych, którzy siedzieli najbliżej drzwi, podskoczył i puścił się w pogoń.

- Choćby to był sam admirał Hawke, musi mi zapłacić należność! - krzyczał Silver, a potem wypuszczając mą dłoń zapytał:

- Jak go asan nazwałeś? Czarny...?

- Czarny Pies, proszę pana - odpowiedziałem. - Czy pan Trelawney nie opowiadał panu nigdy o korsarzach? Ten człowiek był jednym z nich.

- Tak?! - rozjątrzył się Silver. - W moim domu! Ben, biegnij z pomocą Harry'emu! To był jeden z tych szachrajów! Morgan, czy to z nim piłeś? Chodź no tu!

Mężczyzna nazwany Morganem, stary, szpakowaty, smagły marynarz, wysunął się naprzód bojaźliwie i kręcił w palcach prymkę tytoniu. Długi John rzekł bardzo surowo:

- Morgan, powiedz mi szczerze, czy widziałeś kiedy przedtem tego Czarnego... Czarnego Psa?

- Nigdy, panie - odrzekł Morgan z ukłonem.

- A czy znałeś jego nazwisko?

- Nie, panie!

- Na miły Bóg, Tomaszu Morganie, twoje szczęście! - zawołał gospodarz. - Gdybyś się wdawał w komitwę z takim hultajem, to nie dopuściłbym, żeby twoja noga została w moim domu... za to ci ręczę. Ale cóż on mówił do ciebie?

- Nie wiem dokładnie, mój panie! - odpowiedział Morgan.

- Cóż to? Czy nie masz głowy na karku, czy też masz kurzą ślepotę na mózgu? - obruszył się Długi John. - Nie wiesz dokładnie co? Może przypadkiem nie wiedziałeś dokładnie, kto do ciebie mówi? He? No, wyśpiewaj wszystko, o czym on gadał - o żegludze, kapitanach, okrętach? Co to było?

- Opowiadał o przeciąganiu za karę na linie pod kilem - odpowiedział Morgan.

- O... przeciąganiu pod kilem? Rzecz nader odpowiednia, za to ci ręczy;. Wracaj na miejsce! Głupiś, Tom!

Gdy Morgan potoczył się na swoje miejsce, Silver szepnął do mnie tonem poufałym, który mi się wydał bardzo pochlebny.

- Ten Tom Morgan jest człowiekiem uczciwym, lecz głupim. Po czym głośno mówił dalej:

- Ale czy dowiemy się czegoś o tym... Czarnym Psie? Nie, doprawdy nie znam tego nazwiska, nigdy go nie słyszałem. Jednak świta mi coś w głowie... przecież ja widziałem już tego powsinogę. Przychodził tu nieraz ze ślepym żebrakiem...

- Tak, ma pan słuszość, on chodził z tym dziadem. Znam nawet tego ślepeca. Nazywa się Pew.

- Właśnie, właśnie! - zawołał Silver, zupełnie już rozgorączkowany. - Pew! Tak się nazywał z pewnością! Wyglądał na wielkiego szubrawca, tak, tak! Jeżeli dogonimy tego Czarnego Psa, to będzie mila niespodzianka dla kapitana Trelawneya! Ben biega wspaniale, mało który marynarz biega lepiej od niego. Powinien go dogonić, chwycić ptaszka w garść, jak mi Bóg miły! On opowiadał o przeciąganiu pod kilem! Ja go przeciągnę!

Przez cały czas, gdy wykrzykiwał te zdania, podrygiwał na szczudle po całej karczmie, walił ręką po stołach i tak wyraziście okazywał swe podniecenie, jak gdyby chciał przekonać sędziego z Old Bailey lub policjanta z Bow Street. W każdym razie spotkanie się z Czarnym Psem „Pod Lunetą” obudziło we mnie znów dawne podejrzenia, więc bacznie odtąd śledziłem naszego kucharza; był on jednak zanadto powściągliwy, zręczny i przebiegły, żebym mógł go na wskroś przeniknąć. Tymczasem wpadło do izby dwóch zdyszanych ludzi opowiadając, że w tłumie zgubili ślad i że ich przezywano złodziejami, więc ja powinienem zaświadczyć o niewinności Długiego Johna Silvera.

- Popatrz no, mości Hawkins - odezwał się tenże - przekłeta sprawa postawiła mnie w ciężkim położeniu, prawda? Co sobie o mnie pomyśli pan kapitan Trelawney? Ten śledź holenderski, wywloką spod ciemnej gwiazdy, siedział pod moim rodzonym dachem, pił mój własny rum! Ty przybywasz tu i mówisz mi otwarcie, co się święci... a ja, niedołęga, pozwoliłem mu czmychnąć wobec nas wszystkich... w moich oczach! Mości Hawkins, musisz mnie usprawiedliwić przed kapitanem. Jeszcze jesteś małym brzdącem, ale już przebiegły i zręczny jak szczupak w wodzie. Od razu to zmiarkowałem, skoroś tu zawitał. No, ale sam powiedz: cóż mogłem zrobić mając kawał drewna zamiast nogi? Gdybym był jeszcze młodym marynarzem jak ongi, dopędziłbym tego łajdaka, usiadłbym mu na karku i obwiesiłbym go na pierwszej linie okrętowej... ale teraz...

Wtem urwał, a twarz mu sposepniała, jakby sobie coś przypomniał; nagle wybuchnął:

- Mój rachunek! Trzy szklanki rumu! Niech piorun mnie trzaśnie, przecież zapomniałem o rachunku!

I osunąwszy się na ławę począł się śmiać, aż łzy mu spłynęły po policzkach. Śmiech ten i mnie



się udzielił, a z wolna przyłączyli się do niego i inni, aż cała karczma rozbrzmiewała echem.

- No, ale też ze mnie istne ciele morskie! - rzekł w końcu karczmarz obcierając policzki. - Mości Hawkins, obydwaj musimy oprzytomnieć, gdyż dalibóg, jeszcze mnie nazywać będą chłopcem okrętowym. Ale chodź, trzeba coś tu poradzić, tak być nie może. Obowiązek to obowiązek, kamraci! Wdziwam stary kapelusz stosowany i idę wraz z tobą do kapitana Trelawneya, by złożyć mu raport o całej sprawie. Bo trzeba ci wiedzieć, młody Hawkinsie, że to sprawa poważna; ani ty, ani ja nie powinniśmy zbyt dufać swej odwadze. Ani ty, ani ja, mówię ci - nie wystarczy tu nawet przebiegłość nas obu! O, do kroćset! Jak on mnie oszukał z tym rachunkiem!

Zaczął się znów śmiać tak serdecznie, że choć w całym zdarzeniu nie widziałem nic dowcipnego, musiałem powtórnie przyłączyć się do jego wesołości.

Podczas niedługiej przechadzki wzdłuż nadbrzeża zabawiał mnie rozmową w sposób niezmiernie zaciekawiający; opowiadał mi o najróżniejszych okrętach, któreśmy mijali, o ich ożaglowaniu, pojemności i przynależności państwowej; objaśniał roboty, które się odbywały na statkach, ładowanie, wyładowanie i przygotowanie do odjazdu. Co pewien czas wtrącał jakąś niedługą anegdotę marynarską albo powtarzał jakiś zwrot z gwary okrętowej, póki go sobie nie przyswoiłem. Rychło upewniłem się, że był to jeden z najlepszych marynarzy, jakich można sobie wyobrazić.

Gdy przybyliśmy do gospody, dziedzic i doktor Livesey siedzieli przy stole, dopijając ćwiartki piwa i wznosząc toast na cześć naszego statku; właśnie wybierali się na pokład szonera, aby obejrzeć cały jego takielunek.

Długi John opowiedział całe zdarzenie od początku do końca nadzwyczaj barwnie, choć trzymając się ściśle prawdy; po kilkakroć w ciągu opowiadania zwracał się ku mnie:

- Prawda, Hawkms, że tak było, jak mówię? - a ja zawsze potwierdzałem prawdziwość jego słów.

Obaj panowie bardzo żalowali, że Czarny Pies zdołał umknąć, lecz zgodziliśmy się, iż na to nie da się nic poradzić. Długi John wysłuchawszy pochwały wziął szcudło i oddalił się.

- Cała załoga ma się stawić na pokładzie dziś o czwartej po południu - wołał za nim dziedzic.

- Według rozkazu, panie! - odkrzyknął kucharz idąc dalej.

- No, mój panie - odezwał się doktor Livesey - na ogół nie mam wielkiego zaufania do pańskich odkryć, jednak przyznać muszę, że John Silver podoba mi się.

- To stary ćwik! - zawyrokował dziedzic.

- Wracając do rzeczy - dodał doktor - czy Jim może nam towarzyszyć na pokład?

- Ma się rozumieć, że może - zgodził się dziedzic. - Bierz kapelusz, Hawkinsie, pójdziemy obejrzeć okręt.



## Broń i proch

Hispaniola znajdowała się w pewnym oddaleniu, więc musieliśmy przechodzić pod dziobami i dokoła ruf wielu innych okrętów, których liny już to ocierały się o nasz kil, już to zwieszały się nad naszymi głowami. Wreszcie jednak dotarliśmy do celu i wstąpiliśmy na pokład, gdzie nas powitał szturman nazwiskiem Arrow - stary, opalony żeglarz z kolczykiem w uszach i zezowatym spojrzeniem. Był on z dziedzicem na stopie zażyłej i poufalej, a wkrótce zauważyłem, że zgoła odmienny był wzajemny stosunek pana Trelawneya do szypra. Szyper był człowiekiem o przenikliwym spojrzeniu, a jak się zdawało, z niczego na statku nie był zadowolony; wkrótce dowiedzieliśmy się o przyczynie tego skwaszenia, gdyż ledwosmy weszli do kajuty, nadszedł marynarz z meldunkiem:

- Kapitan Smollet prosi, by mógł się rozmówić z panem.
- Jestem zawsze na rozkazy kapitana. Proszę go poprosić do mnie - rzekł dziedzic.

Kapitan znajdował się tuż za swoim posłańcem, więc wszedł natychmiast, zamykając starannie drzwi za sobą.

- Proszę bardzo, kapitanie Smollet, co waćpan mi powiesz? Spodziewam się, że wszystko w porządku?|Okręt zdalny i gotów do drogi?

- Łaskawy panie - rzekł kapitan - sędzę, że najlepiej będzie, gdy powiem bez ogródek, nie owijając w bawełnę, nawet choćbym miał pana obrazić! Nie podoba mi się ta wyprawa, nie podobają mi się ludzie i oficer mej załogi. Tyle tylko mam do powiedzenia.

- Może się panu i okręt nie podoba? - uniósł się dziedzic wielce podrażniony, jak zauważyłem.

- Nie mogę wypowiedzieć zdania w tym względzie, nie wypróbowawszy okrętu - odparł kapitan. - Zdaje mi się, że to świetny statek; więcej nie mogę powiedzieć.

- A może panu nie podoba się zwierzchnik, hę? - z przekąsem rzekł dziedzic, lecz doktor Livesey przerwał:

- Niech się pan trochę pohamuje! Takie pytania nie prowadzą do niczego, rodzą jedynie nieprzyjaźń. Kapitan powiedział albo za wiele, albo za mało i mam prawo żądać od niego wyjaśnienia tych słów. Pan wyraził się, że mu się nie podoba ta wyprawa. No, proszę, dlaczego?

- Zawarłem z tym oto panem umowę, na co mam dokument opatrzony pieczęcią, że poprowadzę okręt tam, gdzie zechce mój chlebodawca - rzekł szyper. - Aż dotąd wszystko w porządku. Ale teraz przekonałem się, że pierwszy lepszy z czeladzi okrętowej więcej wie niż ja. Czy tak się godzi? Czy to pan nazywa właściwym postępowaniem?

- Nie! - zaprzeczył doktor Livesey. - Nie nazywam.

- Z kolei - ciągnął dalej szyper - dowiedziałem się, że wyprawiamy się po skarby. Wyobraźcie sobie, mości panowie, że słyszałem to od własnych podkomendnych. No, skarby to rzecz łakoma! Nie lubię wszelkiego rodzaju poszukiwania skarbów, nade wszystko zaś nie lubię, gdy rzecz trzymana jest w tajemnicy, a tajemnicę (przepraszam pana, panie Trelawney) opowie ktoś papudze.

- Czy papudze Silvera? - zapytał dziedzic.

- Mówię to w przenośni - wyjaśnił kapitan. - Chciałem powiedzieć, że ktoś wszystko wypaplał. Mam przekonanie, że żaden z was, moi panowie, nie wie, co się koło was święci; lecz powiem, co o tym sędzę: trzeba wybierać śmierć lub życie i nie ma czasu do stracenia.

- To wszystko jasne i rzec się godzi, zupełnie prawdopodobne - odrzekł doktor Livesey. - Prawda, że wiele ryzykujemy, jednak nie jesteśmy tak nieprzezorni, jak się panu zdaje. Ale pan powiedział, że mu się nie podoba nasza załoga. Czyż to nie dzielni marynarze?

- Nie podobają mi się - powtórzył kapitan Smollet. - Mniemam, że sam powinienem być dokonać doboru załogi, skoro już o tym mowa.

- Może to prawda - przyznał doktor. - Może mój przyjaciel powinien był pana wziąć z sobą, gdy zabierał się do werbunku, w każdym razie zlekceważenie pana, jeżeli można mówić o jakimś lekceważeniu, było nieumyślne. Czy panu się nie podoba Arrow?

- Nie podoba mi się, wyznam panu. Nie przeczę, że jest to dobry marynarz, lecz jest za dużo poufały z załogą, ażeby być dobrym oficerem. Starsi marynarze powinni trzymać się razem, a nie pospolitować się pijaństwem z ciurami okrętowymi.

- Uważa go pan za pijanicę - zawołał dziedzic.

- Nie, łaskawy panie - odparł kapitan - tylko za dużo się wdaje z hołotą.

- No dobrze, a teraz krótko i węzłowato, kapitanie, powiedz nam waćpan, czego sobie życzysz - rzekł doktor.

- Otóż, moi panowie, czy niezłomnie trwacie w zamiarze udania się na tę wyprawę?

- Jest to nasze niezłomne postanowienie - odpowiedział dziedzic.

- Doskonale - rzekł szyper. - Ponieważ słuchaliście mnie, panowie, bardzo cierpliwie, mówiąc mi o różnych rzeczach, których nie mogłem sprawdzić, bądźcie więc łaskawi wysłuchać jeszcze kilku słów. Po pierwsze: oni ładują broń i proch do przedniej komory statku. Wszak jest stosowne miejsce pod kajutą! Czemu oni tego tam nie składają? Po wtóre: pan przyprowadził z sobą czterech własnych ludzi, a tymczasem opowiadają mi, że niektórych spośród nich umieszczono na dziobie okrętu. Czemu nie wyznaczono im miejsc do spania koło kajuty? Chciałbym to wiedzieć.

- I cóż jeszcze? - zapytał pan Trelawney.

- Jeszcze jedno - rzekł szyper. - Za wiele już było plotek.

- O, naprawdę za wiele - potwierdził doktor.

- Powiem panu, co sam na własne uszy słyszałem - ciągnął dalej kapitan Smollet - mianowicie, że waszmość posiadasz mapę jakiejś wyspy, na tej mapie są krzyżyki oznaczające, gdzie ukrywa się skarb, wyspa zaś leży - tu podał dokładnie jej szerokość i długość geograficzną.

Dziedzic zerwał się jak oparzony:

- Przecież tego nie opowiadałem żywej duszy!

- Jednak majtkowie o tym już wiedzą - zauważył kapitan.

- Doktorze, to pewno pan albo Hawkins! - krzyczał dziedzic.

- Mniejsza o to, kto to był - odciął się doktor. Spostrzegłem, że ani on, ani kapitan nie zwracali wielkiej uwagi na odżegnywanie się pana Trelawneya, ja też byłem daleki od posądzeń. Wprawdzie nasz pan był niepowściągliwym gadułą, lecz w tym przypadku byłem przekonany, że mówi zupełną prawdę i że nikt z nas nie wygadał położenia wyspy.

- Dobrze, szanowni panowie - mówił dalej kapitan - nie wiem nawet, kto posiada tę mapę, lecz stawiam warunek, żeby utrzymano tajemnicę nawet przede mną i panem Arrow. W przeciwnym razie proszę o zwolnienie mnie ze służby.

- Rozumiem - rzekł doktor. - Pan chcesz, żebyśmy zaciemnili całą sprawę, następnie, ażeby w tylnej części okrętu utworzyć warownię obsadzoną gwardią przyboczną mego przyjaciela i zaopatrzoną we wszystką broń i proch strzelniczy. Innymi słowy, pan boi się buntu.

- Szanowny panie - rzekł kapitan Smollet - nie chcę pana obrazić, ale nie pozwolę na wkładanie mi w usta jakichkolwiek słów. Żaden kapitan nie mógłby puszczać się w morze, gdyby wolno mu było mówić coś podobnego. Co się tyczy Arrowa, uważam go za człowieka uczciwego, tak samo i niektórych z załogi, jednak za innych nie dałbym dwóch groszy. Jestem przecie odpowiedzialny za bezpieczeństwo okrętu i za życie każdego żeglarza na jego pokładzie. Widzę, że nie wszystko tu dzieje się tak, jak zdaniem moim dźiać się powinno, dlatego też proszę pana o powzięcie pewnych środków ostrożności lub o uwolnienie mnie od moich obowiązków. Tyle tylko chciałem powiedzieć.

- Kapitanie Smollet - zaczął doktor z uśmiechem - czy słyszał pan kiedy bajkę o górze i myszy? Proszę się na mnie nie gniewać, ale kapitan.- Przekona się

Pomimo wszelkich uwag doprawdy przypomniał mi pan tę tfajetfzkę. Gdyś tu wchodził, daję w zakład moją perukę, że zano^o się na jakąś poważniejszą wiadomość.

- Doktorze - rzekł kapitan - z pana jest człowiek dowcipny. Kiedy tu wchodziłem, spodzewałeni się, że będę odprawiony z kwitkiem, nie miałem nadziei, że pan Tfela«™ey zechce wysłuchać choć

jednego słowa.

- Nie chcę już więcej słuchać - nfrdasał się dziedzic. - Gdyby nie obecność Liveseya, dawno bym pan odeał do diaska- stało się, wysłuchałem pana. Uczynię tak, Ja sobie Pan y, ale stracił pan wiele w moich oczach.

- Jak się panu podoba - pan, że spełniam swoją powinność.

To powiedziawszy odszedł.

- Trelawney! - rzekł doktor - sędzę, że zdobyłeś sobie na statek dwóch uczciwych ludzi: tego człowieka i Johna Silvera.

- Silver i owszem! - zawołał dziedzic. - Jednak co do tego nudnego świszczypały oświadczam wręcz - że uznaje jego postępowanie za nie licujące z godnością mężczyzny żeglarza, a nade wszystko Anglika.

- No no! - rzekł doktor. - Przekonamy się jeszcze. Kiedyśmy wyszli na pokład, majtkowie właśnie wzięli się do przenoszenia brom i prochu pokrzykując przy pracy, kapitan i Arrow stali z boku, mając nadzór nad robotą.

Nowe urządzenie bardzo mi się podobało. Cały statek był już wyporządkowany; w rufie okrętu zrobiono sześć koi do spania, przylegających do tylnej ściany komory głównej. Ta grupa kabin łączyła się z kuchnią i dziobem okrętu jedynie: wąskim korytarzykiem z lewej strony. Pierwotnie było w projekcie, że te koje zająć miał: kapitan, Arrow, Hunter, Joyce, doktor, dziedzic. Teraz dwie z nich przeznaczono dla Redrutha i dla mnie, kapitan i Arrow postanowili spać w budce na prądzie, którą rozszerzono ze wszystkich stron tak, iż można ją było prawie nazwać wartownią. Było tam wprawdzie dość nisko, lecz starczyło miejsca na rozwieszenie dwóch hamaków, i sztorman był nawet zadowolony z kwatery. Przypuszczaliśmy, że i on żywi jakieś podejrzenia co do załogi, lecz jak się dowiecie poniżej, niebawem poznaliśmy jego przekonania.

Byliśmy wszyscy pilnie zatrudnieni przenoszeniem prochu i łóżek, iidy od brzegu podpłynęło kilku spóźnionych ludzi, między którymi był i Długi John. Kucharz wspiął się z małpią zręcznością po zrębie statku, a skoro zobaczył, co się dzieje, krzyknął:

- Hola! Marynarze, cóż to takiego?

- Przenosimy proch - odpowiedział jeden.

- Na cóż to, do kroćset! - wrzasnął Długi John. - Jeżeli będziemy się tym bawić, to zmarnujemy poranny przyływ.

- Mój rozkaz! - rzekł krótko kapitan. - Mój drogi, idź, proszę, do kuchni; wiara czeka na wieczerzę.

- Według rozkazu, panie kapitanie - odpowiedział kucharz i dotykając czupryny znikł natychmiast w stronie kuchni.

- To porządny człowiek, kapitanie - zauważył doktor.

- Bardzo możliwe - burknął kapitan Smollet, a podbiegając ku marynarzom, którzy przerzucali paki z prochem począł ich łajać.

- Lekko stawiać, ostrożnie... ludzie!

Wtem spostrzegłszy, że stoję beczynn timer i przyglądam się długiej mosiężnej śmigownicy, znajdującej się na środku okrętu, huknął na mnie:

- Hej, chłopcze, precz od tego! Ruszaj do kucharza i pomagaj mu w pracy.

Gdy przebiegałem, słyszałem, jak mówił głośno do doktora:

- Nie uznaję darmożjadów na okręcie!

Zapewniam was, że byłem odtąd tego samego zdania co dziedzic i znieawidziłem kapitana z krete sem.

## Podróż

Przez całą noc panował wielki rwetes, gdyż wszystko ustawiano na swoim miejscu, a nadto wciąż nadjeżdżały łodzie z przyjaciółmi dziedzica, jak Blandly i inni, którzy przybywali, aby życzyć mu pomyślnej podróży i szczęśliwego powrotu. Nie miewałem nocy spokojnych i „Pod Admiralem Benbow”, a przecież tam było o połowę mniej krzątania niż tutaj; byłem zziębnięty jak pies, gdy nieco przed świtem bosman zadał w świstawkę, a załoga poczęła roić się na pomoście kotwicznym. Mogłem być dwakroć tak znużony, a jeszcze bym nie zszedł z pokładu w tej chwili; wszystko było dla mnie tak nowe i ciekawe - te wartkie komendy, te przeraźliwe tony świstawki i ci ludzie uwijający się przy świetle latarń okrętowych.

- A teraz, Patelnia, zanuć jaką piosenkę! - zawołał jakiś głos.

- Tę naszą starą! - krzyknął drugi.

- Dobrze, dobrze, kamraci - odezwał się Długi John, który stał nie opodal, trzymając szczudło pod pachą. I naraz huknął pieśnią, której słowa i melodia były mi tak dobrze znane:

*Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni ...*

Cała załoga zawtórowała chórem:

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

I na drugie „ho” ochoczo obróciła kołowrót kotwicy. W tym podniecającym momencie przeniosłem się na chwilę myślą do starego „Admirala Benbow”, bo miałem złudzenie, że w tym zespole słyszę głos „kapitana”. Lecz niebawem kotwica zaczęła się wydobywać / wody, a wkrótce potem ociekając zawisła u krawędzi statku; zaraz i żagle poczęto rozwijać, a na łodzi i na sąsiednich statkach powiewano już rękoma i chustkami na pożegnanie. Zanim zdążyłem uciąć sobie godzinną drzemkę, już Hispaniola rozpoczęła podróż ku Wyspie Skarbów.

Nie mam zamiaru opisywać drobiazgowo tej podróży; była przedziwnie pomyślna. Statek dowiódł swej sprawności, załoga składała się ze zdolnych żeglarzy, a kapitan był doskonale obeznany ze swym zawodem. Lecz zanim przycumowaliśmy wreszcie do Wyspy Skarbów, zdarzyło się kilka wypadków, które zasługują na poznanie.

Przede wszystkim sztorman Arrow okazał się człowiekiem gorszym nawet, niż się tego obawiał kapitan. Nie miał najmniejszej powagi wśród załogi, wskutek czego każdy robił z nim, co mu się żywnie podobało. Lecz o to jeszcze mniejsza; na domiar złego zaczął się pokazywać na pokładzie z zamglonymi oczyma, czerwonymi policzkami, splątanym językiem i innymi oznakami nietrzeźwości. Z każdym dniem wpadał w większą niełaszkę. Niekiedy przewracał się nabijając sobie guzy, kiedy



indziej wylegiwał się przez dzień cały na małej ławeczce w swojej izdebce, czasem jednak przez dzień lub dwa był prawie trzeźwy i spełniał swe obowiązki przynajmniej znośnie.

Nie mogliśmy nigdy dociec, skąd on czerpie trunki; była to tajemnica statku, której nie mogliśmy rozwiązać pomimo nieustannego szpiegowania. Gdyśmy go zapytywali, wtedy albo się śmiał nam w twarz, jeżeli był pijany, albo o ile był trzeźwy, zaklinał się na wszystkie świętości, że nie brał do ust nic prócz wody.

Nie dość, że był złym oficerem i dawał gorszący przykład swym ludziom, lecz stało się oczywiste, że się to wszystko źle skończy. Toteż nikt się nazbyt nie zdziwił ani też nie zmartwił, gdy pewnej ciemnej nocy, kiedy morze było wzburzone, sztorman nagle przepadł jak kamień w wodę. Odtąd nikt go nie widział na oczy.

- Spadł z pokładu! - domyślił się kapitan. - To i dobrze, szanowni panowie, bo ocaliło to tego warchoła od zakucia w kajdanki!

Mimo to byliśmy pozbawieni sztormana; wynikała stąd konieczność mianowania kogoś na jego miejsce. Bosman Job Andersen był najodpowiedniejszym do tego człowiekiem, więc choć zachował dawny tytuł, przypadło mu spełniać poniekąd obowiązki sztormana. Pan Trelawney bywał już dawniej na morzu, a jego doświadczenie bardzo się okazało przydatne, gdyż często sam osobiście pełnił służbę podczas sprzyjającej pogody. Apodsternik Izrael Hands był to sumienny, wytrawny, stary i doświadczony marynarz, na którym można było polegać pod każdym względem nawet w najcięższych opałach.

Był on w zażyłych stosunkach z Długim Johnem Silverem, więc wymienienie jego nazwiska skłania mnie do powiedzenia kilku słów o naszym kucharzu okrętowym, noszącym powszechnie przydomek „Patelnia”.

Na okręcie nosił on szczudło na taśmie uczeplonej dokoła szyi, ażeby mieć w miarę możliwości obie ręce swobodne. Warto było widzieć, jak wtykał koniec szczudła między deski podłogi i oparty na nim, nie zważając na kołysanie okrętu, z taką pewnością zajmował się gotowaniem, jak gdyby stał na lądzie. Jeszcze dziwniej było widzieć go kroczącego po pokładzie w czasie największej zawieruchy. Żeby ułatwić sobie przejście na dłuższych przestrzeniach, założył kilka pętlic, które przewano kolczykami Długiego Johna, i mógł o własnych siłach przedostawać się z jednego miejsca na drugie - raz posługując się szczudłem, to znów wlokąc je za sobą na taśmie - z taką szybkością, że dotrzymywał kroku innym ludziom. Mimo to kilku ludzi, którzy poprzednio odbywali z nim podróże morskie, wyrażało ubolewanie, że już wyszedł z dawnej wprawy, którą mieli sposobność podziwiać.

- Patelnia nie jest człowiekiem pierwszym z brzegu! - zwierzał mi się podsternik. - Przeszedł on dobrą szkołę w młodości i umie mówić mądrze jak z książki, a jaki chwyt! Lew jest niczym w porównaniu z Długim Johnem! Widziałem, jak złapał raz czterech i potrzaskał im łby jeden o drugi... chociaż był bezbronny.

Cała załoga poważała go niezmiernie, a nawet słuchała we wszystkim. Do każdego umiał stosownie przemówić i każdemu wyświadczył jakąś szczególną przysługę. Dla mnie był nieznużenie uprzejmy zawsze chętnie mnie widział w kuchni, którą utrzymywał jak cacko w wielkiej czystości i

porządku; naczynia wisiały wypolerowane, a w kącie tuliła się klatka z papugą.

- Chodź no, Hawkins - mawiał zwykle - chodź pogawędzić /e starym Johnem. Nikogo tu nie witani z taką radością jak ciebie, mój synu. Usiądź i posłuchaj nowin. Oto kapitan Flint... nazwałem papugę „kapitanem Flintem” na pamiątkę sławnego korsarza... więc oto kapitan Flint przepowiada nam powodzenie i szczęśliwą podróż. Nieprawdaż, kapitanie?

A papuga powtarzała pośpiesznie:

- Talary! Talary! Talary! - dopóki John nie zarzucił chustki na klatkę.

- Czy ty wiesz, Hawkins - mawiał kucharz - ten ptak liczy sobie pewnie ze dwieście lat życia! Papugi żyją długo. Ale jeżeli kto widział większego zawadiakę, musiał być to chyba sam bies wcielony. Ona rozbijała się po świecie wraz ze sławnym korsarzem - kapitanem Anglią. Była na Madagaskarze, w Malabarze, Surinamie, w Providence, Portobello. Była przy wylądowaniu rozbitych okrętów /e skarbami. Tam właśnie nauczyła się wołać: „Talary! Talary!” - nic dziwnego: było tego piętnaście tysięcy trzysta - wyobraź sobie, Hawkins! Była przy tym, jak wicekról Indii opuszczał Goa; a patrząc na nią powiedziałaś, że to dziecko! Ale ty już wahałeś prochu, prawda, kapitanie?

- Bądź gotów do dzieła! - skrzeczała papuga.

- Ach, co to za mądra bestia! - powiedział kucharz dając jej kawałek cukru wyciągnięty z kieszeni, a ptak dziobał pręty i kłął na całe gardło potwierdzając opinię, że jest zawadiaką. John dodawał wtedy:

- Nie gorsz się, chłopcze; nie można dotykać smoły i nie powalać się. Ten stary ptak jest bardzo cnotliwy i chociaż klnie siarczyście, nic z tego nie rozumie, możesz być pewny! Stara papla kłębały tak samo, że tak powiem, przed kapelanem.

Mówiąc to Długi John wedle swego zwyczaju dotykał z powagą czupryny, co budziło we mnie przekonanie, że jest najlepszym człowiekiem pod słońcem.

Tymczasem dziedzic i kapitan Smollet trzymali się z dala od siebie. Dziedzic nie przejmował się tym wcale i lekceważył sobie kapitana. Kapitan ze swej strony nigdy się nie odzywał, chyba że musiał odpowiedzieć na czyjeś zapytanie, ale i wtedy przemawiał zwięźle, głosem oschłym i opryskliwym, nie tracąc ani słowa na próżno. Dał się pociągnąć za język i przyznał, że mylił się w swym mniemaniu co do załogi, gdyż niektórzy z marynarzy byli tak sprawni, jak tego wymagał, i wszyscy zachowywali się przyzwoicie. W Hispanioli był wprost zakochany.

- Tak mnie słucha, mości panie, jakby mi przysięgła przed ołtarzem wiarę i posłuszeństwo[3] - wyrażał się o niej, co nie przeszkadzało mu dodawać:

- Bądź co bądź, wyznam szczerze, że nie powrócimy do domu i że mi się nie podoba ta wyprawa!

Na to dziedzic odwracał się i z zadartą głową przechadzał się po pokładzie mówiąc:

- Jeszcze jedno słówko z ust tego człowieka a wpadnę w pasję! Mieliśmy kilka burz, które jedynie ujawniły zalety Hispanioli,

Majtkowie czuli się weseli i zadowoleni i musieliby być wielkimi wybrednisiami, gdyby było inaczej, gdyż - moim zdaniem - od czasów Noego nie było jeszcze drużyny okrętowej, której by tak dogadzano jak naszej. Za lada sposobnością wydawano podwójną porcję grogu. Raz po raz mieliśmy dzień jakiś uroczysty, zwłaszcza ilekroć tylko dziedzic usłyszał o czyichś urodzinach. W korytarzu zawsze stała beczka pełna jabłek, z której mógł korzystać każdy, kto miał ochotę.

- Nic dobrego stąd nie wyniknie - mówił kapitan do doktora Liveseya. - Psujecie tych zatraconych hultajów i robicie z nich diabłów wcielonych. Takie jest moje zdanie!

Lecz jak się przekonacie, z beczki jabłek wynikło coś dobrego, bo gdyby jej nie było, nie libyśmy w porę przestrzeżeni i moglibyśmy zginąć wszyscy z rąk zdrajców.

I oto, jak do tego doszło.

Po chwilowym zboczeniu z drogi, mającym na celu uzyskanie wiatru w kierunku wyspy, która była naszym celem - nie wolno mi mówić wyraźniej - zaczęliśmy znowu zdążać ku niej, wyężając uwagę dniami i nocą. Był to, według najdokładniejszych obliczeń, ostatni dzień naszej podróży: jeszcze tej nocy albo co najwyżej nazajutrz rano mieliśmy ujrzeć Wyspę Skarbów! Przybraliśmy kierunek Pd. Pd. Z. Morze było spokojne, lekkie podmuchy wiatru gnały nasz statek. Hispaniola płynęła równo, zanurzając raz po raz dziób i rozpryskując pianę, wspinając się na grzbiety fal i znow opadając z powrotem. Każdy z nas był w jak najlepszym usposobieniu, gdyż zbliżał się koniec pierwszego okresu naszych przygód.

Zaraz po zachodzie słońca, ukończywszy robotę, wybierałem się właśnie na spoczynek, gdy wtem przyszła mi oskoma na smaczne labłuszka. Wybiegłem na pokład. Wszystkie strażę stały na dziobie okrętu patrząc w kierunku wyspy. Sternik przyglądał się wzdętemu żaglowi i pogwizdywał sobie z cicha; był to jedyny głos oprócz szemrania fal za burtą okrętu.

Wlaziłem cały do beczki i zobaczyłem, że tam prawie już nie /ostało jabłek. Siedząc w ciemności na dnie, wśród jednostajnego plusku wody i kołysania okrętu, zdrzemnąłem się czy też bliski byłem /drzemnięcia się, gdy wtem z ciężkim łoskotem usiadł koło beczki lakiś człowiek. Wszystkie klepki zatrzeszczały, gdy oparł się o nią plecami, więc chciałem już wyskoczyć z ukrycia, gdy ów człowiek rozpoczął rozmowę. Poznałem głos Silvera. Jeszcze nie usłyszałem tuzina słów. a już za żadne skarby świata nie wylazłbym z beczki. Przycupnąłem cicho jak trusia, drżąc i wsłuchując się w rozmowę / ogromną trwogą i ciekawością zarazem, gdyż z tych kilku słów /miarkowałem, że życie wszystkich uczciwych ludzi na statku zależy jedynie ode mnie.

## Co podsłuchałem w beczce od jablek

Nie, to nie ja! - mówił Silver. - Kapitanem naszym był Flint: ja z tą drewnianą nogą byłem jedynie kwatermistrzem. W tej samej bitwie, w której postradałem nogę, stary Pew utracił wzrok. Nie lada majstrem był ten łapiduch, który odciął mi moje gnacisko; skończył uniwersytet i jeszcze tam coś, nałykał się łaciny. Ale powiesili go jak psa i uwędzili na słońcu, jak i innych, w Corso Castle. Ludzie Robertsa to zrobili, tak, tak! Ich okręty przezwano Królewskie Szczęście i tak dalej. Skoro ochrzczono który okręt, zaraz powiadam: wio na morze! Tak było z Kassandra, która przewoziła nas cało z Malabaru do domu, gdy kapitan Anglia pojmał wicekróla Indii; tak też było ze starym Koniem Morskim, wypróbowanym statkiem Flinta, który widziałem zbryzgany krwią czerwoną i omal nie zatopiony wraz ze złotem.

- Ach! - odezwał się inny, widocznie pełen podziwu głos, po którym poznałem najmłodszego majtków. - Flint był chlubą swej załogi!

- Davis też był nie byle jakim człowiekiem - rzekł Silver. - Z nim nie miałem sposobności żeglować; najpierw u kapitana Anglii, potem u Flinta - oto całe moje dzieje. A teraz tu, na własną rękę, jak to mówią. Uciułałem sobie dziewięćset u kapitana Anglii, a dwa tysiące pod Flintem. To niegorsza sumka dla prostego marynarza, a wszystko złożone w banku. Niełatwo byłoby teraz tyle uzbierać nawet przy największej oszczędności, możecie mi wierzyć. A gdzie są dzisiaj wszyscy wiarusi kapitana Anglii? Nie wiem. A gdzie towarzysze Flinta? Co prawda, najwięcej ich przebywa na tym okręcie i cieszy się, że ma wszystkiego w bród, bo niedawno niejeden z nich chodził po prośbie. Stary Pew, gdy utracił wzrok i gdy mógł się już ustatkować, wydawał tysiąc dwieście funtów rocznie, niczym lord w parlamencie. Gdzie on teraz? Hej, umarł i ziemię gryzie, lecz przez dwa lata przed śmiercią - niech piorun mnie trzaśnie - biedak przeszedł porządną głodówkę. Żebrał i kradł, i podrzynał gardła, a mimo wszystko przymierał głodem - niechże to diabli wezmą!

- No, ale w każdym razie nie bardzo to było mu potrzebne! - rzekł młody majtek.

- Nie było to bardzo potrzebne głupcom, możesz dodać... tak, nie inaczej - krzyknął Silver. - Ale posłuchaj i zastanów się: jesteś młody, gracki - jak malowanie. Widzę to, gdy patrzę na ciebie, i chcę z tobą mówić jak z człowiekiem...

Możecie sobie wyobrazić moje uczucia, gdy słyszałem, jak obrzydliwy stary łupieżca zwracał się do kogoś innego w tych samych pochlebnych słowach, którymi posługiwał się zazwyczaj w stosunku do mnie. Myślę, że gdyby to było możliwe, byłbym go dźgnął poprzez beczkę. Tymczasem on ciągnął dalej, nie podejrzewając, że go ktoś podsłuchuje:

- Mówię tu o panach szczęścia. Wiodą dziki żywot, pełen niebezpieczeństw, lecz jedzą i piją jak walczące koguty; a kiedy wyprawa się powiedzie - hej! Wtedy w kieszeni zamiast stu groszy mają setki funtów! Wtedy przeważna część grosiwa idzie na rum i na grę w kości, a gdy się człek spłucze do koszuli, wówczas dalejże znów na morze! Ale moim zdaniem to sposób niewłaściwy. Ja składam sobie wszystko, trochę tu, trochę tam, a nigdzie za wiele, aby uniknąć podejrzeń. Mam już pięćdziesiąt lat, rozważ to sobie; kiedy powrócę z tej wyprawy, będę już poważnym jegomościem. „Kawał czasu” - powiesz mi na to. Ale żyłem wspaniale przez ten cały czas, nie odmawiałem sobie

nigdy niczego, miałem, czego dusza zapagnie, spałem wygodnie i jadłem smacznie zawsze, nawet na morzu. A od czego zacząłem? Od prostego ciury okrętowego, jak ty teraz!

- Dobrze - rzekł jego towarzysz - lecz tamte twoje pieniądze przepadną. Przecież nie odważysz się po tym wszystkim ukazać w Bristolu?

- Co znowu? Jak przypuszczasz, gdzie one się znajdują? - zapytał Silver drwiąco.

- W Bristolu, w bankach i innych miejscach - odpowiedział jego towarzysz.

- Były tam - rzekł kucharz - były, gdyśmy podnosili kotwicę, lecz w chwili obecnej wzięła wszystko moja stara baba. Karczmę „Pod Lunetą” już sprzedałem razem z dzierżawą, klientelą i sprzętami, a moja stara już wyprawiła się w drogę, w to miejsce, gdzie ma mnie spotkać. Powiedziałbym ci, gdzie to nastąpi, bo mam do ciebie zaufanie, ale między marynarzami mogłoby to wzbudzić zazdrość.

- A czy masz zaufanie do swej baby? - zapytał tamten.

- Panowie szczęścia - odrzekł kucharz - zwykle nie dowierzają sobie nawzajem i mają słuszość, bądź tego pewny. Ale mam na wszystko sposoby, oho! Jeżeli który marynarz (oczywiście z tych, co mnie znają) znajdzie karteczkę przywiązaną do swej liny, to już nie będzie żył na tym świecie, na którym żyje stary John. Byli tacy, co bali się Pew, i tacy, co bali się Flinta, ale sam Flint bał się mnie. Bał się mnie i był z tego dumny. Załoga okrętu Flinta była najdzikszą załogą, jaka kiedykolwiek pływała po morzach; sam diabeł lękałby się iść z nią na morze. Ale powiadam ci, że nie jestem człowiekiem zarozumiałym, i sam widzisz, jak łatwo zawieram z kimś przyjaźń; lecz kiedy byłem kwatermistrzem, nikt starych korsarzy Flinta nie przeżywał baranami. Możesz być pewny siebie na okręcie starego Johna.

- No, powiem ci - rzekł młokos - że nie podobało mi się ani trochę to przedsięwzięcie, póki nie wdałem się w rozmowę z tobą, Johnie. Lecz podaję ci oto rękę w tej sprawie.

- Jesteś dzielnym chłopcem i zgrabnym do tego - odpowiedział Silver potrząsając jego dłońmi tak serdecznie, że aż beczka zadygotała - i nigdy oczy moje nie widziały lepszej podstawy na pana szczęścia!

W tym czasie zacząłem domyślać się znaczenia ich wyrażeń. „Panem szczęścia” nazywali po prostu ni mniej, ni więcej tylko pospolitego opryszka, a mała scena, którą podsłuchałem, była ostatnim aktem przekupywania jednego z uczciwych marynarzy może ostatniego, jaki jeszcze pozostał. Lecz w tym względzie i n i )głem rychło się pocieszyć, gdy Silver gwizdnął z cicha, a na to hasło 11 /eci człowiek wysunął się i usiadł koło nich.

- Dick już przystał do nas - rzekł Silver.

- O, wiedziałem, że Dick się zbrata z nami - odpowiedział głos rodsternika, Izraela Handsa. - Dick nie jest głupi.

Wyciągnął fajkę z ust, splunął i mówił dalej:

- Lecz słuchaj, czego się chcę dowiedzieć, Patelnio: dokądże to l>wdziemy się włączyć tędy i owędy jak kiepski statek prowiantowy?

I u/ mam po uszy tego kapitana Smolleta; już mi on dawno obmierzył, ilo pioruna! Chciałbym iść do tej kajuty! Chciałbym skosztować ich „ilatek i wina!

- Izraelu! - rzekł Silver - głowa twoja nie jest ani też nigdy nie l>yła wiele warta, lecz sądzę, że możesz posłuchać, bo przynajmniej uszy masz dość duże. Otóż chcę ci powiedzieć jedno: będziesz spał na il/iobie okrętu, pracował ciężko, odzywał się grzecznie i przestrzegał trzeźwości, dopóki ci nie wydam rozporządzenia; pamiętaj o tym, mój -vnu!

- Dobrze, dobrze, nie sprzeciwiam się - zzymał się podsternik. Pytam się tylko, kiedy to nastąpi. O to jedno się pytam.

- Kiedy, do kroćset! - wrzasnął Silver. - Dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem kiedy. W ostatniej chwili - otóż kiedy. Mamy i n doskonałego żeglarza, kapitana Smolleta, który prowadzi dla nas icn przepiękny statek; jest tu wielmożny pan i doktor z mapą i tym wszystkim - a czyż ja wiem, gdzie się to wszystko znajduje? Sam też więcej nie wiesz... powiedz to sobie! Dlatego sądzę, że ten jasny pan i doktor znajdą cały skarb i pomogą nam załadować go na statek, mech mnie piorun trzaśnie! Wtedy zobaczymy. Gdybym mógł na was wszystkich polegać, zatracone śledzie holenderskie, pozwoliłbym kapitanowi Smolletowi przewieźć nas pół drogi z powrotem, zanim bym uderzył na niego.

- Na cóż to? Zdaje mi się, że wszyscy znamy się na żeglarstwie rzekł młody Dick.

- Wszyscyśmy psa warci, wiedz o tym - burknął Silver. Umiemy wprowadzić sterować, ale kto tu umie rozkazywać?

Wszyscy byście partaczyli, moi panowie, od pierwszego do ostatniego. Jeżeli mi się uda, zmuszę kapitana Smolleta, żeby nas przynajmniej naprowadził na właściwą drogę z powrotem; wtedy nie będziemy narażeni na znalezienie się pewnego pięknego poranku pod wodą. Lecz ja znam się na was. Z nimi skończę na wyspie, skoro tylko ładunek znajdzie się na pokładzie; tyle mojego dla nich miłosierdzia. Lecz ty nigdy nie jesteś zadowolony, o ile nie jesteś pijany. Doprawdy, wiele zdrowia mnie kosztuje jazda z takimi jak ty!

- Powoli, powoli, Długi Johnie! - zawołał Izrael. - Któż ci staje okoniem?

- No powiedz, co myślisz, ile ja już widziałem wielkich okrętów rozbitych? A ilu chłopców, dzielnych i zwawych, szerniałych od słońca na placu kaźni? - krzyczał Silver. - A wszyscy zginęli przez tę gorączkowość i jeszcze raz gorączkowość! Co nagle, to po diable, słyszysz? Już widziałem niejedną rzecz na morzu, tak, widziałem! Jeżeli będziesz pilnował tylko kierunku drogi i wiatru, a o nic więcej się nie troszczył, będziesz jeździł powozem, zobaczysz. Ale to nie dla ciebie. Znam cię jak własną kieszeń. Nazajutrz urzniesz się rumem jak bydlę i pójdiesz na szubienicę.

- Każdy wie, że jesteś, Johnie, jakby wyrocznią - rzekł Izrael - lecz nie brak było takich, którzy

potrafiliby kierować i dowodzić tak dobrze jak ty. Oni woleliby nieco pohulać. Nie byli tak wytworni i wyrachowani, ale od razu urządzali sobie zabawę, jak na dobrych towarzyszach przystało.

- Tak? - skrzywił się Silver. - A gdzież to oni teraz wszyscy? Pew by jednym z nich... no i umarł w nędzy. Flint był też taki... i dobił go rum w Savannah. Ach, byli to zacni kamraci, tak, tak, ale gdzie oni teraz?

- Ale, powiedzcie mi, proszę - zaciekawił się Dick - co zrobimy z tymi ludźmi, skoro wysadzimy ich na brzeg?

- To mi człowiek w moim guście! - zawołał kucharz z podziwem. - Od razu przystępuje do rzeczy! No, więc jakie masz zdanie co do tego? Czy zostawić ich na lądzie jak zesłańców? To byłby sposób kapitana Anglii. A może zarznąć ich jak wieprze? To byłoby w duchu Flinta albo Billy Bonesa.

- Billy miał ten zwyczaj - przytwierdził Izrael. - Często mawiał: „Zdechły pies nie kąsa”. No i sam teraz zdechł nieborak! Sam się teraz przekonał o prawdzie swych słów: jeżeli mówią, że kto mieczem wojuje, od niego zginie, to ziściło się na Billu.

- Masz rację - rzekł Silver - ostre i cięte słowa. Atoli chciej ićdno zrozumieć. Mówisz, że jestem pobłażliwy i łagodny, że zanadto >ię cackam. Ależ teraz chodzi o rzecz poważną! Obowiązek to >bowiązek, kamraci. Głosuję za śmiercią. Kiedy będę członkiem

parlamentu i jeździć będę w karecie, nie bardzo byłoby pożądane, aby któryś z tych morskich kauzyperdów, co siedzą tam w kajucie, wlaźł i ni w paradę nieoczekiwanie jak Piłat w Credo. Powiadam jeszcze raz, /e trzeba zaczekać do czasu, ale gdy nadejdzie pora, na cóż się wówczas jeszcze oglądać?

- Johnie! - krzyknął podsternik. - Z ciebie walny chłop!

- Powiesz to, Izraelu, gdy się przekonasz - rzekł Silver. - Dla siebie żądam tylko jednej rzeczy: żądam Trelawneya! Oderwę jego barani łeb od ciała tymi oto rękami, Dicku!

A uciąwszy nagle swe pogróżki, dodał:

- Bądź tak uprzejmy, wdrap się tam i przynieś mi jabłuszko, bo chciałbym odświeżyć gardło.

Możecie sobie wyobrazić moje przerażenie w tej chwili. Gdybym czuł się na siłach, wyskoczyłbym z ukrycia i uciekł, lecz i nogi, i umysł równocześnie odmówiły mi posłuszeństwa. Słyszałem, jak Dick zaczął się wspinać, gdy wtem jakby go ktoś przytrzymał, a głos Handsa zawołał:

- Zostaw to! Co tam będziesz, Johnie, żarł jabłka z tej kadzi! Postaw tu nam lepiej gąsioreczek rumu!

- Dicku! - rzekł Silver. - Ufam ci, a wiedz, że mam miarkę na beczce. Oto klucz: napełnij dzbanek i przynieś go tutaj!

Chociaż byłem przerażony, to jednak nie mogłem się opędzić myśli, że wśród podobnych okoliczności niewątpliwie sztorman Arrow dostał się na fale, które go pochłonęły.

Dick oddalił się na chwilę, a podczas jego nieobecności Izrael szeptał coś do ucha kucharzowi. Zdołałem uchwycić zaledwie parę słów, ale i w nich zawierały się ważne wiadomości, gdyż oprócz innych urywków, obracających się dokoła tej samej sprawy, było słychać całe zdanie: „Zresztą żadnemu z nich nie pisnę ani słówka”. Widocznie byli jeszcze wierni ludzie między załogą.

Gdy Dick powrócił z dzbanem, po kolei wszyscy z tej trójki brali napitek i wznosili toasty - jeden: „Na zdrowie”, drugi: „Za zdrowie starego Flinta”, a Silver wygłosił jakby półśpiewem:

*Hej, w ręce wasze, żagle natężcie!*

*Niechaj nam sprzyja zdobycz i szczęście!*

Właśnie w tej chwili jakiś blask oświecił wnętrze beczki, tuż obok mnie. Spojrzawszy do góry spostrzegłem, że wzeszedł księżyc, osrebrzając głowicę bezanmasztu i odbijając się białym odbłaskiem od fokżagła. Prawie jednocześnie z bocianiego gniazda rozległo się hasło:

- Ziemia!



# Narada wojenna

Zaroilo się na pokładzie, rozległ się tupot nóg. Usłyszałem, jak poczęto się tłoczyć, wybiegać z kajuty i spod pokładu przedniego. Bez namysłu wykradłem się z beczki, przesmyknąłem się za lokzagle, dałem susa na rufę i po pewnym czasie wyszedłem na otwarty pokład, gdzie natknąłem się na Huntera i doktora Liveseya ^pieszących ku przodowi okrętu.

Zebrała się j u/ tam cała załoga. Pasemko mgły podniosło się prawie jednocześnie ze wschodem księżyca. W kierunku południo-wo-zachodnim ujrzeliśmy dwa niewysokie wzgórza oddalone od Ciebie o kilka mil; za jednym z nich wznosiło się trzecie, wyższe wzgórze, którego szczyt nurzał się jeszcze we mgle. Wszystkie trzy miały zarys ostry i stożkowaty.

Tyle tylko widziałem, niby przez sen, bo jeszcze nie ochłonałem / okropnego strachu, którego doznałem przed kilku minutami. Naraz usłyszałem głos kapitana Smolleta wydającego rozkazy. Hispaniola odchyliła się o kilka stopni pod wiatr, tak i/ teraz jej bieg powinien był ominąć wyspę akurat po stronie wschodniej.

Hej, chłopcy rzekł szyper, gdy już skręcono liny żaglowe czy który / was widział kiedy ten lad przed nami?

Ja widziałem rzekł Silver nabieraliśmy lu wody, gdy byłem kucharzem na statku kupieckim.

Zdaje mi się, że reda jest na południc, za mała wysepką wywiadywał się kapitan.

- Tak, panie, nazywają ją Wyspą Szkieletów. Była to niegdyś siedziba piratów, a przypadkowo dowiedzieliśmy się na owym statku o wszystkich nazwach w tej miejscowości. Wzgórze na północy nazywają Fokmasztem; są tam bowiem, panie, trzy wzgórki następujące kolejno po sobie ku południowi: Fokmaszt, Grotmaszt

Bezanmaszt. Lecz Fokmaszt - ten duży, zasłonięty obłokiem - nazywają pospolicie „Lunetą” ze względu na czatownię, jaką oni tam mieli podczas wyładowywania okrętów w przystani, gdyż za przeproszeniem pana, w tym miejscu właśnie oczyszczali swoje okręty.

- Mam tu mapę - rzekł kapitan Smollet. - Zobacz, czy to jest owo miejsce.

Johnowi oczy zapalały, gdy wziął do rąk mapę, wiedziałem jednak, że pierwsze spojrzenie na nią musi mu przynieść rozczarowanie. Nie była to ta mapa, którąśmy znaleźli w kufrze Billa Bonesa, lecz jej wierna podobizna, najdokładniejsza we wszystkich szczegółach: nazwach, pomiarach wysokości i głębini. Brakowało jedynie czerwonych krzyżyków i objaśniających przypisów. Pomimo że przykrość Silvera musiała być wielka, miał on jednak tyle przytomności umysłu, że zdołał ją zamaskować.

- Tak, proszę pana - odezwał się. - Ani chybi to ta sama miejscowość, a bardzo pięknie wyrysowana. Zachodzę w głowę, kto sporządził tę mapę. Korsarze, jak mi się zdaje, byli na to za ciemni. Tak, tak! To tutaj: „Zatoka kapitana Kidda” - tak samo nazwał ją mój towarzysz okrętowy.

Tam jest silny prąd płynący od strony południowej, a następnie na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża. Dobrze pan zrobił zbacząc z kierunku wiatru i opływając wyspę z ukosa. Przynajmniej, jeżeli miał pan zamiar wpłynąć do przystani i zawrócić, to nie znalazłby pan lepszego miejsca po temu na tych wodach.

- Dziękuję ci, mój zuchu - rzekł kapitan Smollet. - Będę jeszcze później prosił cię o radę. Możesz odejść.

Byłem zdumiony spokojem, z jakim John przyznał się do znajomości wyspy, a co się mnie samego tyczy, przeraziłem się niemal, gdy zobaczyłem, że podchodzi on ku mnie. Nie widział z pewnością, że podsłuchałem w beczce jabłek jego knowania, atoli takiego

Wówczas nabrałem wstrętu do jego okrucieństwa, obłudy i siły, że /a ledwo mogłem ukryć dreszcz, kiedy złożył mi rękę na ramieniu mówiąc:

- Ach, to rozkoszna miejscowość, ta wyspa - rozkoszna miejscowość do wylądowania dla takiego bębna jak ty. Będziesz się kapał, łąził po drzewach, polował na kozy i sam będziesz uganiał jak koziołek po tych pagórkach. Ejże! Mnie samemu młode lata się przypomną i gotówem jeszcze zapomnieć, że chodzę o kuli. Miło to być młodym, mieć dziesięć palców u nóg, sam to przyznasz! Jeżeli chcesz się nieco puścić na wycieczkę po wyspie, powiedz od razu staremu Johnowi, a on ci zaraz przyrządzi jakąś zakąskę na drogę.

I poklepawszy mnie jak najprzyjaźniej po łopatce, pokuszył dalej i zszedł pod pokład.

Kapitan Smollet, dziedzic i doktor Livesey rozmawiali na półpokładzie, a chociaż ponosiła mnie niecierpliwość, by opowiedzieć im wszystko, nie śmiałem jednak zaczepiać ich w miejscu widocznym. Gdy właśnie się namyślałem, jaki stosowny pretekst mam wynaleźć doktor Livesey przywołał mnie do siebie, ponieważ zostawił fajkę na dole, a będąc namiętym palaczem chciał, żebym mu ją przyniósł.

Skoro znalazłem się tak blisko, że mogłem mówić nie bojąc się podsłuchania, wypaliłem wręcz:

- Panie doktorze, mam coś do powiedzenia. Niech pan ściągnie kapitana i dziedzica do kajuty, a potem niech pan wymyśli powód, żeby mnie przywołać. Mam straszne nowiny.

Doktorowi na chwilę zrzędła mina, lecz opanował się niezwłocznie.

- Dziękuję ci, Jimie - rzekł zupełnie głośno - to wszystko, czego się chciałem od ciebie dowiedzieć!

Udawał, że pytał mnie o coś.

Potem obrócił się na pięcie i przystąpił do tamtych obu. Chwilę jeszcze rozmawiali, a choć żaden z nich ani nie drgnął, ani nie podniósł głosu, ani nie zagwizdał, pojąłem w mig, że doktor Livesey zawiadomił obu panów o mojej prośbie. Wkrótce bowiem usłyszałem, jak kapitan wydał zlecenie Jobowi Andersonowi, i na głos gwizdka cała załoga stanęła do zbiórki na pokładzie.

- Chłopczy! - przemówił kapitan Smollet. - Chcę wam powiedzieć parę słów. Ta ziemia, którą spostrzeżliśmy, jest celem naszej żeglugi. Pan Trelawney, który jak wszyscy wiecie, jest człowiekiem bardzo hojnym, wypytywał się właśnie o wasze sprawowanie. A ponieważ mogłem mu powiedzieć, że każdy marynarz spełnił jak najlepiej swą powinność czy na pokładzie, czy na maszcie i że jestem z was zadowolony, więc on i ja, i doktor ruszamy do kajuty, by wypić za wasze zdrowie i powodzenie, a wy otrzymacie porcję grogu, by wypić za nasze zdrowie i pomyślność. Powiem wam, co o tym myślę: bardzo mi się to podoba! Jeżeli jesteście tego samego zdania, co ja, wnieście wraz ze mną okrzyk na cześć łaskawego pana!

W istocie huknął wiwat, a brzmiał on tak serdecznie i głośno, iż trudno mi było uwierzyć, że ci sami ludzie knują spisek na nasze życie.

- Jeszcze jeden wiwat na cześć kapitana Smolleta! - krzyknął Długi John, gdy pierwszy okrzyk ucichł.

I znowu gruchnęło „Niech żyje”.

Wśród tego zgiełku trzej panowie udali się pod pokład, a niezadługo z ust do ust podano, że Jima Hawkinsa wzywają do kajuty.

Zastałem ich wszystkich trzech siedzących przy stole, na którym stała butelka wina hiszpańskiego i talerz rodzynek. Doktor ćmił fajkę, a perukę trzymał na brzuchu, co jak wiedziałem, świadczyło o jego podnieceniu. Okno na rufie było otwarte i widać było poświatę księżycowa mieniącą się na smudze pozostawionej wśród wody przez okręt.

- No, Hawkins - rzekł dziedzic. - Miałeś coś nam oznajmić. Mów więc.

Uczyliem zadość prośbie i jak najzwzięlej, jak najtreściwiej opowiedziałem wszystkie szczegóły rozmowy Silvera. Nikt ze słuchających mi nie przerywał ani nawet nie poruszył się: przez cały czas opowiadania wlepiali we mnie uważnie oczy.

- Jimie! - rzekł doktor Liyesej. - Siadaj.

Posadzili mnie przy stole obok siebie, nalali mi szklankę wina, nasypali w garście rodzynek, a potem kolejno jeden po drugim kłaniając się pili moje zdrowie i wyrażali swą wdzięczność za moją odwagę i szczęście.

- No, kapitanie - rzekł dziedzic - - pan miał słuszość, a ja byłem w błędzie. Okazałem się osłem, więc czekam na pańskie ozkazy.

- Takim samym osłem byłem i ja - odparł kapitan. - Nie słyszałem nigdy o załodze, która miała zamiar się buntować i nie >kazała tego po sobie zawczasu, tak aby człowiek, który ma oczy głowie, nie poznał się na występnych przedsięwzięciach i nie powziął odpowiednich kroków. Ale ta załoga umiała wyprowadzić mnie w pole.

- Kapitanie - rzekł doktor - za pańskim pozwoleniem, wszystko to sprawa Silvera. To łepak nie lada! Osobliwy człowiek!

- Wyglądałby osobiwiej na jakiej linii masztowej - nastroszył się szyper. - Ale taka pogawędka nie prowadzi do niczego. Mam trzy albo cztery punkty do omówienia, a jeżeli mości pan Trelawney mi pozwoli, wyłuszczę wszystkie po kolei.

- Pan tu jest dowódcą. Do pana należy omawianie planu - rzekł pan Trelawney z powagą.

- Punkt pierwszy - zaczął mówić pan Smollet. - Musimy brnąć dalej, gdyż nie możemy się cofnąć. Gdybym rzekł choć słowo o powrocie, zbuntowaliby się od razu. Punkt drugi: mamy jeszcze czas przed sobą... przynajmniej do chwili odkrycia tego skarbu. Punkt trzeci: są tu jeszcze marynarze, na których można polegać. Prędzej czy później, łaskawy panie, dojsć musi do bitwy, a ja radzę, ażeby jak to mówią, łapać sposobność za włosy i pewnego pięknego poranku, kiedy najmniej będą się spodziewali, uderzyć. Przypuszczam, że możemy liczyć na waszych osobistych służących, panie Trelawney?

- Jak na mnie samego! - zapewnił dziedzic.

- Trzech - rachował kapitan to razem daje nas siedmiu, wliczając w to Hawkinsa. A jak się przedstawia sprawa z uczciwymi marynarzami?

Prawdopodobnie są to ludzie Trelawneya domyślał się doktor - czyli ci, których dobrał sobie sam, zanim wyręczał się pomocą Silvera.

- Nie! - sprzeciwił się dziedzic. - Hands był jednym z moich ludzi!

- Ja sam myślałem, że można ufać Handsowi - wtrącił kapitan.

- I pomyśleć sobie, że to Anglicy! - rozsierdził się dziedzic.

- Panie, jestem gotów nawet wysadzić okręt w powietrze.

- Moi panowie - rzekł kapitan - najlepsza rada, jaką mogę podać, jest bardzo prosta. Musimy, proszę was, mieć się na baczności i pilnie śledzić wszystko. Prawda, że będzie to próba cierpliwości i o wiele byłoby przyjemniej przystąpić wprost do uderzenia. Ale trudno tu coś poczynić, dopóki nie znamy swoich ludzi. Mieć się na ostrożności i węszyć, skąd wiatr wieje, oto moja rada.

- Jim może nam tu przysłużyć się więcej niż ktokolwiek inny

- rzekł doktor. - Marynarze wobec niego się nie krępują, a Jim ma niezwykły zmysł spostrzegawczy.

- Hawkins, jestem pełen dziwnej wiary w ciebie - dorzucił dziedzic.

Na to ogarnęła mnie prawdziwa rozpacz, gdyż czułem się zgoła bezradny; bądź co bądź, skutek dziwnego zbiegu okoliczności istotnie mnie zawdzięczali swoje bezpieczeństwo. Na razie jednak, mówcie, co chcecie, wśród dwudziestu sześciu osób znajdujących się na okręcie było tylko siedem takich, na których mogliśmy polegać z całą pewnością; ponadto jedna z tych siedmiu była

chłopięciem, tak iż po naszej stronie mieliśmy sześciu dorosłych ludzi przeciw dziewiętnastu.

**Część Trzecia**

# **MOJE PRZYGODY NA LĄDZIE**

## Jak się rozpoczęły moje przygody na łądzie

Gdy nazajutrz rano wyszedłem na pokład, wyspa przedstawiała już zupełnie odmienny widok. Chociaż wiatr osłabł bardzo, to jednak przebyliśmy w nocy sporą przestrzeń i znajdowaliśmy się już mniej więcej o pół mili na południowy-wschód od niskiego wybrzeża wschodniego. Zielone lasy pokrywały znaczną część powierzchni wyspy. To jednostajne tło przerywały smugi żółtych ławic piaskowych w części nizinnej oraz wysokie drzewa z gatunku sosen, wybijały ponad inne - bądź pojedyncze, bądź w skupieniach; zresztą krajobraz był na ogół ponury i mało urozmaicony. Pagórki odcinały się wyraziście od poszycia roślinności wierzchołkami nagimi i skalistymi. Wszystkie miały kształty dziwaczne, a najwyższy z nich, Luneta, wznoszący się na wysokość trzystu lub czterystu stóp ponad wyspą, miał niewątpliwie budowę najosobliwszą, gdyż zbocza jego opadały stromo, prawie jednakowo ze wszystkich stron, a wierzchołek jego był ucięty niby postument pod posąg.

Hispaniola lawirowała po wezbranym oceanie, wychlupując wodę szpygatami. Drażki żaglowe szarpały się na blokach, rudło steru miotano się tam i z powrotem, a cały statek skrzypiał, huczał i dygotał jak młyn. Musiałem silnie uchwycić się liny, bo świat cały wirował i mącił mi się przed oczyma. Byłem wprawdzie już dość zaprawiony do żeglugi, lecz to stanie w miejscu i obracanie się w kółko na kształt butelki było czymś, czego nigdy nie umiałem przetrzymać bez mdłości lub podobnych objawów, zwłaszcza rano o pustym żołądku.

Może to stąd pochodziło, ale może powodem mej słabości był widok wyspy z jej zielonymi, posępными lasami, dzikimi szczytami skalnymi i kłębowiskiem fal, którego spieniony war ze zgiełkiem rozbijał się o urwisty brzeg; słowem - choć słońce świeciło jasno i przygrzewało mocno, choć ptactwo nadbrzeżne nurkowało i świergotało dokoła nas i choć należałoby przypuszczać, że każdy powinien się rozweselić widząc ziemię po tak długim kołatanii się na morzu, to jednak mnie dusza - jak to mówią - uciekła w pięty i od pierwszego spojrzenia zniechęciłem nawet samą myśl o Wyspie Skarbów.

Mieliśmy tego poranku ciężką pracę przed sobą, gdyż wiatru nie było ani śladu, trzeba więc było spuścić czółna napelnione ludźmi i holować okręt trzy czy cztery mile dookoła cypla wyspy i przez wąską cieśninę do zatoki poza Wyspą Szkieletów. Zgłosiłem się na jedną z łodzi, gdzie prawdę mówiąc nie miałem nic do roboty. Upał był nieznośny, a marynarze mocno sarkali na swój trud. Andersen dowodził moim czółnem, a zamiast trzymać w korbach swoich podwładnych zrzędził, jak mógł najgłośniej.

- Dobrze - rzekł rzuciwszy przekleństwo - że nie zawsze tak będzie!

Uważałem to za bardzo zły znak, gdyż aż do tego dnia ludzie szli żwawo i chętnie do swych zajęć, lecz sam widok wyspy już zdołał rozluźnić węzły karności.

Podczas całej przeprawy Długi John stał koło sternika i wskazywał kierunek jazdy. Znał cieśninę jak własną dłoń, a chociaż pomiar głębokości wykazał wyższy stan wody, niż oznaczona na mapie, to jednak John nie miał żadnych wątpliwości.

- Bywają tu silne przyływy - objaśnił - a ta cieśnina jest niby rydlem przekopana, jak to

mówią.

Przybyliśmy do tego miejsca, gdzie na mapie była uwidoczniona kotwica, mniej więcej o trzecią część mili od obu wybrzeży, mając z jednej strony ląd główny, a Wyspę Szkieletów z drugiej. Dno było jasne i piaszczyste. Plusk kotwicy spłoszył cztery ptactwa, które z wrzawą poczęły krążyć nad lasem, lecz za chwilę znów przysiadły i wszystko się uspokoiło.

Miejsce to było całkowicie zamknięte lądem i osłonięte lasami, których drzewa dochodziły do samej linii największego przyboru wody, brzegi były przeważnie płaskie, a otaczały je wzgórza wznoszące się w pewnej odległości tu i ówdzie na kształt amfiteatru. Dwie małe rzeczulki lub raczej bagienka przesączały się do tej sadzawki, jak można było nazwać zatokę, a liście z tej strony wybrzeża miały jakiś niezdrowy połysk. Z okrętu nie mogliśmy dojrzeć żadnego domu czy obwarowania, gdyż wszystko zakrywały drzewa, a gdyby w kajucie kapitańskiej nie było mapy zawierającej wszystkie szczegóły, można by mniemać, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy tu zarzucili kotwicę, od czasu gdy wyspa wyłoniła się z głębin morskiej

Najmniejszy powiew nie poruszał powietrza, nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz dalekiego łoskotu bałwanów bijących w brzegi i skały o pół mili stąd. Szczególna woń bagienna wisiała nad przystanią - woń rozmokłych liści i butwiejących pni drzewnych. Zobaczyłem, że doktor począł krzywić nosem jak ktoś, kto skosztował zgniłe jajko

- Nie wiem, czy są tu skarby - rzekł - ale daję w zastaw perukę, że panuje tu febra

Jeżeli zachowanie się marynarzy już na łodzi było niepokojące, to stało się wprost groźne, gdy weszli na okręt. Porozwalali się na pokładzie, wiodąc rozmowę pełną utyskiwań. Najlepsze zlecenie przyjmowano złowrogim spojrzeniem, a spełniano niechętnie i niedbale. Nawet uczciwi marynarze widocznie zarazili się złym przykładem, gdyż na okręcie nie znalazł się ani jeden człowiek, który by skarcił opieszłych. Było rzeczą jasną, że rokosz wisiał w powietrzu niby chmura gradowa

Ale nie tylko my, grupa z naszej kabiny, odczuwaliśmy groźbę położenia. Długi John uwijał się znojną, przechodząc od jednej gromady do drugiej, me szcędząc dobrych rad i osobiście świecąc jak najlepszym przykładem. Sam siebie prześcignął w ochocie i uprzejmości, wszystkich dokoła obdarzał uśmiechem. Ilekroć wydawano mu jakiś rozkaz, John natychmiast pojawiał się na swym szcudle, z najweselszym w świecie. „Słucham proszę pana!” Kiedy zaś nie było mu do roboty, wywodził jedną śpiewkę za drugą, jak gdyby chciał zatuszować niezadowolenie swych współtowarzyszy

Ze wszystkich przykrych szczegółów tego posępnego popołudnia najbardziej przygniatający był ten widoczny niepokój Długiego Johna. Odbyliśmy naradę w kajucie

- Panie - rzekł kapitan - jeżeli wydam jeszcze jakiś rozkaz, będziemy mieli po uszy złorzeczeń całego okrętu. Sam pan widzi, co się święci. Każde moje żądanie spotyka się z grubiańską odpowiedzią. Jeżeli więc powtórzę rozkaz, zwrócą ostrze buntu przeciwko nam, i cześć tego nie uczynię. Silvei domyśli się, że się pod tym coś ukrywa, i cała sprawa przegrana! Mamy teraz jednego tylko człowieka, na którym możemy polegać



- Kto/ to tdkir) - zapytał dziedzie

- Silver, mój panie - odparł kapitan - Jest on zaniepokojony tak samo jak pan i ja, że sprawa się psuje To tylko dąsy, wkrótce rozmowi się z nimi, skoro nadarzy się sposobność, aja właśnie podaje wniosek, by dać mu tę sposobność Pozwólmy ludziom spędzić popołudnie na lądzie Jeżeli pójdą wszyscy, to na pewno zawładniemy całym okrętem Je/eli nie pójdzie nikt, zgoda, wtedy zatarasujemy się w kajucie, a Bóg niech brom słusznej sprawy. Jeżeli pójdzie kilku, mech pan zapamięta sobie moje słowa, że Silver przyprowadzi ich / powrotem na okręt, potulnych jak baranki

Tak te/ postanowiono Nabite króciice przygotowano dla wszystkich pewnych ludzi, Huntera, Joyce'a i Redrutha dopuściliśmy do wszystkich poufnych wiadomości, które przyjęli z mniejszym zdziwieniem i większą odwagą, mz spodziewaliśmy się Kapitan wyszedł na pokład i przemówił do załogi

Chłopcy' Mieliśmy dzień gorący, jesteście zmęczeni i markotni Wycieczka na ląd me utrudzi nikogo, czółna są ju/ na wodzie, więc wsiadajcie i kto chce, może spędzić popołudnie na lądzie Na godzinę przed zachodem słońca wypalę z działa

Sądzę, /e głupi spiskowcy musieli sobie wyobrazić, i/ natkną się na skarb zaraz po wylądowaniu, bo w mig poniechali fochów i wydali okrzyk, który odbił się echem od dalekiego wzgórze i znów pobudził ptractwo do latania z wrzawą nad przystanią

Kapitan był zanadto przezorny, zęby miał pozostawać na miejscu, natychmiast zszedł z oczu pozwalając Silverowi na zebranie drużyny, a mam wra/eme, /e postąpił zupełnie trafnie Gdyby pozostał na pokładzie, me mógłby dłużej udawać jak dotąd, że nie rozumie, na co się zanosz Było to jasne jak słońce Silver był dowódcą i miał za sobą silną, zbuntowaną watahę Uczciwi marynarze - a wkrótce miałem sposobność przekonać się, że byli i tacy - byli zapewne bardzo głupimi ludźmi Skłonniejszy jednak jestem przypuszczać, że wszyscy żeglarze ulegli gorszemu przykładowi hersztów - jedni mniej, drudzy więcej, kilku zaś w gruncie rzeczy niezłych lud/i nie dało się już dalej prowadzić Wszak to zgoła co innego być leniwym i wykręcać się od roboty, a co innego zdobywać okręt i zabi]ac niewinnych ludzi

Na koniec jednak drużyna się zgromadziła Sześciu majtków miało pozostać na okręcie, a trzynastu pozostałych, wliczając to Silvera, zaczęło schodzić do łodzi

Wówczas przyszedł mi do głowy pierwszy z tych szalonych pomy słów, które tak bardzo się przyczyniły do ocalenia naszego życia Gdyby sześciu ludzi wybrał sobie Silver oc/ywiscie nasze stronictwo nie mogłoby opanować okrętu walką, ale ponieważ tylko sześciu pozosta ło, było rzeczą rów me jasną, że grupa z naszej kajuty me potrzebu)e na razie mojej pomocy Przyszła mi raptem chętka by isc na ląd W mgnieniu oka ześliznąłem się z boku okrętu i stoczyłem się na przednią lawę najbliższej łodzi, w tej samej zaś chwili odbiła ona od statku

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, jedynie pierwszy wioślarz mruknął

- To ty, Jim? Schyl głowę!

Lecz Siher dostrzegł mnie swym jastrzębim wzrokiem z diugie) lodzi i zawołał na mnie, by się upewnić czy to ja Od tej chwili począłem żałować tego co zrobiłem

Lodzie pędziły na wyścigi ku wybrzeżu ale ta, w której ja się znajdowałem miała lepszy rozpęd, była lżejsza i prowadzona przez lepszych wiosłarzy tak iż pozostawiła daleko w tyle swą towarzyszkę nic bawem jej kiawcdz otarła się o drzewa rosnące na brzegu Wtedy uch wyciłem się gałę/i wdrapałem się na ma i dałem nura w najbliższą gęstwinię, gdy Silver i reszta jadących była jeszcze o sto jardów poza mną Jim' lun' usłyszałem jego nawoływania

łatwo zgadnąć ze me zwracałem na to uwagi Skacząc czołgając się i przedzierając przez gąszcze póki nie zbrakło mi tchu umykałem prosto przed siebie.

## Pierwszy cios

Byłem tak uradowany wyratowaniem się z rąk Długiego Johna, iż rychło wpadłem w dobry humor i zacząłem z niejaką ciekawością rozglądać się po nieznannej krainie, w której się znalazłem.

Przebyłem grząską żuławę zarosła wierzbami, sitowiem i cudacznymi, zamorskimi drzewami błotnymi i znajdowałem się obecnie na krańcach odsłoniętego skrawka sfalowanej wydmy piaszczystej ciągnącej się bez mała milę, a nakrapianej tu i ówdzie kępkami sosen lub gromadkami pokrzywionych drzew, rozmiarami nieco przypominających dęby, lecz z bladego ulistnienia podobniej szych do wierzb. Na dalekiej krawędzi tej polany sterczało jedno ze wzgórz o dwu dziwacznym, poszarpanych szczytach, żywo lśniących w słońcu.

Wtedy to po raz pierwszy odczułem radość poszukiwań. Wyspa była nie zamieszкана; towarzyszy okrętowych zostawiłem daleko za sobą, a przede mną nie było żywej istoty oprócz niemych zwierząt i ptaków. Zacząłem wałęsać się pośród drzew. Tu i ówdzie widziałem kwitnące rośliny, zgoła mi nie znane, gdzie indziej zaś dostrzegałem węże; jeden z nich podniósł głowę nad upłaz skalny i syknął na mnie wydając zarazem dźwięk nieco podobny do brzęczenia kręcącego się bąka. Nie domyślałem się bynajmniej, że był to najjadowitszy z gadów, a ów dźwięk pochodził z osławionej grzechotki.

Przybyłem następnie do długiego gaju tych drzew podobnych do dębów — dowiedziałem się później, że nazywają się „dębami żywymi” lub „wiecznie zielonymi”; rosły one nisko nad piaskiem niby głóg, miały konary dziwnie pogięte, a listowie gęste jak strzecha. Gaj ciągnął się od wierzchołka jednego z piaszczystych wzgórz, a w głąb rozprzestrzeniał się i stawał się coraz wyższy, aż dosięgał brzegów szerokiego, zarosłego rokitą trzęsawiska, przez które przeciekał ku zatoce jeden ze strumyków. Wskutek skwaru słonecznego wydzielaly się znad moczaru opary, a we mgle rysowała się niby drżąca - skalista krawędź Lunety.

Nagle wszczął się niezwykley harmider w sitowiu; wyleciała z kwakaniem jedna cyranka, za nią druga i trzecia, a wkrótce nad całą powierzchnią moczaru wzbiła się wielka chmura ptactwa krzycząc i kołując w powietrzu. Od razu odgadłem, że to pewno kilku mych towarzyszy okrętowych przeciąga nad brzegiem trzęsawiska. Nie omyliłem się w domysłach, gdyż usłyszałem niebawem bardzo daleki i przytłumiony dźwięk głosu ludzkiego, który im dłużej nasłuchiwałem, tym stawał się bliższy i donośniejszy.

Ogarnął mnie ogromny strach, więc wpełznąłem pod osłonę najbliższego „żywego dębu” i przyczałem się czujnie, cicho jak mysz pod miotłą.

Z kolei inny głos odpowiedział. Potem odezwał się znów pierwszy, po którym poznałem Silvera, i płynął przez długą chwilę strumieniem zaledwie raz czy dwa przerwany przez drugi głos. Sądząc z brzmienia, musieli rozmawiać poważnie, a czasami nawet z gniewem, lecz ani jedno zrozumiałe słowo nie doszło do mych uszu.

W końcu rozmawiający snadź się zatrzymali, a może usiedli, gdyż nie tylko gwar ich rozmowy przestał się przybliżać, ale nawet ptaki uspokoiły się nieco i poczęły wracać do swych gniazd na

trzęsawisku.

Wtedy uświadomiłem sobie, że zaniedbuję swoją powinność; bo jeżeli okazałem się tak nierozsądny, że ośmieliłem się pojechać na wybrzeże w towarzystwie tych rzezimieszków, zdobyć się mogłem przynajmniej na podsłuchanie ich knoń i najbardziej niewątpliwym, najoczywistszym moim zadaniem w chwili obecnej było podejść ku nim jak najbliżej pod dogodną zasłoną bujnych drzew.

Kierunek, w którym znajdowali się rozmawiający, oznaczyć można było dokładnie nie tylko na podstawie brzmienia ich głosów, ale i po zachowaniu się kilku ptaków, które jeszcze z niepokojem krążyły nad głowami natrętów.

Pełznąć na czworakach, podkradłem się ku nim z wolna, lecz wytrwale. Wreszcie, podnosząc głowę do szpary między liśćmi mogłem widzieć wyraźnie małą, zasłoniętą drzewami kotlinę w bok i id moczaru. Tam Długi John Silver i jeden z załogi stali rozmawiając, /wróceni do siebie twarzami.

Słońce rzucało na nich skwarne promienie. Silver odrzucił w bok na ziemię kapelusz, a swą pociągłą, układną, jasną twarz, błyszczącą od rześistego potu, zadarł nieco ku górze, jakby do czegoś namawiał drugiego mężczyznę.

- Kamracie! - mówił doń. - Cenię cię jak prawdziwy skarb! Możesz mi wierzyć, jak prawdziwy skarb! Gdybym nie przyłgnał do ciebie jak smoła, czy myślisz, że byłbym cię teraz ostrzegał? Już klamka zapadła, stało się; już nie można niczemu zapobiec ani nic naprawić. To, co ci mówię, to tylko w tym celu, aby ocalić ci głowę, bo jeżeli który z tych rozbójników dowie się, to co z sobą pocznę, Tomaszu? Sam powiedz, co zrobię, gdzie się podzieję?

- Silver! - odezwał się drugi mężczyzna, a spostrzegłem, że był nie tylko czerwony po uszy, lecz mówił chrapliwym głosem, jak gawron, i trzęsącym się jak napięta lina. - Słuchaj, Silver! Jesteś stary i uczciwy, a przynajmniej uchodzisz za takiego. Masz pod dostatkiem grosiwa; jesteś bogatszy od wielu, wielu biednych marynarzy, a jeżeli się nie mylę masz w sobie wiele siły i odwagi. I ty mi mówisz, że chcesz wdawać się w tę brudną sprawę z czernią łotrów? Nie, to chyba nieprawda! Jak mnie tu Bóg widzi, wolę rękę postradać niż do tego przystąpić! Jeżeli złamię swą powinność...

Nagły jakiś hałas przerwał jego słowa. Miałem przed sobą jednego z uczciwych marynarzy, a w tejże chwili doszła mnie wieść o drugim. Opodal, za mokradłem, rozległ się nagle jakiś głos, niby okrzyk oburzenia, następnie zaś drugi tuż po nim, a zaraz potem jeden przeraźliwy i przeciągły wrzask. Opoki Lunety po kilkakroć odpowiedziały echem, całe zastępy ptactwa błotnego przerzchły znów z ogromnym trzepotem zaciemniając niebo. Dopiero po upływie dłuższego czasu, gdy ten śmiertelny, nieludzki krzyk dzwonił mi jeszcze w uszach, cisza znów zapanowała w przestworzu i jedynie szelest ptaków ciągnących z powrotem i pomruk oddalonych fal morskich zakłócały senność popołudnia.

Tom poderwał się na krzyk jak rumak ugodzony ostrogą, natomiast Silver nawet nie mrugnął okiem, lecz stał tam gdzie przedtem, opierając się z lekka na szczudle i wpatrując się czujnie w swego towarzysza niby wąż, zanim rzuci się na zdobywcę.

- Johnie! - rzekł żeglarz wyciągając dłoń.

- Ręce do góry! - krzyknął Silver odskakując na pewną odległość w tył, doprawdy z rącością i wprawą wyćwiczonego skoczka.

- Owszem, ręce do góry, Johnie Silver - rzekł tamten. - Nieczyste sumienie każe ci się mnie obawiać! Ale na miłość boską, powiedz mi, co to było.

- Co? - odparł Silver uśmiechając się bardziej znacząco niż kiedykolwiek, tak iż oko jego wydawało się jakby główka od szpilki w jego olbrzymiej twarzy, ale połyskiwało niby okruch szkła.  
- Co to było? O, tak mi się zdaje, że to pewno Alan.

A na to biedny Tom wybuchnął jak bohater.

- Alan! - zawołał. - W takim razie wieczny odpoczynek jego duszy, bo był to wierny marynarz! A co się tyczy ciebie, Johnie Silver, długo byłeś mi przyjacielem, ale już nim nie jesteś! Niech szczenę jak pies, ale dotrzymani obowiązku! To ty zabiłeś Alana! Zabij i mnie, jeśli możesz. Ale ci nie ulegnę!

To powiedziawszy dzielny marynarz odwrócił się plecami do kucharza i począł zmierzać ku wybrzeżu. Lecz nie było mu dane odejść daleko. John ryknawszy uchwycił się gałęzi drzewa, wyrwał szcudło spod pachy i rzucił tym niezwykłym pociskiem, który warknął w powietrzu i ugodził biednego Toma z ogromną siłą, samym okuciem, pomiędzy łopatki w środek pleców.

Nieszczęśliwiec wyrzucił ręce w górę, zaczerpnął tchu i upadł. Trudno powiedzieć, czy odniósł większe obrażenia, lecz sądząc z odgłosu miał doszczętnie zgruchotane krzyże. Lecz nie dano mu czasu na przyjście do siebie. Silver, choć bez nogi i szcudła, błyskawicznie, z małą zręcznością, znalazł się na leżącym i dwukrotnie zatopił nóż aż po rękojeść w ciele bezbronno. Z mej kryjówki słyszałem, jak dyszał głośno przy zadawaniu ciosów.

Nie wiem dokładnie, co znaczy omdlenie, lecz wiem, że w owej chwili cały świat zawirował przede mną i zaszedł mgłą: Silver, ptaki i wyniosły szczyt Lunety - wszystko to zatoczyło jakiś piekielny 1.1 nieć w moich oczach, a w uszach odezwało się niby huczenie <l/wonów i gwar odległych głosów.

Gdy oprzytomniałem, już zbrodniarz zabierał się do odejścia ułożywszy szcudło pod ramię, a kapelusz na głowę. Tuż przed nim na murawie leżał nieruchomo Tom, lecz zabójca nie troszczył się on ,tni trochę, ocierając zbroczony nóż garścią trawy. Poza tym nic się nie zmieniło: słońce wciąż świeciło nielitościwie nad zionącym oparzeliskiem i nad strzelistymi wierzchołkami gór... Ledwo mogłem uwierzyć, że dopiero co dokonał się rozlew krwi i że przed chwilą w moich oczach zgładzono w okrutny sposób życie ludzkie...

Lecz teraz John włożył rękę do kieszeni, wyciągnął świstawkę i wydał kilka modulowanych dźwięków, które rozbrzmiały daleko w skwarnym przestworzu. Wprawdzie nie rozumiałem znaczenia tego hasła, w każdym razie jednak wzbudziło ono we mnie natychmiast lęk. Mogło nadejść więcej ludzi, mogli mnie odnaleźć. Zabili już dwóch uczciwych ludzi - po Tomie i Alanie może na

mnie miała przyjść kolej?

Bez namysłu począłem się wydobywać z gąszczy i poczołgałem się jak najspieszniej i najciszej z powrotem ku najbardziej odsłoniętej części lasu. Zaledwie to uczyniłem, posłyszałem tu i tam pohukiwania i odezwy starego korsarza i jego współników - ten dźwięk niebezpieczeństwa jakby mi przypiął skrzydła. Skoro tylko wydostałem się z zarośli, popędziłem tak chyżo jak jeszcze nigdy przedtem, nie myśląc wcale o kierunku ucieczki, byle tylko odbiec jak najdalej od złoczyńców, a kiedym tak pędził, strach rósł i rósł we mnie..., ażem już był bliski szaleństwa.

Bo też czy był kto w cięższej opresji niż ja? Gdy posłyszę strzał armatni, jakże odważę się zejść do łodzi pomiędzy tych przestępców splamionych świeżym morderstwem? Czyż pierwszy z nich, który mnie zobaczy, nie ukreśli mi szyi jak bekasowi? Czyż sama moja obecność nie będzie dla nich jawnym dowodem mej trwogi, a co zai tym idzie i mych wiadomości, tak fatalnych? - Już po wszystkim - myślałem sobie - bywaj zdrowa, Hispaniolol! Bywajcie zdrowi, panie dziedzicu, panie doktorze i kapitanie! Nic mi nie pozostało, jaK umrzeć z głodu lub z rąk rokoszan!

Biegłem i biegłem przed siebie, aż nie zdając sobie z tego sprawy dotarłem do stóp niewielkiego wzgórza o dwóch wierzchołkach i znalazłem się w części wyspy, gdzie żywe dęby rosły rzadziej, przybierając wygląd i rozmiary drzew leśnych. Gdzeniegdzie mieszały się z nimi z rzadka sosny, dochodzące do pięćdziesięciu, a bywało, że i do siedemdziesięciu stóp wysokości. Powietrze miało woń bardziej orzeźwiająca niż nad bajorem.

Wtem nowe niepokojące zjawisko osadziło mnie w miejscu, a serce tłukło się we mnie jak młotem.

## Mieszkaniec wyspy

Ze zbocza wzgórza, które tu było strome i kamieniste, zsunął się kłęb żwiru i z szelestem, koziółkując, wpadł między drzewa. Odruchowo zwróciłem oczy w tym kierunku i ujrzałem jakąś postać wyskakującą z rozmachem spoza pnia sosny. Żadną miarą nie mogłem rozpoznać, co to było: czy niedźwiedź, czy człowiek, czy też małpa. Było to coś ciemnego i kosmatego - nic więcej nie zdołałem rozróżnić. W każdym razie groza nowego zjawiska przygwoździła mnie do ziemi.

Byłem teraz, jak mi się zdawało, odcięty z obu stron: za mną znajdowali się rozbójnicy, a przede mną jakaś nieokreślona, czająca się poczwara. W pierwszej chwili przeniosłem niebezpieczeństwo, które mi już było znane, nad to, którego jeszcze nie znałem. Sam Silver we własnej osobie wydał mi się mniej straszny w zestawieniu z tym leśnym potworem; zwróciłem więc na pięcie i oglądając się pilnie poza siebie począłem umykać w stronę łodzi.

Naraz postać owa znów się zjawiała i zataczając wielki krąg zaczęła zachodzić od przodu. Byłem już porządnie zmęczony, ale nawet gdybym czuł się rześki tak jak po rannym wstaniu, przekonałbym się, że daremnym trudem było współzawodnictwo w chyżości z takim przeciwnikiem. Stwór ten przemykał się od pnia do pnia jak dziki zwierz, biegając na dwóch nogach na kształt człowieka; lecz zginał się niemal wpół podczas biegu, co go czyniło niepodobnym do jakiegokolwiek istoty ludzkiej, którą zdarzyło mi się spotkać. A jednak zmiarkowałem, że był to niewątpliwie człowiek!

Zacząłem sobie przypominać, co słyszałem o ludożercach, i o mały włos nie zawołałem o pomoc. Lecz już sam ten fakt, że był to człowiek, choć dziki, dodał mi nieco otuchy, a jednocześnie zaczął się we mnie znów budzić strach przed Silverem. Stałem więc spokojnie i rozglądałem się za jakimś sposobem ocalenia; wśród tych rozmyślań zaświtała mi w głowie myśl o króciocy, którą miałem przy sobie. Gdy przypomniałem sobie, że nie jestem bezbronny, odwaga znów wstąpiła mi do duszy, odwróciłem się śmiało twarzą do mieszkańca wyspy i postąpiłem raźnie w jego stronę.

Tymczasem ów ukrył się za jednym z drzew, lecz widocznie śledził mnie z uwagą, gdyż, ledwo skierowałem się ku niemu, już się znów ukazał i wyszedł mi na spotkanie. Naraz zawahał się i cofnął, znów wystąpił naprzód, a w końcu, ku memu zdziwieniu i zakłopotaniu, padł na kolana i podniósł błagalnie złożone dłonie.

Zatrzymałem się powtórnie na ten widok. Kto ty jesteś? - zapytałem.

- Benjamin Gunn - odpowiedział, a głos jego brzmiał chrapliwie i zacinał się jak klucz w zardzewiałym zamku. - Jestem nieszczęśliwy Ben Gunn i już od trzech lat nie rozmawiałem z żadną chrześcijańską duszą.

Mogłem teraz przekonać się, że był to biały człowiek jak ja, a nawet rysy miał dość przystojne. Skóra, tam gdzie przeglądała, była spalona od słońca, nawet wargi miał niemal czarne, a jego jasne oczy wprost niesamowicie odbijały od tak ciemnej twarzy. Nigdy w życiu nie widziałem ani sobie nie wyobrażałem podobnego obdartusa. Był odziany w strzęp starego płótna żaglowego i zetlałego ubrania żeglarskiego, a ta niezwykła łatanina trzymała się razem jedynie dzięki kombinacji

najróżnorodniejszych i nie zharmonizowanych z sobą wiązań, mosiężnych guzików, małych patyczków i pętli zasmolonego powroza. Na lędźwiach miał stary pas skórzany z mosiężną sprzączką, który był jedyną niepostrzeżoną rzeczą w jego odzieniu.

- Trzy lata! - zawołałem. - Czy jesteś rozbitkiem?

- Nie, przyjacielu - odrzekł - maronem.

Słyszałem już dawno to słowo i wiedziałem, że oznacza rodzaj strasznej kary, dość pospolitej wśród korsarzy, a polegający na tym, winowajcę wysadza się na pustej i ustronnej wyspie z garstką prochu i kuł.

- Zesłany jestem od trzech lat - mówił w dalszym ciągu ów /łowiek - żywiłem się dziczyzną, jagodami i ostrygami. Myślę, że > /łowiek, gdziekolwiek się znajdzie, potrafi wyżywić się jako tako. Icdnakże, mój przyjacielu, stęskniłem się już za strawą chrześcijańską. Może masz przypadkiem przy sobie kawałek sera? Nie? Och! W ciągu wielu długich nocy śniłem o serze... zwłaszcza o zapiekanym serze... i ocknąwszy się, znajdowałem się znów tutaj...

- O ile uda mi się kiedykolwiek dostać znów na okręt, będziesz miał sera po samo gardło - powiedziałem.

Przez ten cały czas obmacywał materiał mej kurtki, gładził moje ręce, przypatrywał się moim trzewikom i w ogóle, gdy przestawał mówić, okazywał dziecinną radość z obecności pokrewnego sobie stworzenia. Lecz podczas mych końcowych słów wyprostował się, lakby się czegoś przeraził, i spojrzał przebiegle.

- Jeżeli uda ci się kiedykolwiek dostać na okręt, powiadasz? - powtórzył. - Co to, któż ci stoi na zawadzie?

- Nie ty, ma się rozumieć - odparłem.

- Masz rację! - zawołał. - No, a teraz ty... jak się nazywasz, kamracie?

- Jim - odpowiedziałem.

- Jim, Jim! - powtarzał, widocznie bardzo zadowolony. - A więc dobrze, Jimie, wiedz, że prowadziłem życie tak straszne, że zawstydzisz się, gdy usłyszysz o nim! Ale ty, na przykład, patrząc na mnie nie pomyślałbyś, że miałem kiedyś bogobojną matkę?

- Dlaczegoż by nie? Dlaczego tak sądzisz? - odrzekłem.

- Ach tak - westchnął ów człowiek. - Miałem matkę nadzwyczaj pobożną. Ja też byłem łagodnym, bogobojnym dzieckiem i umiałem recytować katechizm tak prędko, że nie można było rozróżnić słów. I oto do czego doszło, Jimie, a rozpoczęło się to od gry w pliszkę na poświęconych kamieniach nagrobnych! Od tego to się zaczęło... no, i poszło dalej. Moja matka mówiła mi o tym i przepowiadała mi wszystko. Tak, cnotliwa niewiasta! Ale Opatrzność tu mnie przysłała. Przemyślałem to wszystko na tej odludnej wyspie i nawróciłem się na drogę dawnej bogobojności.



Nie przyłapiesz mnie już na nadmiernym upijaniu się rumem, choć co prawda przy pierwszej sposobności łyknę kieliszeczek na szczęście. Zobowiązałem się, że będę dobrym człowiekiem i znam drogę do tego celu. Tu obejrząwszy się dokoła i zniżając głos szepnął:

- Bo wiedz, Jimie, że jestem bogaty.

W tej chwili nabrałem pewności, że ten biedak w swym osamotnieniu popadł w obłąkanie. Prawdopodobnie wrażenie to odbiło się na mej twarzy, gdyż Gunn powtórzył gorąco swe zapewnienie:

- Bogaty, bogaty, powiadam! I jeszcze jedno ci powiem: wy-kieruję cię na człowieka, Jimie. Ach, Jimie, będziesz błogosławił niebu, oj będziesz, żeś był pierwszym człowiekiem, który mnie tu odnalazł!

Naraz spochmurniał, pochwycił mnie silnie za rękę i wzniosł groźnie przed moimi oczyma palec wskazujący:

- A teraz, Jimie, powiedz mi prawdę: to nie jest okręt Flinta? - zapytał.

Słowa te natchnęły mnie szczęśliwą myślą, gdyż pojąłem, że znalazłem sprzymierzeńca, więc odparłem bez wahania:

- To nie jest okręt Flinta, a Flint już nie żyje, lecz skoro pytasz, powiem ci otwarcie: na okręcie znajduje się kilku ludzi Flinta, na nieszczęście dla pozostałych.

- Nie ma tam człowieka... z jedną... nogą? - jęknął ów.

- Silvera? - zapytałem.

- Tak, Silvera! Tak się nazywał!

- Jest kucharzem, a zarazem hersztem.

Wyspiarz trzymał jeszcze moją rękę w przegubie, a usłyszawszy ostatnie wyrazy wykręcił mi ją i rzekł:

- Gdybyś był nasłany przez Długiego Johna, musiałbym być głupi jak cielęce nogi. Przecież wiem się poznać na tym! Ale gdzie się znajdujesz, jak myślisz?

Skupiłem od razu myśli i odpowiadając na pytanie przedstawiłem mu całą historię naszej wyprawy i odmalowałem ciężkie położenie, w jakie popadliśmy. Słuchał mnie z natężoną uwagą, a gdy skończyłem, pogłaskał mnie po głowie mówiąc:

- Jesteś dobrym chłopakiem, Jim! Oj, wpadliście wszyscy w porządne tarapaty, a co? No, zaufaj tylko Ben Gunnowi. Ben Gunn da już temu radę! Ale czy uważasz za prawdopodobne, aby wasz dziedzic okazał się hojny w razie udzielenia mu pomocy, skoro sam znajduje się w kłopotach, o jakich wspominałeś?

Oznajmiłem, że dziedzic jest najwspaniałomyślniejszym człowiekiem pod słońcem.

- Tak, ale widzisz - odparł Ben Gunn - nie chodzi mi o to, żeby mnie mianował swoim odźwiernym, ubrał mnie w swoją liberię i tak dalej, na tym mi nie zależy, Jimie. Mam to na myśli, czy on zezwoli chętnie na zabranie, dajmy na to, tysiąca funtów z tych pieniędzy, które są już prawie jego własnością?

- Jestem przekonany, że pozwoli - zapewniłem go. - Według pierwotnego zamiaru wszyscy marynarze mieli otrzymać pewną część skarbu.

- A co będzie z... moim powrotem? - dodał patrząc bardzo przebiegle.

- Co sobie myślisz? - zawołałem. - Dziedzic jest człowiekiem szlachetnym, a jeżeli pozbedziemy się tylu innych, będziemy potrzebowali twojej pomocy, gdy pozełujemy do ojczyzny.

- Ach, to tak! - odetchnął zesłaniec z widoczną ulgą. - Teraz ci coś powiem - ciągnął dalej - tylko tyle, nic nadto. Byłem na okręcie Flinta, gdy ten zakopał swe skarby... on i sześciu innych - sześciu tęgich marynarzy. Oni byli na lądzie prawie cały tydzień, my zaś znajdowaliśmy się opodal na starym Koniu Morskim. Pewnego pięknego dnia odezwał się sygnał. Nadjechał Flint sam w małej łódce, a głowę miał przewiązaną szafirową chustą. Słońce właśnie wschodziło i wyglądał trupiobladym przy dziobie okrętu. Ale oto był, uważasz, a sześciu już nie żyło... już byli nieżywi i pogrzebani. Jak się to stało, żaden z marynarzy nie mógł dociec. Była jakaś bitwa, morderstwo, nagła śmierć, w każdym razie jeden na sześciu. Billy Bones był bosmanem, a Długi John kwatermistrzem. I pytali się go, gdzie jest skarb. Powiedział: „No, możecie sobie iść na ląd, jeśli chcecie i pozostać tam! Ale okręt popłynie dalej, aby zdobywać nowe skarby, do kroćset piorunów!” Tak powiedział. Otóż trzy lata temu płynąłem na innym okręcie... i ujrzeliśmy tę wyspę. „Chłopcy! - odezwałem się - tu spoczywa skarb Flinta; wylądujmy i odnajdźmy go”.

Kapitan skrzywił się na to, lecz wszyscy moi współtowarzysze przychyliłi się do mego zdania i wylądowali. Dwanaście dni strawiliśmy na poszukiwaniach, a z każdym dniem towarzysze moi coraz więcej zzymali się na mnie, aż pewnego pięknego poranku dali drapaką na okręt. „Mamy tu dla ciebie, Ben Gunn - powiedzieli - muszkiet, łopatę i kilof. Możesz tu pozostać i dokopać się skarbów Flinta”. Wyobraź sobie, Jimie: przeżyłem tu trzy lata i nie miałem w ustach od owego dnia aż po dziś dzień ani kęsa chrześcijańskiej strawy. Spójrz no tu, spójrz na mnie. Czy wyglądam na ciurę okrętowego? Nie, sam przyznasz. A dodam też, że nigdy nim nie byłem.

Mówiąc to pokiwał głową i uszczypnął mnie mocno, po czym ciągnął dalej:

- Wspomnij tylko te słowa swemu panu, Jimie! I nigdy nim nie był - te słowa. Powiesz tak: „Ten człowiek spędził trzy lata na wyspie, we dnie i w nocy, czy pogoda, czy słońce; może niekiedy myślał o pacierzu (tak powiesz) a może czasem o swej starej matce, jak gdyby jeszcze żyła. Ale większą część czasu (i to mu powiesz) większą część czasu musiał Gunn spędzać na innych zajęciach”. A potem uszczypnij swego starego tak jak ja ciebie w tej chwili.

I uszczypnął mnie znowu w sposób nader poufały.

- Potem wstaniesz i tak powiesz - mówił dalej - „Gunn jest dobrym człowiekiem (tak powiesz) i żywi o wiele więcej zaufania (o wiele, zapamiętaj to sobie!) do pana z panów, aniżeli do tych panów szczęścia, do jakich sam należał”.

- Dobrze - odpowiedziałem - nie rozumiem ani słowa z tego, co powiedziałaś. Ale to mnie ani grzeje, ani ziębi. Chodzi o to, jak mam dostać się na okręt?

- Istotnie - rzekł zesłaniec. - W tym sęk! Aleja tu mam łódkę, którą własnoręcznie wydłubałem. Ukryłem ją pod tą białą skałą. W ostatecznym razie możemy jej spróbować, gdy zapadnie zmierzch. Hej! - uciał nagle - cóż to takiego?

Właśnie bowiem w tej chwili, chociaż do zachodu słońca pozostały jeszcze ze dwie godziny, przebudziły się wszystkie echa na wyspie i odpowiedziały rykiem na huk działa.

- Walka się rozpoczęła! - krzyknąłem. - Chodź za mną!

I zacząłem pędzić w kierunku przystani zapomniawszy zgoła o strachu, a zesłaniec biegł tuż obok mnie w swych skórkach kozłich lekko i bez wysiłku.

- W lewo, w lewo! - przemówił. - Trzymaj się lewej strony, miły Jimie! Szust pod drzewo! W tym oto miejscu zabiłem pierwszego kozła. One już tu nie przychodzą teraz, ale gnieźdzą się na tych górach /e strachu przed Ben Gunnem. O, a tutaj jest smyntarz (zapewne oznaczało to cmentarz). Widzisz, te wały? Tu często przychodziłem

I modliłem się, gdy mi się zdawało, że musi już być niedziela. Nie było tu kaplicy, ale to miejsce wygląda jakoś bardziej uroczyście i odświętnie. Zresztą, jak widzisz, Ben Gunn był ubogi: ani duchownej osoby, ani nawet Biblii czy chorągwi, sam powiedz.

Tak gwarzył biegnąc wraz ze mną, nie oczekując ani nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

Po dość znacznej przerwie zagrzmiał znów wystrzał armatni wraz z grzechotaniem rusznic i samopałów.

Znów nastąpiła pauza, a niedługo, niespełna o ćwierć mili przed sobą, ujrzałem narodową banderę Wielkiej Brytanii powiewającą w powietrzu nad lasem.

**Część Czwarta**

**WAROWNIA**

## Ciąg dalszy opowiedziany przez doktora: jak opuszczono okręt

Było mniej więcej wpół do drugiej po południu - „trzy dzwonki” wedle wyrażenia żeglarskiego - gdy dwie szalupy odpłynęły od Hispanioli zmierzając ku wybrzeżu. Kapitan, dziedzic i ja zeszliliśmy do kajuty, by omówić sytuację. Gdyby był choć najlżejszy wiatr, wpadlibyśmy na sześciu buntowników, którzy pozostali z nami na okręcie, zwinęlibyśmy liny i hejże na ocean! Ale wiatru nie było, a na domiar nieszczęścia nadszedł Hunter z wieścią, że Jim Hawkins zeskokczył na jedną z łodzi i pojechał z innymi na ląd.

Nikommu z nas przez głowę nie przeszło, by nie ufać Jimowi Hawkinsowi, ale zaniepokoiłiśmy się o jego bezpieczeństwo. Wobec takiego usposobienia, jakie okazali owi ludzie, wydawało nam się, że jedynie dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności moglibyśmy znów kiedyś zobaczyć naszego chłopaka. Wybiegliśmy na pokład. W szczelinach spojeń bulgotała smoła, a przykry zaduch w tej okolicy przyprawiał mnie o mdłości - jeżeli gdzie, to chyba w tej plugawej przystani można było się nabawić febry i czerwonki. Sześciu obwiesiów siedziało pod żaglem na przednim kasztelu. Przy wybrzeżu widać było obie szalupy przycumowane w tym miejscu, gdzie strumyki wpadały do morza, a w każdej z nich siedział jeden człowiek. Jeden z nich pogwizdywał „Lilibullero”.

Oczekiwanie było dręczące, więc uchwaliliśmy, że Hunter i ja udamy się w łódce na brzeg, by zbadać stan rzeczy.

Łodzie zwrócone były na prawo, ale ja z Hunterem zdążaliśmy prosto przed siebie w kierunku warowni oznaczonej na mapie. Owi dwaj ludzie, którzy mieli powierzona pieczę nad łodziami, byli jakby zakłopotani naszym pojawieniem się, gdyż „Lilibullero” naraz umilkło i ujrzałem, jak ta dwójka naradzała się, co należy uczynić. Gdyby zawrócili i opowiedzieli o tym Silverowi, wszystko może by przybrało inny obrót, lecz jak przypuszczam, musieli mieć jakieś zlecenia, więc postanowili siedzieć spokojnie na swoim miejscu i nasłuchiwać odezwu „Lilibullero”.

W wybrzeżu było małe wygięcie, a ja sterowałem w ten sposób, żeby znalazło się ono między nami a nimi, tak że jeszcze przed wylądowaniem straciliśmy z oczu łodzie. Wskoczyłem i podszedłem tak daleko, jak mogłem, mając pod kapeluszem wielką chustkę jedwabną dla ochłody, a w ręce dla ochrony parę pistoletów świeżo podsypanych prochem.

Przebywszy niespełna sto jardów doszedłem do warowni. Oto, co tam zastałem: pod samym szczytem nasypu ziemnego biło źródło czystej wody. Na nasypie i dokoła źródła stał budynek z potężnych okrągłaków, zdolny do pomieszczenia czterdziestu ludzi i opatrzonej ze wszech stron w strzelnice dla muszkietów. Dokoła niego była wykarczowana znaczna przestrzeń, wszystko zaś otaczała palisada sześciu stóp wysokości, bez drzwi lub otworu, zbyt silna, by można ją było obalić bez nakładu czasu i trudu, a zanadto odsłonięta, by mogła dawać ukrycie oblegającym. Ludzie zamknięci w warowni mogli ich zewsząd dosięgnąć: wystarczyło stać spokojnie w ukryciu, by wystrzelać ich jak kuropatwy. Potrzeba im było tylko dobrych czat i żywności, gdyż o ile nie zostaliby zupełnie znienacka zaskoczeni, mogli stawić czoło nawet całemu pułkowi.

Co szczególnie mnie tu zachwyciło, to źródła. Chociaż bowiem mieliśmy wszystkiego pod dostatkiem w kajucie Hispanioli, zarówno broni i amunicji, jak żywności i wspaniałych win,

zapomnieliśmy o jednej rzeczy - nie mieliśmy wody. Właśnie o tym myślałem, gdy ponad wyspą rozbrzmiał krzyk śmiertelnie ugodzonego człowieka. Nagła śmierć nie była dla mnie nowością - wszak służyłem pod rozkazami Jego Królewskiej Mości księcia Cumberland i otrzymałem nawet ranę pod Fontenoy - lecz wiem, że w tej chwili serce bić mi poczęło przyśpieszonym tętnem.

- Jim Hawkins zginął - pomyślałem.

Dużo to znaczy być starym żołnierzem, ale jeszcze więcej - być lekarzem. W naszym zawodzie nie ma czasu na długie rozmyślenia, więc zaraz odzyskałem przytomność umysłu i nie tracąc czasu powróciłem na brzeg i wskoczyłem do łodzi.

Na szczęście Hunter był wyśmienitym żeglarzem, toteż mknęliśmy po wodzie jak strzała; niebawem łódź przybiła do statku i weszliśmy na pokład.

Jak łatwo się domyślić, zastałem wszystkich w wielkim poruszeniu. Dziedzic siedział blady jak ściana, myśląc o niedoli, w którą nas wpędził... Poczciwiec! Jeden z sześciu marynarzy na pokładzie przednim czuł się niewiele lepiej.

- Oto mamy nowego sprzymierzeńca - rzekł kapitan Smollet wskazując na niego. - O mało nie omdlał, doktorze, kiedy usłyszał krzyk. Jeszcze jedno poruszenie steru, a człowiek ten przejdzie na naszą stronę!

Przedstawiłem kapitanowi swój plan i wspólnie omówiliśmy szczegóły jego wykonania.

Wysłaliśmy starego Redrutha na korytarz między kajutą a pokładem przednim z trzema czy czterema nabitymi muszkietami oraz materacem dla zasłony. Hunter podprowadził łódź pod rufę, a Joyce i ja poczęliśmy napełniać ją puszkami prochu, muszkietami, worami sucharów, połciami wędliny. Beczkę koniaku i moją nieocenioną skrzynkę z przyborami lekarskimi wzięliśmy również.

Tymczasem dziedzic i kapitan czekali na pokładzie, a drugi z nich wezwał podsternika, który był najstarszy stopniem między marynarzami pozostałymi na statku.

- Panie Hands - przemówił - jest nas tu dwóch, każdy z parą pistoletów w ręce. Jeżeli ktokolwiek z was sześciu da jakikolwiek sygnał, padnie trupem na miejscu.

Cofnęli się znacznie, a po krótkiej naradzie wszyscy co do jednego rzucili się pod kajutę przednią, pewno w tym celu, aby zająć nas od tyłu. Skoro jednak zobaczyli Redrutha przyczajonego w zatarasowanym korytarzu, natychmiast rozbiegli się po okręcie i jedna głowa wyjrzała znów na pokład.

- Na dół, psie! - krzyknął kapitan.

Głowa znów znikła i na razie nie słyszeliśmy więcej o tych sześciu struchlałych marynarzach.

Wśród tego, pomimo całego zamieszania, naśadowaliśmy uodę, ile sił dało. Joyce i ja wydostaliśmy się przez rufę i popędziliśmy znów ku wybrzeżu co sił w wiosłach.

Ta druga wyprawa poważnie zaniepokoiła strażników na wybrzeżu. Znów zabrzmiało „Lillibullero” i jeszcze zanim straciliśmy ich z oczu za małym przylądkiem, jeden z nich wybiegł na brzeg i zniknął. Już przychodziło mi na myśl, by zmienić plan i zniszczyć ich czołna, ale obawiałem się, że Silver z towarzyszami mógł znajdować się w pobliżu i że wszystko pójdzie wniwecz przez nadmierną zuchwałość.

Zawinęliśmy wnet do brzegu w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, i zaczęliśmy zaopatrywać warownię w broń i żywność. W pierwszą stronę odbyliśmy drogę wszyscy trzej, ciężko objuczeni, i przrzuciliśmy pakunki przez częstokół, następnie zaś pozostawiliśmy Joyce'a na warcie przy rzeczach - jeden człowiek, co prawda, ale miał przy sobie pół tuzina muszkietów! - a Hunter wraz ze mną powrócił do łodzi i we dwóch zabraliśmy się do wyładowywania. Tak pracowaliśmy bez wytchnienia, aż cały ładunek był już przeniesiony; wówczas obaj słudzy zajęli stanowiska w twierdzy, a ja co sił popłynąłem znów do Hispanioli.

To, że odważyliśmy się naładować drugą łódź, wydaje się większą śmiałością, niż było w istocie. Przeciwnicy nasi mieli wprawdzie przewagę liczebną, to prawda, ale myśmy byli silniejsi orężnie. Żaden z ludzi na wybrzeżu nie miał przy sobie muszkietu, a zanim mogli podejść na odległość strzału pistoletowego, pochlebialiśmy sobie, że zdołamy zadać tęgiego bobu przynajmniej sześciu opryszkom.

Dziedzic czekał na mnie przy oknie rufy; wytrzeźwiał już zupełnie ze słabości. Uchwycił i zaczepił rzuconą linę, po czym wzięliśmy się wszystkimi siłami do napełniania łodzi. Ładunek stanowiły wieprzowina, proch i suchary, ponadto po jednym muszkiecie i kordelasie do boku: dla dziedzica, dla mnie, Redrutha i kapitana. Resztę broni i prochu zrzuciliśmy z okrętu na głębokość półtrzecia sążnia pod wodę, tak iż mogliśmy widzieć jasny połysk stali lśniącej w słońcu daleko pod nami na czystym, piaszczystym dnie.

W tym czasie zaczął się odpływ morza, a okręt kolebał się na kotwicy. Od strony czołen ozwały się niewyraźne głosy nawoływań i choć uspokoiło to nasze obawy o Joyce'a i Huntera, którzy znajdowali się dalej na wschód, to jednak dodało nam bodźca do jak najprędzszego odjazdu.

Redruth zeszedł ze swego stanowiska w korytarzu i zbiegł do łodzi, którą podprowadziliśmy do przeciwnej strony okrętu, aby kapitanowi Smolletowi było bliżej.

- Hej, ludzie - zawołał kapitan - czy słyszycie? Na przedzie okrętu nikt nie odpowiedział.

- Abrahamie Grayu! To do ciebie... do ciebie. Jeszcze nikt nie odpowiadał.

- Gray! - powtórzył pan Smollet nieco głośniejszym głosem. - Opuszczam okręt i rozkazuję ci iść za swym kapitanem. Wiem, że jesteś z gruntu dobrym człowiekiem, a rzec mogę, że żaden z waszej zgrai nie jest tak zły, jak się zdaje. Trzymam zegarek w ręce... daję ci trzydzieści sekund czasu do połączenia się z nami.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chodź, zacny druho - podjął znów kapitan - nie namyślaj się i nie zwlekaj tak długo. Z każdą

sekundą narażam życie swoje i tych zacnych ludzi.

Powstał nagle zgiełk utarczki i odgłos ciosów. Na pokład wypadł Abraham Gray raniony nożem w policzek i przybiegł do kapitana jak pies na gwizdnięcie.

- Jestem z wami, łaskawy panie! - jęknął.

Za chwilę on i kapitan spuścili się na pokład łodzi, odbiliśmy od statku i puściliśmy się w drogę.

W ten sposób opuściliśmy okręt - jednak jeszcze nie byliśmy w warowni.



## Ciąg dalszy opowiadania doktora: ostatnia wyprawa naszej łodzi

Ta piąta wyprawa była zgoła odmienna od poprzednich. Przede wszystkim mała łódka - raczej tygiełek - w której siedzieliśmy, była zanadto obciążona. Pięciu dorosłych ludzi, z których trzech: Trelawney, Redruth i kapitan miało ponad sześć stóp wzrostu, stanowiło już ciężar większy niż obliczona była łódka. Do tego należy dodać proch, wieprzowinę i worki sucharów. Muszkiety przeważały tył łódki. Kilkakrotnie wlewała się do nas woda, tak iż moje spodnie i poły surduta przemokły na wskroś, jeszcze zanim przebyliśmy sto jardów.

Kapitan polecił uporządkować łódź i udało się nam ją istotnie wyprostować. Mimo to jednak lęk aż nam dech zapierał w piersiach.

Na dobitkę właśnie rozpoczął się odpływ morza; silny, wzburzony prąd ruszył zrazu na zachód w poprzek zalewu, a następnie na południe ku morzu wzdłuż cieśniny, przez którą wpłynęliśmy rano. Same już fale zagrażały niebezpieczeństwem naszej przeładowanej łodzi, lecz co gorsza, prąd zniósł nas z właściwej drogi daleko od miejsca lądowania, za przylądkiem. Gdybyśmy dali się porwać prądowi, wylądowalibyśmy koło czółen, gdzie piraci mogli się zjawić każdej chwili.

- Nie mogę nakierować łodzi ku twierdzy, panie - odezwałem się do kapitana, gdyż sam sterowałem, a on i Redruth, obaj wypoczęci, wiosłowali. - Odpływ znosi łódkę w dół. Czy waszmość nie mógłby mocniej wiosłować?

- Nie mogę, bo naraziłbym łódkę na zatonięcie - odparł ów. - Musi pan wytrzymać... wytrzymać, a zobaczysz pan, że uda się.

Wyteżyłem siły, ale stwierdziłem, że odpływ znosił nas w kierunku zachodnim, podczas gdy ja kierowałem łódkę dokładnie na wschód, czyli na prawo w skos od tej drogi, którą powinniśmy byli jechać.

- W ten sposób nigdy nie dostaniemy się do lądu! - oświadczyłem.

- Jeżeli jest to jedyna droga, którą możemy płynąć, mości panie, to już tedy musimy się kierować - odpowiedział kapitan. - Musimy płynąć pod prąd. Sam pan widzi - ciągnął - że jeżeli zboczymy od miejsca lądowania, trudno powiedzieć, gdzie przybijemy do lądu, nie mówiąc już o możliwości zatrzymania nas przez czółna. W każdym razie w tym kierunku, w którym zdążamy, prąd musi osłabnąć, a wtedy możemy cofnąć się wzdłuż wybrzeża.

- Prąd już się zmniejsza, panie! - rzekł marynarz Gray, siedzący na przedniej ławce. - Pan może się trochę z niego wyswobodzić.

- Dziękuję ci, mój człowieku - odrzekłem zupełnie tak, jak gdyby nic nie zaszło, gdyż wszyscy w milczeniu zgodziliśmy się, by traktować Graya jak jednego ze swoich.

Naraz kapitan znów się odezwał, a wydawało mi się że głos mu się nieco zmienił:

- Armata!

- Myślałem o niej - rzekłem będąc przekonany, iż miał na myśli bombardowanie twierdzy. - Ale oni nie potrafią przywieźć działa na ląd, a nawet gdyby potrafili, to nigdy nie przeciągną go przez knieje.

- Niech pan spojrzysz poza siebie, doktorze - rzekł kapitan. Zapomnieliśmy zupełnie o długiej śmigownicy, a właśnie koło niej ku naszemu przerażeniu uwijało się pięciu łotrów zdejmując z niej „kaftan”, jak nazywano spowijający ją twardy pokrowiec z żaglowego płótna. Nie dość tego: w tejże chwili zaświtało mi w głowie, że proch i kule armatnie zostawiliśmy, a jedno uderzenie siekiery mogło je oddać w ręce tych szubrawców.

- Izrael był puszkarzem Flinta - rzekł Gray chrapliwym głosem.

Na wszelki wypadek zwróciliśmy bieg łodzi wprost na miejsce lądowania. Przez ten czas oddaliliśmy się od prądu na tyle, że nawet przy powolnym z konieczności wiosłowaniu można było sterować, więc prowadziłem łódź już prosto do celu. Miało to jednak tę słabą stronę, że zdążając w tym kierunku odwróciliśmy się bokiem zamiast rufą do Hiszpanioli i przedstawialiśmy wyborny cel jak wrota stodoły.

Mogłem słyszeć i widzieć zarazem, jak ten opój Izrael Hands staczał kulę armatnią po pokładzie.

- Kto tu jest najlepszym strzelcem? - zapytał kapitan.

- Pan Trelawney ma oko nieomyślne w strzelaniu - odrzekłem.

- Panie Trelawney, bądź pan łaskaw trzepnąć jednego z tych drabów, o ile możności Handsa - rzekł kapitan.

Trelawney był zimny, jak stal; obejrzał panewkę swego samopału.

- A teraz - zawołał kapitan - niech pan ostrożnie się obchodzi z tą strzelbą, jeżeli nie chce pan zatopić łodzi. Podczas gdy on celuje, niech wszyscy będą gotowi utrzymywać w równowadze czółno.

Dziedzic podniósł samopał, zaprzestaliśmy wiosłowania i przechyliliśmy się w drugą stronę, aby zapobiec kołysaniu; wszystko powiodło się tak wspaniale, że nie nabraliśmy do łodzi ani jednej kropli wody.

Tymczasem tamci obrócili armatę na lawecie, wskutek czego Hands, który ze stemplem do lądowania stał przy wylocie lufy, był najbardziej wystawiony na cel. Wszakże nie mieliśmy szczęścia; w chwili gdy Trelawney wypalił, ów łotr pochylił się, tak iż kula świsnęła nad nim i ugodziła jednego z czterech pozostałych, który upadł.

Krzyk powtórzyli nie tylko jego towarzysze na okręcie, lecz równocześnie i wiele innych głosów na lądzie. Spojrzawszy w tę stronę spostrzegłem resztę rozbójników wysuwających się spośród drzew i zajmujących z pośpiechem dawne miejsca w czółnach.

- Czółna nadjeżdżają, proszę pana - oznajmiłem.

- Przyspieszmy więc biegu! - zawołał kapitan. - Nie myślmy już, czy zatopimy łódkę. Jeżeli nie zdołamy wydostać się na ląd, wszystko przepadło.

- Tylko jedna z łodzi jest obsadzona ludźmi - dodałem - prawdopodobnie załoga drugiej podąża wzdłuż wybrzeża, by odciąć nam drogę.

- Będą musieli rącho pędzić - zauważył kapitan. - Pan wie, że marynarz na łódzie rusza się jak kaczką. O nich się nie troszczę, chodzi mi teraz o tę kulę armatnią. Będzie to istna gra w kręgielki! Ale nasza łódka zginąć nie może. Pan dziedzic nas ostrzeże, gdy zobaczy tę zabawkę, a wtedy postaramy się, żeby nas woda nie zalała.

Pośród tego posuwaliśmy się naprzód z dość wielką szybkością, jak na łódź tak obciążoną jak nasza, i tylko niewiele wody dostało się na dno podczas całej przeprawy. Byliśmy już niedaleko: jeszcze trzydzieści lub czterdzieści uderzeń wiosła i powinniśmy byli przybić do brzegu, gdyż odpływ odsłonił już wąski pas piaszczysty poniżej kęp drzew. Pościgu czółna nie należało się już obawiać, bo przyłodek zakrył je zupełnie przed naszymi oczyma. Ten sam prąd odpływu, który tak bezlitośnie nas powstrzymywał, wynagradzał nam teraz poprzednią zwłokę powstrzymując naszych napastników. Jedynym źródłem niebezpieczeństwa była armata.

- Gdybym mógł - odezwał się kapitan - zatrzymałbym się i jeszcze jednego nicponia położyłbym trupem!

Było jednak rzeczą jasną, że tamci bynajmniej nie zamierzali ociągać się ze strzałem. Nie zważali wcale na postrzelonego towarzysza, choć ów jeszcze nie umarł, i widziałem, że usiłował się czołgać.

- Gotów! - krzyknął dziedzic.

- Stój! - zawołał kapitan szybko jak echo i obaj z Redruthem zahamowali tak silnie, że tył łodzi znalazł się pod wodą. W tej samej chwili huknął strzał. Był to pierwszy z tych, które usłyszał Jim, gdyż odgłos strzału dziedzica nie dotarł do niego. Nikt z nas nie wiedział dokładnie, gdzie przeszła kula, lecz przypuszczam, że musiała przelecieć nad naszymi głowami i że pęd powietrza przez nią wywołany mógł przyczynić się do naszej katastrofy.

Cokolwiek bądź łódź zupełnie powoli poszła na dno od strony rufy, pogrążając się w wodzie na głębokość trzech stóp, tak iż jedynie kapitan i ja zdołaliśmy się utrzymać na nogach, zwrócenii do siebie nawzajem twarzami. Trzej inni dali nurka głową w przód i wydobyli się na powierzchnię przemokli i ociekający wodą.

Jak dotąd nie było wielkiej szkody. Nikt nie stracił życia i mogliśmy bezpiecznie dobrnąć do brzegu. Niemniej jednak wszystkie nasze zapasy poszły na dno, a co najgorsza, z pięciu samopałów jedynie dwa pozostały zdadne do użytku. Ja moją strzelbę zdążyłem instynktownie zerwać z kolan i wznieść nad głową, a kapitan, jako c/łowiek przezorny, przewiesił swoją przez ramię na taśmie, zamkiem do góry. Trzy inne zatonęły wraz z łodzią.

Jakby nie dość było naszych strapień, usłyszeliśmy głosy rozbrzmiewające coraz to bliżej w lesie na wybrzeżu. Niepokoiło nas nie tylko niebezpieczeństwo, że w tym opłakanym stanie możemy być odcięci od twierdzy, ale i obawa, czy Hunter i Joyce będą mieli tyle przytomności i odwagi, by stawić opór, w razie gdyby ich napadło pół tuzina opryszków. Wiedzieliśmy, że Hunter jest człowiekiem zrównoważonym, ale co do Joyce'a mieliśmy wątpliwości - był to człowiek miły, ogłodzony, doskonały do posług lokajskich i czyszczenia ubrań, ale niezupełnie zdatny na wojownika.

Mając to wszystko na myśli, brodziliśmy jak najspieszniej do brzegu zostawiając poza sobą nieszczęsną łódź i więcej niż połowę naszej amunicji i żywności.

## Ciąg dalszy opowiadania doktora: koniec walki dnia pierwszego

Co tchu przedarliśmy się przez skrawek lasu, który oddzielał nas teraz od warowni; za każdym krokiem słyszeliśmy coraz bliżej rozlegające się krzyki korsarzy. Niebawem usłyszeliśmy tupot stóp biegnących i trzeszczenie gałęzi, gdy torowali sobie drogę przez krzaki. Zobaczyłem, że musimy wziąć się ostro do rzeczy, obejrzałem więc panewkę i kurek.

- Kapitanie - odezwałem się. - Pan Trelawney jest niezrównanym strzelcem. Daj mu waszmosc, swoją strzelbę, bo jego jest nie do użycia.

Wymienili między sobą strzelby, a pan Trelawney - milczący i chłodny, jaki był od początku rokoszu - zatrzymał się na chwilę, aby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Jednocześnie ja - widząc, że Gray jest nieuzbrojony - wręczyłem mu swój kordelas. Dobrze na nas podziałało, gdyśmy zobaczyli, jak nasrożył brwi, wyciągnął dłoń i ze świstem śmigał ostrzem w powietrzu. Z każdego rysu jego postaci można było poznać, że nasz nowy sojusznik nie da się zjeść w kaszy.

O czterdzieści kroków dalej doszliśmy na skraj lasu i spostrzegliśmy twierdzę przed sobą. Poczęliśmy się dobijać do ogrodzenia mniej więcej w środku południowej ściany, a prawie jednocześnie siedmiu rokoszan z bosmanem Jobem Andersonem na czele z wrzaskiem pojawiło się koło południowo-zachodniego narożnika.

Zatrzymali się jakby zaskoczeni, a zanim mieli czas coś przedsięwziąć, nie tylko dziedzi i ja zdążyliśmy wystrzelić, ale również Hunter i Joyce z warowni. Cztery strzały były wprawdzie raczej salwą odstraszącą, ale i tak nie pozostały bez skutku: jeden z wrogów istotnie padł, a inni bez wahania zawrócili i przepadli między drzewami.

Nabiwszy powtórnie broń przeszliśmy wzdłuż zewnętrznej ściany palisady, aby przyjrzeć się poległemu nieprzyjacielowi. Leżał martwy jak głaz - kula przebiła mu serce.

Jużeśmy zaczęli radować się z powodzenia, gdy niespodzianie w zaroślach rozległ się trzask pistoletu i kulka świsnęła mi tuż nad uchem, a biedny Tom Redruth jęknął i upadł jak długi na ziemię. I dziedzi, i ja wypaliliśmy w odwet, lecz ponieważ nie mieliśmy /adnego wyraźnego celu, prawdopodobnie tylko zmarnowaliśmy proch. Następnie nabiliśmy znów strzelby i zajęliśmy się troskliwie biednym Tomem.

Kapitan i Gray już go oglądali, a ja za pierwszym spojrzeniem przekonałem się, że jest po wszystkim. Zdaje mi się, że gotowość, z jaką oddaliśmy powtórna salwę, zmusiła buntowników znowu do rozsypki, gdyż nie napotykając dalszych przeszkód zdołaliśmy przenieść biednego starego leśnika przez częstokół i złożyć, jęczącego i skrwawionego, w twierdzy.

Biedny starowina nie wyrzekł ani słowa zdziwienia, skargi, strachu czy przyzwolenia od samego początku naszych tarapatów aż do tej chwili, gdy złożyliśmy go konającego w warowni. Jak Trojańczyk leżał w korytarzu za materacem, wypełniał każdy rozkaz w milczeniu, wytrwale i dokładnie, był najstarszy wiekiem w naszej grupie... I oto teraz ten milczący, stary, całą duszą oddany sługa miał umrzeć...

Dziedzic ukląkł koło niego i całował go po rękach, łkając jak dziecko.

- Czy już umrę, panie doktorze? - zapytał Tom.

- Tomie, przyjacielu mój drogi - odpowiedziałem - powracasz do ojczyzny...

- Chciałbym przedtem móc puknąć do nich ze strzelby - rzekł on na to.

- Tomie - odezwał się dziedzic - powiedz, czy mi przebaczasz?

- Czy tak się godzi mówić, jaśnie panie? Wszak zawsze winie-nem respekt - brzmiała odpowiedź. - Cokolwiek mnie czeka, niech i tak będzie, amen!

Po krótkiej chwili milczenia poprosił, ażeby ktoś odczytał

modlitw? - Taki jest zwyczaj - dodał, jakby się usprawiedliwiał. Niedługo potem, nie mówiąc już ani słowa, wydał ostatnie

tchnienie.

Tymczasem kapitan, który jak zauważyłem, dziwnie miał wypchane kieszenie i piersi, począł wydobywać przeróżne drobiazgi, jak: Sztandar Wielkiej Brytanii, Biblię, kłębek tęgiego powroza, pióro, atrament, dziennik okrętowy i kilka funtów tytoniu. Znalazłszy za ogrodzeniem dość długą żerdź świerkową, ociosaną z kory i gałązek, z pomocą Huntera zatknął ją na rogu warowni, gdzie przyciesie krzyżowały się z sobą tworząc węgiel. Następnie, wdrapawszy się na dach, własnoręcznie przymocował i rozwinął flagę.

To widocznie napełniło go otuchą. Wszedł znów do domu i zaczął przeliczać zapasy, jak gdyby ponadto nic nie istniało. Mimo wszystko zwrócił jednak uwagę na zgon Toma i gdy się już wszystko dokonało, Wystąpił naprzód z inną flagą i z czcią rozpostarł ją na jego zwłokach.

- Nie martw się, waszmość! - rzekł ściskając dłoń dziedzica. - Jemu już nic złego się nie przytrafi! Nie ma czego się obawiać marynarz, który poległ spełniając powinność względem swego kapitana i chlebobdawcy. Niedobry to pewno dla nas prognostyk, ale co się Stało, już się nie odstanie!

Powiedziawszy to, wziął mnie na bok.

- panie doktorze - zagadnął - za ile tygodni pan i dziedzic Spodziewacie się przybycia okrętu konwojowego?

Wyjaśniłem, że może tu być mowa nie o tygodniach, lecz (o miesiącach. Gdybyśmy nie powrócili z końcem sierpnia, Blandly miał wysłać okręt na poszukiwania, ale ani prędzej, ani później.

- Może sobie pan obliczyć - dodałem.

- Tak, tak - odparł szyper skrobiąc się w głowę. - Nawet licząc na wielką łaskę Opatrzności

Bożej, muszę powiedzieć, że Jesteśmy w bardzo ciężkim położeniu.

- Co waćpan masz na myśli? - zapytałem.

- Myślę, iż wielka szkoda, mości panie, żeśmy stracili tę drugą łódź! - odrzekł kapitan. - Prochu i kuł nam jeszcze wystarczy. Ale /apasy żywności są szczupłe, bardzo szczupłe. Tak szczupłe, panie doktorze, że kto wie, czy to nie dobrze, iż mamy do wyżywienia o jedną gębę mniej. - I pokazał zwłoki przykryte flagą.

Akurat w tej chwili kula armatnia przeleciała z hukiem i świstem wysoko nad dachem strażnicy i z głuchym łoskotem zapadła gdzieś daleko w lesie.

- Oho! - odezwał się kapitan. - Pukajcie sobie dalej! Macie iuż dość mało prochu, moi chłopcy!

Drugi strzał był celniejszy, gdyż kula wpadła w obręb warowni wznecając kłęb kurzawy, lecz nie wyrządzając zresztą żadnej szkody.

- Kapitanie - napomknął dziedzic - przecież domu wcale nie widać z okrętu. Niewątpliwie flaga służy im za cel. Czy nie lepiej byłoby ją zwinąć?

- Zwinąć mój sztandar? - krzyknął kapitan. - Nie, panie! Nigdy tego nie uczynię!

Ledwo wyrzekł te słowa, wszyscy zgodziliśmy się z nim. Był to bowiem nie tylko objaw niezłomnego, szczerego, żeglarskiego męstwa, ale i dobrej polityki, gdyż pokazaliśmy wrogom, że nic sobie nie robimy z ich strzelaniny.

Przez cały wieczór grzmocili bez przerwy. Pocisk za pociskiem przelatywał nad nami albo upadał w pobliżu lub nawet uderzał w piasek wewnątrz ogrodzenia, ale zmuszeni byli strzelać tak wysoko, że kula traciła rozpęd i zagrzebywała się w miękkim piasku. Nie potrzebowaliśmy więc obawiać się odłamków, ale chociaż jedna kula przebiła dach strażnicy i utkwiała w podłodze, to jednak niebawem oswoiliśmy się z podobnymi psotami i nie przejmowaliśmy się nimi wcale uważając, iż jest to zwykła sobie gra w kręgle.

- Jedno jest w tym wszystkim dobre - zauważył kapitan. - Las przed nami jest prawdopodobnie przejrzysty. Odpływ trwa już dość długo, a nasze zapasy pewno są nie zakryte. Niech pójdzie kto na ochotnika i przyniesie wieprzowiny.

Gray i Hunter pierwsi wystąpili naprzód. Dobrze uzbrojeni wykradli się z warowni, lecz wyprawa okazała się bezcelowa.

Buntownicy byli zuchwalsi, niż przypuszczaliśmy, albo też ponad miarę ufali celności armatnich strzałów Izraela, gdy'z czterech czy pięciu z nich krzątało się koło zatopionej łódki wydobywając nasze zapasy i przenosząc je do jednego z czółen, które znajdowało się nie opodal, utrzymując się ruchem wiosel przeciw prądowi- W tyle czółna stał Silver wydając rozkazy, a każdy z rabusiów zaopatrzony był w muszkiet z jakiegoś tajnego ich schowka wydobyt\_yKapitan usiadł nad dziennikiem okrętowym i takP był początek jego notatek:

Aleksander Smollet, szypier, David Lwesey, lekarz okrętowy, Abraham Gray, pomocnik cieśli, John Trelawney, właściciel okrętu, John Hunter i Ryszard Joyce służy tegoż, początkujący marynarze - jedyni ludzie, którzy pozostali wierni z całej załogi okrętu - z zapasami na dziesięć dni w razie zmniejszenia porcji dziennych - tego dnia wylądowali i zatknęli sztandar Wielkiej Brytanii w twierdzy na Wyspie Skarbów. Tom Redruth, sługa właściciela, początkujący marynarz, zabity przez rokoszan; Jim Hawkins, chłopiec okrętowy -

W tym czasie zastanawiałem się nad dziwnym losem biednego Jima Hawkinsa.

Od strony lądu doszło nas wołanie.

- Ktoś nas wzywa - rzekł Hunter, który stał na straży.

- Doktorze! Panie dziedzicu, panie kapitanie! Hej! Hunter, to ty? - zbliżały się okrzyki.

Gdy pobiegłem do drzwi, zobaczyłem Jima Hawkinsa, żywego i zdrowego, przełazącego przez palisadę.



## Dalszy ciąg opowiadania Jima Hawkima: oblężenie warowni

Gdy Ben Gunn ujrzał flagę, zatrzymał się, pochwycił mnie /a ramię i usiadł.

- To z pewnością twoi przyjaciele! - przemówił.

- Sądzę, że raczej buntownicy! - odparłem.

- Co znowu! - zawołał ów. - Bądź pewny, że w takim miejscu, gdzie nikt nie zawita prócz panów szczęścia, Silver niechybnie wywiesiłby banderę korsarską!... Nie, to są twoi przyjaciele!... Iam rozpoczęła się bitwa... zdaje mi się, że twoi przyjaciele osiągnęli w niej przewagę, a teraz znajdują się na lądzie, w starej warowni, którą przed wielu, wielu laty zbudował Flint. O, nasz Flint miał olej w głowie! Poza nadmierną skłonnością do rumu był to człowiek, lakich darmo szukać! Nie bał się nikogo, nie!... Jedynie Silvera... Me Silver to był filut!

- Dobrze, dobrze! - powiedziałem. - Wierzę ci w zupełności i nie chcę już gawędzić na ten temat. Czas nagli, powinienem więc biec co tchu, żeby się połączyć z moimi przyjaciółmi.

- Nie. kamracie! - rzekł Ben Gunn. -Wydajesz mi się dobrym chłopcem, ale koniec końców jesteś tylko chłopcem... No, ale Ben Gunn ucieka... Nawet rum nie poprowadzi mnie tam, gdzie idziesz... nawet rum... póki nie zobaczę twojego czcigodnego pana i nie usłyszę od niego słowa honoru. A nie zapomnij no moich słów: „Znacznie więcej (tak powiesz) znacznie więcej zaufania...”, a potem uszczypnij go... ot tak...

I z tą samą znaczącą miną uszczypnął mnie po raz trzeci, mówiąc:

- A jeżeli wam będzie potrzeba Ben Gunna, wiesz, Jimie, gdzie możesz go znaleźć. Tam, gdzie znalazłeś go dzisiaj. A ten, kto przyjdzie, powinien mieć coś białego w ręce i powinien przyjść sam jeden. Aha! I jeszcze to powiesz: „Ben Gunn (powiesz) ma w tym swoje racje”.

- Dobrze - odrzekłem - zdaje mi się, że pojąłem, o co idzie. Chcesz coś oznajmić i życzysz sobie, byś mógł się widzieć z naszym dziedzicem lub doktorem, a znaleźć cię można tam, gdzie cię spotkałem. Czy to wszystko?

- A może jeszcze zapytasz, kiedy? - dodał. - Owszem, mniej więcej od południa do szóstego dzwonnka.

- Dobrze. Czy mogę odejść?

- Czy nie zapomnisz? - badał mnie niespokojnie. - „Znacznie więcej... i ma swoje racje...” Tak powiesz. „Swoje racje...” To najważniejsze. Jak człowiek z człowiekiem. Więc dobrze - mówił trzymając mnie wciąż jeszcze - myślę, że możesz już odejść, mój Jimie. Ale, Jim, jeżeli zobaczysz Silvera, nie zdradzisz Ben Gunna? Nikt z ciebie dzikimi końmi nie wyciągnie tego, com ci mówił? Nie? Dajesz mi słowo? A jeżeli ci piraci obozują na lądzie, Jimie, czy nie powiesz, że rano...

Dalsze słowa przerwał mu ogłuszający łoskot; kula armatnia przedarła się przez drzewa i ugrzęzła w piasku niespełna sto jardów od miejsca, gdzieśmy rozmawiali. W jednej chwili daliśmy drapaką w dwie przeciwne strony.

Przez dobrą godzinę ustawiczne grzmoty wstrząsały wyspą, a kule z trzaskiem zaszywały się w ostępie. Przebiegałem w coraz to inne ukrycia, zawsze ścigany, jak mi się zdawało, przez te przerażające pociski. Lecz w końcu strzelanina osłabła. Wówczas, choć nie mogłem się odważyć podejść w stronę warowni, gdzie kule padały najgęściej, jednakże w pewnej mierze odzyskałem pewność siebie i po długim okrążaniu w kierunku wschodnim przyczołgałem się między drzewa rosnące na wybrzeżu.

Słońce właśnie zaszło, powiew morski szeleścił buszując po lasach oraz marszcząc szarą powierzchnię przystani; przyływ już zupełnie opadł i wielkie smugi piasku leżały nie osłonięte. Powietrze ostygło i po upale dnia chłód przenikał mnie skroś kurtki.

Hispaniola stała jeszcze w tym samym miejscu, gdzie zarzucono kotwice, lecz na szczycie masztu widniał jak na dłoni „Wesoły Roger”

- czarna bandera piracka. Gdy jej się przyglądałem, zerwał się jeszcze jeden krwawy błysk i jeszcze jeden huk, któremu odpowiedziały wszystkie echa górskie i leśne... I jeszcze jedna kula działowa zaświstała w powietrzu. Był to już koniec kanonady.

Leżałem jakiś czas śledząc ożywiony ruch, który powstał po natarciu. Kilku ludzi rozbijało coś siekierami na wybrzeżu niedaleko od warowni; jak się później dowiedziałem, była to nieszczęśliwa łódka. Dalej, w pobliżu ujścia rzeki, płonęło wśród drzew wielkie ognisko; między tym miejscem, a statkiem kursowało tam i z powrotem czółno, a ludzie, których widziałem poprzednio w tak ponurym usposobieniu, pokrzykiwali przy wiosłach wesoło jak dzieci. Z brzmienia ich głosu można było wnosić, że są zalani rumem.

W końcu pomiarkowałem, że mogę już podążyć ku twierdzy. Byłem od niej dość daleko, na nizinym piaszczystym przesmyku, który zamyka przystań od wschodu, a przy niskim stanie wody łączy się z Wyspą Szkieletów. Gdy powstałem na równe nogi, spostrzegłem w przedłużeniu przesmyka, ale w pewnej odległości, wynurzającą się spośród niskich krzaków odosobnioną skałę dość wysoką. Przyszło mi na myśl, że jest to zapewne owa Biała Skała, o której wspominał Ben Gunn, i że kiedyś może będziemy potrzebowali łodzi, a wtedy będę wiedział, gdzie jej szukać.

Następnie przemykałem się borem, aż przedostałem się na tyły warowni, czyli na jej stronę lądową, gdzie niebawem zostałem gorąco powitany przez wiernych przyjaciół.

Opowiedziałem pokrótce swe przejścia i zacząłem się rozglądać dokoła. Stanica była zbudowana z nie ociosanych dyli sosnowych - zarówno powała, jak ściany i podłoga, która wznosiła się gdzieś na stopę lub półtorej nad poziomem nasypu piaskowego. Przy drzwiach był ganek, a pod nim tryskało małe źródółko spływając do sztucznego zbiornika, dość osobliwego - jako że był to, prawdę mówiąc, wielki żelazny kocioł okrętowy z dziurawym dnem

- i wsiąkało w piasek, gdzie miało „swój port”, jak się wyrażał kapitan.

Oprócz gołych ścian niewiele było w tej budowli; tylko w jednym rogu spoczywała płyta kamienna służąca jako palenisko oraz stary zardzewiały żelaznik do przechowywania warzyw.

Stoki wzgórze i cały obręb warowni były ogołoczone z drzew, zużytych na budowę, a po rozmiarach belek można było poznać, jak piękny i niebotyczny las tu wyrabano. Większą część poręby wykarczowano lub wypalono po uprzątnięciu drzew; jedynie tam gdzie strumyk wody wyciekał z kotła, grube poszycie mchu oraz kilka paproci i pnących krzewów zieleniło się na tle piasku. Tuż dokoła twierdzy - podobno za blisko, jak dla celów obrony - wystrzelał bór wyniosły i gęsty, wyłącznie świerkowy od strony lądu, a ku morzu mający znaczną przymieszkę, „żywych dębów”.

Chłodny powiew wieczorny, o którym już wspominałem, świstał przez wszystkie szczeliny grubo ciosanej budowli i zasypywał podłogę nieustannym deszczem drobnego piasku. Mieliśmy piasek w oczach, w zębach, w potrawach, piasek tańczył w źródle na dnie kotła niby kasza zaczynająca się gotować. Za komin służył nam czworokątny otwór w dachu, przez który wydostawała się na zewnątrz tylko nieznaczna część dymu, reszta zaś kłębiła się po całym domu zmuszając do ciągłego kaszlu i gryząc nas w oczy. Dodajmy do tego, że Gray, nasz nowy sojusznik, miał twarz obwiązaną bandażem ze względu na ranę, którą otrzymał, gdy uciekał od buntowników, oraz że biedny stary Tom Redruth, jeszcze nie pogrzebany, leżał pod ścianą nieruchomy i sztywny, spowinięty w sztandar Wielkiej Brytanii...

Gdyby nam pozwolono siedzieć z założonymi rękoma, rychło byśmy wpadli w czarną melancholię. Ale kapitan Smollet nie znosił bezczynności. Zwołał całą drużynę i podzielił nas na dwie zmiany warty: na jedną przeznaczył doktora, Graya i mnie, a na drugą dziedzica, Huntera i Joyce'a. Chociaż byliśmy znużeni, dwóch wyprawiono się po chrust, dwaj inni zajęli się kopaniem grobu dla Redrutha, doktor awansował na kucharza, ja stanąłem na posterunku przy drzwiach, a kapitan osobiście przechodził od jednego do drugiego dodając otuchy i przykładając ręki, gdzie tego zaszła potrzeba.

Od czasu do czasu doktor podchodził do drzwi, aby zaczerpnąć nieco powietrza i dać wytchnienie oczom, którychomal nie wypłakał od czadu i dymu, a ilekroć podszedł, zawsze rzucił mi jakieś słówko.

- Ten Smollet - zwrócił się raz do mnie - to człowiek lepszy ode mnie. Nie mówię tego na wiatr, mój Jimie!

To znów podszedł i przez chwilę milczał, po czym przechylił głowę, spojrzał na mnie i zagadnął:

- Czy ten Ben Gunn jest pewnym człowiekiem?

- Nie wiem, panie doktorze - odrzekłem. - Nie mam pewności, czy jest on zdrow na umyśle.

- Jeżeli istnieją co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, powiem ci, że jest on zdrow - zapewnił mnie doktor. - Człowiek, który przebył trzy lata na bezludnej wyspie gryząc palce, nie może wydawać się człowiekiem do rzeczy jak jeden z nas; nie leży to w naturze ludzkiej. Wszak mówił ci,

że tęskni za serem?

- Tak jest, panie doktorze, za serem - odpowiedziałem.

- Wyśmienicie, Jimie! - rzekł doktor. - Zobacz no, jak to pomyślnie się składa, że właśnie mam słabość do sera. Widziałeś moją tabakierkę? Z pewnością. Ale nigdy nie widziałeś, żebym zażywał tabakę. Rzecz w tym, że w tabakierze noszę zawsze kawałek parmezanu, bardzo pożywnego sera wyrobianego we Włoszech. Ofiaruję go Ben Gunnowi!

Nim zasiedliśmy do wieczerzy, zagrzebaliśmy w piasku zwłoki starego Tomasza i z obnażonymi pomimo wiatru głowami czas jakiś staliśmy w milczeniu nad jego mogiłą. Zebraliśmy stos chrustu, nie zaspokoilo to jednakże kapitana: potrząsnął głową i zapowiedział, że jutro musimy nieco gorliwiej zakrzętać się koło tej pracy. Gdy spożyliśmy porcję mięsa i zakropili ją szklanką tęgiego grogu, trzej wodzowie zebrali się w kącie na naradę.

Nie bardzo, zdaje się, starczyło im konceptu co do dalszego działania. Zapasy były tak szczupłe, że głód mógł nas zmusić do poddania się, zanimby nadeszła odsiecz. Zgodzono się jednak, że jedyną deską ratunku będzie strzelanie bez pardonu do opryszków, póki nie zwiną swej bandery albo nie uciekną wraz z Hispaniolą. Z dziewiętnastu liczba ich uszczupliła się do piętnastu, dwóch odniosło rany, jeden zaś - ów trafiony koło działa - był ciężko raniony, o ile nie zabity. Każdej chwili mogliśmy uderzyć na nich i przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności wyszlibyśmy cało z potyczki. Ponadto mieliśmy dwóch możliwych sprzymierzeńców: rum i klimat.

Co się tyczy pierwszego z nich, to choć byliśmy oddaleni

O przeszło pół mili, słyszeliśmy do późna w noc wrzaski i śpiewy piratów. Co zaś do drugiego, doktor „stawiał w zakład perukę”, że gdy będą obozowali wśród trzęsawiska nie zaopatrzeni w lekarstwa, połowa ich wyginie jeszcze przed upływem tygodnia.

- Toteż - dodał - o ile nas wpierw nie powystrzelają, to niech się cieszą, jeżeli uda im się wsiąść na pokład szonera. Bądź co bądź jest okręt, na którym znów będą mogli uprawiać swe zbójeckie rzemiosło.

- Pierwszy okręt, jaki straciłem! - powiedział kapitan Smollet. Łatwo sobie wyobrazić, iż byłem śmiertelnie zmęczony. Toteż

ledwo zasnąłem - co nastąpiło po dłuższym rzucaniu się - spałem twardo jak kłoda.

Już towarzysze moi byli dawno na nogach, zjedli śniadanie

I powiększyli zapas chrustu bez mała o połowę dotychczasowej wysokości, gdy ocknąłem się, przebudzony jakimś poruszeniem i gwarem głosów.

- Biała chorągiew! - ktoś mówił, a zarazem potem rozległ się krzyk zdumienia:

- Silver parlamentarzem!

Usłyszawszy to zerwałem się na równe nogi, przetarłem powieki i podbiegłem do strzelnicy wyciętej w ścianie budynku.

## Poselstwo Silvera

W rzeczy samej tuż pod warownią stało dwóch mężczyzn, z których jeden powiewał białą płachtą, drugim zaś był we własnej osobie John Silver, nieruchomy i spokojny.

Było jeszcze bardzo wcześnie, a poranek był najzimniejszy ze wszystkich, jakie pamiętam w ciągu podróży: chłód przenikał do szpiku kości. Niebo było jasne i bezchmurne, wierzchołki drzew lśniły różowo w słońcu, lecz tam, gdzie stał Silver ze swym adiutantem, wszystko było jeszcze pogrążone w cieniu, tak iż obaj brnęli po kolana w przyziemnym, białym tumanie, który przez noc wysnuł się z nad trzęsawiska. To zimno i te wyziewy, razem wzięte, zdradziły mi historię tej nieszczęsnej wyspy. Była to najwyraźniej miejscowość wilgotna, malaryczna i zabójcza dla zdrowia.

- Pozostańcie wewnątrz domu - rozkazał kapitan. - Zakładam się, jeden przeciw dziesięciu, że to podstęp.

I zawołał na korsarza:

- Kto idzie? Stój, bo strzelamy!

- Biała chorągiew! - zawołał Silver.

Kapitan stał na ganku, mając się na baczności przed zdradzieckim strzałem, który mógł paść. Odwrócił się i rzekł do nas:

- Warta doktora zajmie stanowisko obserwacyjne. Panie doktorze Livesey, bądź pan łaskaw stanąć od strony północnej, Jim od wschodniej, Gray na zachodniej. Reszta w pogotowiu na dole, wszyscy za nabitymi muszkietami. Żywo i ostrożnie, moi ludzie!

Po czym znów zwrócił się do opryszków:

- I czegoż wy chcecie z tą białą chorągwią? Tym razem odpowiedział drugi człowiek.

- Kapitan Silver chce przyjść do was, panie, i zawrzeć układ - krzyknął.

- Kapitan Silver! Nie znam takiego! Któż to taki? - zawołał kapitan, a usłyszeliśmy, jak mruknął pod nosem: - Kapitanem został? To ci dopiero awans!

Długi John odpowiedział we własnym imieniu.

- To ja, panie łaskawy. Ci biedni chłopcy obrali mnie kapitanem po pańskiej dezercji - na słowie „dezercja” położył szczególny nacisk. - Jesteśmy gotowi się poddać, o ile dojdziemy do ugody, i nie wahamy się co do tego. Przede wszystkim, proszę pana, kapitanie Smollet, dać mi słowo, że wypuścicie mnie cało i zdrowo z tej oto warowni i dacie mi chwilkę czasu do zejścia z pola strzału, zanim wypali pierwszy muszkiet.

- Mój człowieku - odparł kapitan Smollet - nie pragnę bynajmniej rozmawiać z tobą. Jeżeli ty

sobie życzyś mówić ze mną, to daję ci na to pozwolenie. Jeżeli kryje się tu jakiś podstęp, to chyba z waszej strony i niech Bóg ma cię w swej opiece.

- To wystarczy, kapitanie - odkrzyknął Długi John mizdrząc się przypochlebnie. - Mogę poprzestać na pańskim słowie. Znam tego pana i możesz mi wierzyć.

Widzieliśmy, jak człowiek niosący białą chorągiew usiłował zatrzymać Silvera; nie było w tym nic dziwnego, jeżeli się zważy, jak rycerska była odpowiedź kapitana. Lecz Silver zaśmiał się głośno i poklepał kamrata po plecach, jak gdyby sama myśl o niepokoju była niedorzeczna, następnie podszedł do częstokołu, przerzucił przezeń szczudło, podniósł nogę i począł z wielką zręcznością i zwinnością przełazić przez ogrodzenie, aż osunął się po drugiej stronie.

Przyznam się, że zanadto byłem zaciekawiony tym, co się stało, bym mógł choć przez chwilę spełniać swą służbę na posterunku, toteż opuściłem wschodnią strzelnicę i wczółgałem się za kapitana, który siedział na progu oparłszy łokcie na kolanach, ująwszy głowę w dłonie i utkwivszy wzrok w wodzie, przesączającej się z bulgotem ze starego żelaznego kotła w piasek. Pogwizdywał sobie przy tym piosenkę: „Pójdźcie, chłopcy i dziewczęta”. , « ,'

Silver miał twardy orzech do zgryzienia z wygramoleniem się na pagórek. Wobec spadzistości zbocza, grubych pniaków drzewnych i grząskiego piasku był ze swym szczudłem tak bezradny jak okręt płynący zygzakami pod prąd. Lecz przełamał wszelkie przeszkody mężnie i w milczeniu, aż na koniec doszedł do kapitana i pozdrowił go bardzo uprzejmie. Był przyodziany w najlepsze ubranie; ogromna błękitna kurtka, ozdobiona mosiężnymi guzami, zwieszała mu się prawie do kolan, a na głowie miał piękny kapelusz z galonem, przekrzywiony na bakier.

- Aha, jesteś, braciszku! - rzekł kapitan podnosząc głowę.

- Możesz usiąść!

- Czy waszmość, panie kapitanie, nie masz zamiaru wpuścić mnie do środka? - żalił się Długi John. - Jest dziś siarczasty przymrozek, mości panie, i na piasku trudno wysiedzieć.

- I owszem, Silverze - odezwał się kapitan - gdybyś wolał być uczciwym człowiekiem, siedziałbyś teraz w kuchni. To jest twoje właściwe miejsce i zajęcie. Albo jesteś moim kucharzem okrętowym i wtedy obejdę się z tobą pobłaźliwie, albo też kapitanem Silverem, zwykłym buntownikiem i korsarzem, a wtedy możesz pójść na szubienicę.

- Dobrze, dobrze, mości kapitanie - odpowiedział kucharz siadając według polecenia na piasku - waszmość chcesz mi podać rękę do zgody, ot wszystko! Ale macie tu doskonałą siedzibę. A, otóż i Jim! Dzień dobry, Jimie! Moje uszanowanie, panie doktorze! No, no! Jesteście tu wszyscy, że tak powiem, jakby w szczęśliwym gronie rodzinnym!

- Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, mój człowieku, lepiej powiedz od razu - przerwał kapitan.

- Ma pan słuszność, kapitanie Smollet - odrzekł Silver.

- Zapewne, obowiązek to obowiązek! Ale patrzcie no, powiódł się wam plan wczoraj

wieczorem! Nie przeczę, że dobry był podstęp. Ktoś z was bardzo zręcznie się posłużył końcem lewara. I nie będę owijał w bawełnę, że niektórzy z moich ludzi byli zaniepokojeni... może nawet wszyscy... może nawet ja sam. Kto wie, czy nie dlatego właśnie przybyłem tu na układy! Ale zapamiętaj pan sobie, kapitanie, że po raz drugi już to się nie uda, do pioruna! Roześlę widety i patrole i nikomu nie pozwolę wziąć do ust ani kropli rumu. Pewno pan sądzi, że nikt z nas nie czuwał. Ale mówię panu, że byłem trzeźwy. Byłem tylko zmęczony jak pies. Ale gdybym się obudził o sekundę wcześniej, przyłapałbym was na gorącym uczynku, o tak! Nie byłby on już trupem kiedy do niego przyszedłem... nie, nie!

- Tak? - wycedził kapitan Smollet z chłodnym spokojem. Wszystko, co Silver powiedział, było dla niego zagadką, lecz nikt

by się tego nie domyślił z jego głosu. Natomiast ja począłem domyślać się po trochu. Przyszły mi na myśl ostatnie słowa Ben Gunna. Zacząłem przypuszczać, że złożył on wizytę korsarzom, gdy leżeli pijani dokoła ogniska, i z radością obliczałem, że mamy teraz do czynienia tylko z czternastu nieprzyjaciółmi.

- Tak, przystępuję do sedna sprawy - rzekł Silver. - Chcemy mieć skarb i musimy go mieć. Taki jest nasz warunek! Wy, zdaje mi się, równie gorąco pragniecie ocalić życie. Taki jest wasz warunek. Macie tę mapę, prawda?

- Możliwe - odparł kapitan.

- O wiem, dobrze, że macie - mówił dalej Długi John. - Nie potrzebuje pan mydlić oczu. Na nic się to nie przyda, zapewniam pana. Chodzi nam o tę mapę - jej się domagamy. Ja osobiście nie mam do pana żadnej urazy.

- Moja osoba tu nie należy do rzeczy, mój człowieku - przerwał kapitan. - Wiemy dokładnie, co zamierzałeś uczynić, i nie lękamy się, a teraz sam widzisz, że nic nie wskórasz.

Popatrzył na niego spokojnie i w dalszym ciągu napychał fajkę tytoniem.

- Jeżeli Abe Gray... - wybuchnął Silver.

- Nie trać słów na próżno! - krzyknął Smollet. - Gray nic mi nie opowiadał ani też ja o nic go nie pytałem; co więcej, wolałbym, żebyś ty z nim i całą tą wyspą wpierw się zapadł pod wodę! Takie jest zdanie moje o tobie i o tym wszystkim!

Zdawało się, że ten mały wybuch gniewu ostudził nieco zapal-czywość Silvera. Przed chwilą ten hultaj okazał podrażnienie, teraz się pohamował.

- Oczywiście - powiedział - trudno mi określać, czy czyjeś zapatrywania są godne żeglarza czy też nie. Widząc wszakże, że sięga pan po fajkę, ośmielę się pójść za waszmości przykładem, panie kapitanie.

Nabił fajkę i zapalił ją. Siedzieli tak obaj przez dobrą chwilę ćmiąc fajki w milczeniu, to



patrząc sobie w oczy, to przyduszając tytoń, to pochylając się, by splunąć. Zabawnie było patrzeć na nich.

- A teraz do rzeczy - podjął Silver. - Oddacie nam mapę, żebyśmy mogli znaleźć skarb, i zaniechacie strzelania do biednych marynarzy oraz deptania im po głowach, gdy śpią. Kiedy to uczynicie, damy wam do wyboru: albo pojedziecie wraz z nami na okręcie, gdy skarb już będzie załadowany, a ja dam wam zobowiązanie na piśmie, poręczone słowem honoru, że wysadzę was gdziekolwiek cało na ląd. Albo jeżeli to wam nie dogadza, jako że niektórzy z moich ludzi są ludźmi szorstkich obyczajów i mają z wami dawne porachunki, w takim razie możecie tu pozostać. Podzielimy się z wami zapasami, głowa w głowę, a ja dam wam poprzednio zobowiązanie na piśmie, że zaczepię pierwszy napotkany okręt i przyślę go tu, żeby was wzięł na pokład. A teraz posłuchajcie tej rady: nie można było okazać wam większej wyrozumiałości. I spodziewam się - tu podniósł głos - że wszyscy znajdujący się tu w stancy wezmą pod rozwagę moje słowa, gdyż to, co mówiłem do jednego, tyczyło się wszystkich.

Kapitan Smollet powstał z siedzenia i wytrząsnął popiół z fajki na dłoń lewej ręki.

- Czy to wszystko? - zapytał.

- Ostatnie słowo, niech mnie piorun trzaśnie! - krzyknął John. - Jeżeli to odrzucicie, wtedy zakończeniem rozmowy będą kulki muszkietów!

- Doskonale! - rzekł kapitan. - A teraz posłuchaj mnie. Jeżeli przyjdiesz do mnie jeszcze raz w pojedynkę bez broni, to postaram się zakuć cię w kajdanki i zawieźć do Anglii, ażebyś tam stanął przed prawowitym sądem. Jeżeli sobie tego nie życzysz, pamiętaj, że nazywam się Aleksander Smollet, rozwinąłem tu sztandar mojego króla, a was posyłam do morskich diabłów. Nie znajdziecie skarbu! Okrętu nie zabierzecie, pomiędzy wami nie ma nikogo, kto by się znał na prowadzeniu okrętu! Nie pokonacie nas; ten oto Gray wydarł się z rąk pięciu waszych ludzi! Wasz okręt jest uwięziony, panie Silver, znajdujecie się na brzegu wystawionym na przeciwny wiatr... Musicie tu pozostać. To ci mówię, jak stoję przed tobą. Są to ostatnie życzliwe słowa, jakie słyszysz ode ranie, bo jak Bóg na niebie, wsadzę ci kulkę w plecy za następnym spotkaniem. Umykaj, bracie. Zwijaj się, proszę, co rychlej i przyśpiesz kroku.

Silver mienił się na twarzy, oczy niemal na wierzch mu wyskakiwały z wściekłości. Wytrząsnął ogień z fajki.

- Dać mi rękę! - krzyknął.

- Ani mi się śni - mruknął kapitan.

- Kto mi poda rękę? - ryczał Silver.

Nikt z nas ani się ruszył. Miotając najplugawsze złorzeczenia i Silver poczołgał się po piasku, aż dowlóknął się do ganku i mógł znów i oprzeć się na szczudle. Wówczas splunął do źródła.

- Patrzcie! - wrzasnął. - Oto, co myślę o was! Zanim przejdzie godzina, zmiażdżę waszą budę

jak antałek rumu! ŚmieJCie się, śmieJCie, do pioruna! Nim przejdzie godzina, będziecie inaczej się śmiali! Ci, którzy zginą, będą szczęśliwi!

I cisnawszy straszne przekleństwo upadł, powłókJ się po piasku, aż wreszcie przy pomocy człowieka niosącego białą chorągiew udało mu się po kilku nieudanych próbach przedostać poza ogrodzenie. W chwilę później znikł w gęstwinie drzew.

# Natarcie

Gdy tylko Silver zniknął, kapitan, który śledził go uważnie, odwrócił się ku wnętrzu domu i spostrzegł, że oprócz Graya nikt nie stał na swym stanowisku. Po raz pierwszy zdarzyło się nam ujrzeć go w pasji.

- Na miejsca! - huknął wściekle, a gdy chyłkiem powróciliśmy na stanowiska, odezwał się:

- Gray, twoje nazwisko zapiszę w księdze okrętowej, bo spełniłeś swój obowiązek jak prawdziwy marynarz. Panie Trelawney, tego się po panu nie spodziewałem. Panie doktorze, zdawało mi się, że waćpan nosiłeś mundur wojsk króla jegomości. Jeżeli pan w ten sposób służył pod Fontenoy, panie szanowny, to lepiej było pozostać u siebie za piecem!

Warta doktora stanęła przy swoich strzelnicach, reszta zajęła się nabijaniem niewielu muszkietów, a każdy - łatwo zgadnąć - zarumienił się po uszy ze wstydu jak zmyty.

Kapitan patrzył przez chwilę w milczeniu, po czym przemówił:

- Chłopcy! Dałem Silverowi tęgą odprawę i umyślnie dopieklęm mu do żywego, więc zanim przejdzie godzina, jak on mówił, napadną na nas te psubraty. Nie potrzebuję wam mówić, że jesteśmy słabsi liczebnie, ale walczymy z ukrycia, a chwilę temu powiedziałbym, że walczymy karnie. Nie wątpię bynajmniej, że możemy ich rozbić - od was to tylko zależy.

Po czym obszedł stanowiska i stwierdził - jak się wyraził - że wszystko jest w porządku.

W dwu krótszych ścianach domu, wschodniej i zachodniej, było tylko po dwie strzelnice. Od strony południowej, gdzie wznosił się ganek, znajdowały się również dwie, a w ścianie północnej - pięć. Muszkietów była dostateczna liczba dla nas siedmiu; z chrustu ustawiono cztery stopy - niby stoły - po jednym w środku każdego boku, a na każdym z tych stołów przygotowano pewną ilość amunicji i po cztery muszkiety gotowe do użycia przez obrońców. Na środku s złożono kordelasy.

- Zgasić ogień - rozkazał kapitan - chłód już przeszedł j i niepotrzebnie dym gryzie nas w oczy.

Pan Trelawney wyrzucił na dwór całą fajerkę, a żar zagasł w piasku.

- Hawkins jeszcze nie jadł śniadania. Hawkins, przynieś sobie śniadanie i wracaj na swoje stanowisko. Tutaj je zjesz - mówił dalej kapitan Smollet. - Żwawiej, mój chłopcze. Trzeba się posilić, zanim weźmiesz się do roboty! Hunter, puść no w kolej wódkę! Napijemy się wszyscy!

Podczas gdy spełniano jego rozkazy, kapitan uzupełniał sobie w myśli plan obrony.

- Panie doktorze, waćpan obsadzisz drzwi - podjął. - Zważaj pan na wszystko i nie wychylaj się; proszę pozostać w środku i strzelać przez ganek! Hunter, zajmij stronę wschodnią, ot tam! Joyce, staniesz po stronie zachodniej, mój drogi. Panie Trelawney, pan jest najlepszym strzelcem - więc pan i Gray zajmiecie tę długą ścianę północną, gdzie jest pięć strzelnic; z tej strony zagraża największe

niebezpieczeństwo. Jeżeli uda się im podejść i ostrzeliwać nas przez nasze własne strzelnice, to będziemy szpetnie wyglądali. Hawkins! Ani ty, ani ja nie bardzo się rozumiemy na strzelaniu, będziemy więc ładować broń i podawać ją walczącym.

Miał rację kapitan; chłód już przeszedł. Gdy słońce wzbilo się nad rąbek drzew, promienie jego z całą mocą spadły na porębę i w mig wysały z powietrza wszelką wilgoć. Niebawem piasek zaczął parzyć nam stopy, a żywica topnieć i kapać z belek fortecy. Zrzuciliśmy z siebie kurtki i kamizelki, zakasaliśmy rękawy do ramion. Tak staliśmy, każdy na swoim posterunku, rozgorączkowani upałem i niepokojem.

Godzina minęła.

- U licha! - odezwał się kapitan. - To głupie jak gra w ciuciubabkę. Gray, zobacz no, skąd wiatr wieje.

W tej samej chwili przyszła pierwsza zapowiedź napadu.

- Uprzejmie proszę łaskawego pana - rzekł Joyce - czy jeżeli którego z nich zobaczę, mam strzelać?

- Przecież ci powiedziałem - krzyknął kapitan.

- Dziękuję łaskawemu panu - odpowiedział Joyce z tą samą spokojną uprzejmością.

Przez chwilę nic nie zaszło, lecz ta uwaga pobudziła nas do czujności; wyteżyliśmy wzrok i słuch, muszkietrzy ważyli samopały w dłoniach. Kapitan stanął pośrodku twierdzy, zacisnąwszy usta i nasępiwszy oblicze.

Upłynęło kilka sekund - naraz Joyce podniósł muszkiet i dał ognia. Ledwo huk ucichł, gdy odpowiedziały mu od zewnątrz inne rozproszoną salwą, strzał za strzałem, niby sznur gęsi, ze wszystkich stron ogrodzenia. Kilka kul ugodziło w budynek, ale ani jedna nie wpadła do środka, a gdy dym rozwiął się i znikł, zarówno warownia, jak i bór dokoła wydawały się tak ciche i opuszczone jak poprzednio. Nie dygotała żadna gałązka ani najmniejszy błysk lufy muszkietu nie zdradzał obecności naszych wrogów.

- Czy trafiłeś tego człowieka? - zapytał kapitan.

- Nie, panie - odparł Joyce - zdaje mi się, że nie.

- Przynajmniej dobrze, że mówisz prawdę - burknął kapitan Smollet. - Nabij rnu strzelbę, Hawkins. Ilu mogło być po pańskiej stronie, doktorze?

- Wiem dokładnie - odparł doktor Livesey. - Z tej strony padły trzy strzały. Widziałem trzy błyski: dwa koło siebie, a trzeci opodał, nieco na zachód.

- Trzy! - powtórzył kapitan. - A ile od pańskiej strony, panie Trelawney?

Lecz na to nie tak łatwo było odpowiedzieć. Od północy padło ich sporo - siedem według obliczeń dziedzica, a osiem lub dziewięć podług Graya. Od wschodu i zachodu były tylko pojedyncze strzały. Nie ulegało więc wątpliwości, że napad rozwinie się od strony północnej i że z trzech innych stron miały nas niepokoić jedynie pozorne działania wojenne. Mimo to jednak kapitan Smollet nie zmienił bynajmniej zarządzeń dowodząc, że jeżeli rokoszanom powiedzie się wdrzeć w obręb warowni, opanują jedną z nie strzeżonych strzelnic i wystrzelają nas jak szczury w naszym własnym gnieździe oporu.

Nie pozostało nam zresztą wiele czasu do namysłu. Z gęstwiny po stronie północnej wyskoczyła nagle z głośną wrzawą garstka piratów i popędziła wprost na warownię. W tej samej chwili otwarto ogień ponownie od strony lasu i jedna kulka bzyknęła w drzwiach, rozbijając w drzazgi muszkiet doktora.

Napastnicy poczęli przełazić jak małpy przez ogrodzenie. Dziedzic i Gray wypalili dwukrotnie; trzech ludzi spadło; jeden w obręb palisady, a dwaj z powrotem poza częstokół. Lecz jeden z nich był raczej ogłuszony niż ranny, gdyż w mgnieniu oka zdołał znów stanąć na nogach i natychmiast znikł między drzewami.

Dwóch napastników już gryzło ziemię, jeden umknął, czterech wtargnęło na dobre do wnętrza naszej pozycji obronnej. Tymczasem spoza osłony boru siedmiu czy ośmiu ludzi, każdy widocznie uzbrojony w kilka muszkietów, podtrzymywało bez przerwy silny, choć bezskuteczny ogień na warownię.

Czterej, którzy się wdarli, zmierzali wprost ku budowli krzycząc w biegu, a ich kamraci wśród drzew wtórowali im okrzykami, by dodać im odwagi. Padło kilka strzałów z naszej strony, lecz taka była gorączkowość strzelców, że prawdopodobnie ani jeden strzał nie wywołał skutku. W jednej chwili czterej korsarze przebyli nasyp ziemny i znaleźli się naprzeciw nas. Głowa bosmana Joba Andersena pojawiła się w środkowej strzelnicy.

- Wszyscy na nich, kamraci... Wszyscy! - ryczał grzmiącym głosem.

Jednocześnie inny korsarz chwycił muszkiet Huntera za lufę, wyrwał mu go z ręki, wyciągnął przez strzelnicę i jednym ogłuszają-! cym strzałem powalił nieszczęśliwego bez zmysłów na ziemię. Tym-! czasem trzeci, biegnąc bez szwanku dokoła domu, ukazał się nagle w drzwiach i wpadł ze sztyletem na doktora.

Nasze położenie znacznie się pogorszyło. Jeszcze przed chwilą mogliśmy z ukrycia ostrzeliwać nie osłoniętego przeciwnika, teraz natomiast sami byliśmy bez osłony i nie mogliśmy się odstrzeliwać.

Wnętrze budynku było pełne dymu, czemu zawdzięczaliśmy swoje względne bezpieczeństwo. Krzyki i zamieszanie, błyski i huk strzałów pistoletowych oraz głośne jęczenie - wszystko to rozdzierało mi uszy.

- Na dwór, chłopcy, na dwór! Wygnać ich na miejsce otwarte! Nożami! - krzyknął kapitan.

Porwałem jeden ze sztyletów leżących na kupie, a jednocześnie ktoś porywając inny zadał mi draśnięcie w rękę, które ledwo odczułem. Wybiegłem przez drzwi i wydostałem się na światło słoneczne. Ktoś był tuż za mną, sam nie wiem kto. Na prawo przede mną doktor ścigał swego napastnika po pochyłości wzgórza, a właśnie wtedy, gdy moje oko spoczęło na nim, obalił zapaśnika, który rozciągnął się jak długi na wznak, z twarzą szpetnie pokiereszowaną.

- Naokoło domu! Chłopcy! Naokoło domu! - krzyczał kapitan, a pomimo całego zamętu zauważyłem zmianę w jego głosie.

Odruchowo usłuchałem, zawróciłem na wschód i podniósłszy kordelas, biegiem okrążałem róg budynku. Naraz niespodzianie znalazłem się twarzą w twarz z Andersenem. Ów ryknął na całe gardło i wzniosł nad głową zakrzywiony nóż, połyskujący w słońcu. Nie miałem czasu na trwogę, lecz gdy cios już miał spaść na mnie, odskoczyłem jednym susem w bok i pośliznąwszy się w grząskim piasku, stoczyłem się głową naprzód po pochyłości.

Gdy tylko wypadłem przez drzwi, reszta rozbójników już czepiała się częstokołu, aby zrobić koniec z nami. Jeden z nich, ubrany w czerwoną szlafmycę, trzymając sztylet w zębach, wdrapał się nawet na szczyt i przesadził nogę na drugą stronę. Otóż tak szybko się to odbyło, że gdy podniosłem się na nogi, wszystko znajdowało się jeszcze w tej samej pozycji: drab w czerwonej szlafmycy był dopiero w połowie drogi, a drugi już wystawiał głowę ponad krawędź ogrodzenia. Mimo to właśnie w tej chwili walka się przesiliła, a zwycięstwo stało się naszym udziałem.

Gray, który postępował tuż za mną, zwałił z nóg olbrzymiego bosmana, zanim ów miał czas ochłonąć po chybionym ciosie. Drugi, właśnie gdy dawał ognia w głąb domu, został zabity przy strzelnicy, a teraz leżał w śmiertelnych drgawkach, z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni. Trzeciego, jak widziałem, doktor jednym rąbnięciem wyprawił na tamten świat. Z czterech, którzy przeleźli byli przez palisadę, tylko jeden został nietknięty, a i ten porzuciwszy kordelas na placu bitwy, w śmiertelnej trwodze gramolił się teraz z powrotem.

- Strzelać! Strzelać z domu! - krzyczał doktor. - A wy, zuchy, z powrotem za osłonę!

Lecz słów tych nie wzięto pod uwagę, gdyż nie padł ani jeden strzał, tak iż ostatni z napastników umknął w najlepsze i zniknął z innymi w lesie. W trzy sekundy później nie było już nikogo z nacierającej bandy, oprócz pięciu poległych: czterech w obrębie warowni i jednego za częstokołem.

Doktor, Gray i ja pobiegliśmy co rychlej się schronić. Wrogowie, jacy jeszcze pozostali przy życiu, powinni byli wkrótce dotrzeć do miejsca, gdzie pozostawili muszkiety, i każdej chwili mogła się znów rozpocząć strzelanina.

Tymczasem dym zalegający wewnątrz stancyi nieco się rozproszył, więc mogliśmy ocenić, jakimi stratami okupiliśmy zwycięstwo. Hunter leżał nieprzytomny koło swej strzelnicy, obok niego zaś Joyce z przestrzeloną głową... niestety nigdy już nie miał powstać. Dziedzic, siedząc pośrodku izby, podtrzymywał kapitana, a obaj byli jednakowo bladzi.

- Kapitan raniony - rzekł pan Trelawney.

- Czy uciekli? - zapytał pan Smollet.

- Tak jest, uciekł, kto zdołał! - odparł doktor. - Ale pięciu z nich już nigdy nie ucieknie!

- Pięciu! - krzyknął kapitan. - No, tym lepiej! Pięciu na trzech! Zatem zostaje nas czterech przeciwko dziewięciu. Lepsze szansę niż na początku! Było nas siedmiu na dziewiętnastu, tak przynajmniej nam się zdawało... i sprawa była ciężka.

**Część Piąta**

# **MOJE PRZYGODY MORSKIE**



## Jak rozpoczęły się moje przygody morskie

Buntownicy nie powrócili już - z głębi lasu nie padł też ani jeden strzał. Kapitan przypuszczał, że rozdawaliienne racje żywności. Byliśmy więc panami sytuacji i mieliśmy czas spokojny na przeniesienie rannych oraz przyrządzenie obiadu. Dziedzic z moją pomocą pomimo niebezpieczeństwa zajął się gotowaniem jadła na dziedzińcu. Jednakże nawet z takiej odległości niewysłowioną zgrozą przejmowały nas dochodzące tu głośnie jęki pacjentów doktora.

Z ośmiu ludzi, którzy padli w tej rozprawie, tylko trzech jeszcze oddychało: pirat zraniony przy strzelnicy, Hunter i kapitan Smollet. Spośród nich dwaj pierwsi byli tak jakby nieżywi: korsarz istotnie skonał pod nożem doktora, a Hunter, pomimo wszelkich zabiegów z naszej strony, nie odzyskał już przytomności. Leżał przez dzień cały, sapiąc głośno, jak niegdyś stary korsarz w naszym domu podczas ataków apopleksji, lecz zebra miał strzaskane uderzeniem i czaszkę zgruchotaną przez upadek. Następnej nocy, bez żadnego znaku ani odgłosu, odszedł do Stwórcy.

Co się tyczy kapitana, jego rany były rzeczywiście bolesne, ale nie niebezpieczne. Żadna część ciała nie była poważnie uszkodzona. Kula Andersona - gdyż to Job pierwszy go postrzelił - przebiła mu łopatkę i zadrasnęła płuca, zresztą nieszkodliwie. Druga jedynie przerwała i naruszyła kilka mięśni w łydce. Wedle orzeczenia doktora mógł niewątpliwie łatwo przyjść do siebie, lecz na razie i w ciągu najbliższych tygodni nie wolno mu było chodzić ani poruszać ramieniem, ani też wiele mówić.

Moje przypadkowe zadrażnienie było jak ukąszenie komara. Doktor Livesey zalepił je plastrem, a na dodatek wytargał mnie za uszy.

Po obiedzie dziedzic i doktor siedzieli przez chwilę koło kapitana, naradzając się. Już pod wieczór, kiedy się nagadali do syta, doktor wziął kapelusz i pistolety, przypasał kordelas, włożył mapę do kieszeni, a muszkiet na ramię, przeszedł przez palisadę od strony północnej i pospiesznie począł przedzierać się przez gęstwinię.

Siedzieliśmy obaj, Gray i ja, w najgłębszym kącie budynku, tak iż byliśmy oddaleni na odległość głosu od naradzających się naszych dowódców. Gray wyjął fajkę z ust i zapomniał ją znowu włożyć, takim zdumieniem napełniło go to, co ujrzał.

- Co, u morskiego diabła! - przemówił. - Czy doktor Livesey dostał bzika?

- Co to, to nie! - odpowiedziałem. - Ręczę, że jemu chyba ostatniemu z nas wszystkich przytrafiłoby się coś podobnego!

- Dobrze, druho... - rzekł Gray. - Może on i nie ma bzika. Ale w takim razie to ja już na pewno skapcianałem, wierz mi.

- Jestem pewny - odparłem - że doktor ma jakiś plan. O ile się nie mylę, poszedł spotkać się z Ben Gunnem.

Później się okazało, że miałem słuszość. Tymczasem, ponieważ w domu panował nieznośny upał, a niewielki skrawek piasku w obrębie palisady był rozprażony od południowego słońca, ułożyłem sobie w głowie nowe postanowienie, które nie pod każdym względem było rozsądne. Zacząłem zazdrościć doktorowi, że wędrował w chłodnym cieniu kniei, pośród śpiewu ptaszcącego i przyjemnego zapachu sosen, gdy ja tu się przypiekałem, z ubraniem przylepionym do roztopionej żywicy; dokoła mnie tyle było krwi i leżało tyle nieszczęsnych trupów, że miejsce to przejmowało mnie odrazą graniczącą z lękiem.

W czasie, gdy sprzątałem wewnątrz domu, a następnie zmywałem po obiedzie, ów wstręt i zazdrość rosły i potęgowały się we mnie, aż na koniec znalazłszy się w pobliżu worka z sucharami i korzystając z tego, że nikt na mnie nie zważał, uczyniłem pierwsze przygotowanie do ucieczki: mianowicie napełniłem sobie obie kieszenie kurtki sucharami.

Byłem nierozsądny, jeśli chcecie, i niewątpliwie przedsięwziąłem czyn głupi i zuchwały, jednak postanowiłem wykonać go z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności. Te suchary, gdyby mi się coś przydarzyło, miały mnie ocalić od śmierci głodowej, przynajmniej do dnia następnego.

Drugą rzeczą, w którą się zaopatrzyłem, była para krocie, a że miałem już przy sobie rozek z prochem i kulki, czułem się należycie uzbrojony.

Plan, jaki miałem w głowie, nie był sam przez się najgorszy. Miałem dojść do ławicy piaskowej, która oddziela przystań po stronie wschodniej od otwartego morza, znaleźć Białą Skałę, którą spostrzegłem poprzedniego wieczoru, i wybadać, czy tam, czy też gdzie indziej Ben Gunn ukrył swą łódkę. Po dziś dzień jestem przekonany, że przedsięwzięcie to warte było zachodu. Byłem jednakże pewien, że nie dostanę pozwolenia na opuszczenie warowni, dlatego też zamierzałem pożegnać się „po francusku” i wymknąć się, gdy nikt nie będzie pilnował. Ten zaś postępek był wielce nieodpowiedni i pogorszył całą sprawę. Bądź co bądź, byłem jednak tylko chłopcem i powziąłem postanowienie.

W końcu trafiła mi się wspaniała okazja realizacji moich planów. Gdy dziedzic i Gray zakładali nowy opatrunek kapitanowi, a całe wybrzeże było puste, przeskoczyłem przez częstokół i dałem nura w najbardziej zwarty gąszcz. Zanim spostrzeżono mą nieobecność, oddaliłem się poza zasięg wołania mych towarzyszy.

Było to drugie moje zuchwalstwo, o wiele gorsze od pierwszego, jako że na straży domu zostawiłem jedynie dwóch ludzi. Jednakże ono właśnie, podobnie jak poprzednie, przyczyniło się do uratowania nas wszystkich.

Skierowałem kroki wprost ku wschodniemu wybrzeżu wyspy. Umyślnie obrałem sobie drogę wzdłuż morza, aby nie wpaść komu w oko od strony przystani. Było już późne popołudnie, niemniej jednak słońce przygrzewało. Gdy przedzierałem się przez wysoki las, dochodził mnie z oddali nie tylko nieustanny grzmot bałwanów morskich, lecz i niezwykły szum liści oraz trzeszczenie konarów drzew, co wskazywało mi, że wicher rozhulał się więcej aniżeli zazwyczaj. Niebawem chłodny powiew dotarł i do mnie; przeszedłszy jeszcze kilka kroków wydostałem się na odsłonięty skraj lasu i ujrzałem morze, błękitne i słoneczne aż po widnokrąg oraz kłęby fal rozbijające się pianą o brzeg.

Nie pamiętam, by toń morską przy Wyspie Skarbów była kiedy zupełnie spokojna. Choćby słońce prażyło, choćby w powietrzu nie było żadnego tchnienia, choćby powierzchnia pełnego morza była gładka i błękitna, zawsze te potężne fale tłoczyły się wzdłuż rąbka lądu, grzmiąc i hucząc dniem i nocą, a zdaje mi się, że na całej wyspie nie ma ani piędzi ziemi, dokąd by nie doszedł ich hałas.

Z wielką radością szedłem obok odmętu, aż przypuszczając, że oddaliłem się dość znacznie na południe, schroniłem się pod osłonę gęstwy grubych krzewów i podpełzłem ostrożnie do grzbietu wydmy.

Za mną był przestwór wodny, przede mną przystań. Wiatr morski, jak gdyby wyczerpał się własną gwałtownością, już z wolna przycichał. Zastąpiły go lekkie, zmienne powiewy z południa i południowego wschodu, niosąc wielkie mgły. Przystań z nawietrznej strony Wyspy Szkieletów była cicha i barwy ołowianej jak wtedy, gdyśmy tu przybyli po raz pierwszy. Hispaniola od kabestanu aż po ostatnią linę odbijała się wyraziście w tym niezmaconym zwierciadle. Ze szczytu masztu zwieszała się czarna bandera korsarska.

Obok okrętu stało jedno z członów. U dzioba łodzi siedział Silver

- jego jednego tylko mogłem rozpoznać - a gromadka ludzi opierała się o burty; jeden z nich miał na głowie czerwoną szlafmycę

- był to drab, którego przed kilku godzinami widziałem przełazącego przez palisadę. Widocznie rozmawiali i śmieli się, choć doprawdy z tej odległości - przeszło milowej - trudno było posłyszeć choć słowo z tego, co mówili. Nagle ni stąd, ni zowąd rozległo się wielce przeraźliwe, nieludzkie skrzeczenie, które początkowo przejęło mnie okropnym strachem. Wkrótce jednak rozpoznałem głos „kapitana Flinta” i przypomniałem sobie, jak to nieraz brałem ptaka za migotliwe pióra, gdy siadał na ręce swego pana.

Wkrótce potem łódź odplynęła zmierzając w stronę wybrzeża, a człowiek w czerwonej szlafmycy oraz jeden z jego kamratów zeszli do kajuty oficerskiej.

Mniej więcej w tym czasie za Lunetą zaszło słońce, a ponieważ mgła szybko gęstniała, robiło się już zupełnie ciemno. Wiedziałem, że nie powinienem marudzić, o ile jeszcze tego wieczora mam odnaleźć łódkę Gunna.

Biała Skala, dość uwydatniająca się nad zaroślami, była jeszcze

0 niecałą milę ode mnie na przesmyku. Szedłem jeszcze sporą chwilę, zanim do niej dotarłem pełznąć, często na czworakach, wśród krzaków. Noc już prawie zapadła, gdy dłoń moja oparła się o chropowate urwisko. Tuż pod nim znajdowało się niezmiernie małe wgłębienie wysłane zieloną murawą, a zakryte usypiskami i gęstymi krzakami, sięgającymi powyżej kolan i rosnącymi tam w wielkiej obfitości. W środku tej jaskini znajdował się mały namiot z kozłej skóry, podobny do tych, jakie Cyganie wożą z sobą w Anglii.

Opuściłem się do wgłębienia, podniosłem skrzydło namiotu

I znalazłem tam łódź Ben Gunna - zrobioną jak najbardziej po domowemu: niekształtna, przechylona na bok dłubanka z surowego drewna, powleczona wyściółką ze skóry koźlej włosem do wewnątrz. Łódka była okropnie mała, nawet dla mnie, i trudno mi było uwierzyć, że mógł w niej jeździć dorosły człowiek. Było tam jedno siedzenie poprzeczne, niskie jak tylko być może, rodzaj podnóżka z przodu łodzi, i dwa wiosła do poruszania.

Nie znałem wprawdzie dłubanek, jakie robili starożytni Brytowie, ale później oglądałem taki właśnie rodzaj łódki i nie mogę dać wam lepszego wyobrażenia o łódce Ben Gunna, jak mówiąc, że była to najpierwotniejsza i najlichsza „topiduszka”, jaką kiedykolwiek zrobiono. Miała jednak ona z pewnością tę wielką zaletę, że była nadzwyczaj lekka i zdatna do przenoszenia.

Zapewne przypuszczacie, że gdy znalazłem tódkę, miałem na razie już dość włóczęgi. Tymczasem wpadłem na nowy pomysł, którym byłem tak zachwycony, że wykonałbym go na pewno nawet wtedy, gdyby mi przyszło się narazić na gniew kapitana Smolleta. Postanowiłem podkraść się pod osłoną nocy, odciąć Hispaniolę i puścić ją na los szczęścia, żeby dobiła do lądu, gdzie jej się spodoba.

Nabrałem przekonania, że po porażce doznanej rano buntownicy nie mieli gorętszego pragnienia, jak podnieść kotwicę i popłynąć na morze; moim zdaniem, należało zamiar ten uprzędzić, a ponieważ widziałem, że strażnicy, których postawili, nie posiadają łodzi, sądziłem, że można tego dokonać z niewielkim narażeniem swej skóry.

Przysiadłem oczekując na zupełną ciemność i posiliłem się sucharami. Była to noc jakby wybrana z dziesięciu tysięcy innych dla wprowadzenia w czyn mych zamysłów. Mgła zakryła już całe niebo. Ostatnie promyki światła dziennego rozproszyły się i znikły, absolutna ciemność zalała Wyspę Skarbów. Gdy wreszcie wzięłem na plecy „topiduszkę” i potykając się co krok wyszedłem z kotliny, w której jadłem kolację, jedynie dwa punkciki były widoczne nad całą przystanią.

Jednym z nich było na wybrzeżu wielkie ognisko, koło którego odparci korsarze rozłożyli się uczując wśród trzęsawiska. Drugie światełko, pełgające nikle w pomroce, wskazywało miejsce, gdzie na kotwicy stał okręt. Fale obracały nim wokoło, tak iż dziób statku zwrócony był teraz ku mnie. Jedyne światła na okręcie mogły być w kajucie, zatem to, co widziałem, było po prostu odbiciem na tle mgły silnego blasku, który płynął z okna na rufie.

Odpływ trwał już od pewnego czasu, tak iż musiałem brnąć przez długą smugę grząskiego piasku, gdzie kilkakrotnie zapadłem się po kostki, zanim doszedłem do kresu cofających się fal, a brodząc jeszcze w nich przez chwilę, ze znacznym wysiłkiem i zręcznością spuściłem wreszcie moją „topiduszkę” na powierzchnię wody.

## Odpyw morza

Jeszcze zanim zrobiłem użycie z mej dłubanki, już miałem sposobność stwierdzić, że była to łódka nader bezpieczna dla osoby mego wzrostu i wagi, zarówno lekka, jak obrotna, jednakże jak najbardziej oporna do kierowania i przechylająca się na bok. Na przekór wszelkim usiłowaniom zawsze zbaczała pod wiatr i najlepszym jej manewrem było ciągle krążenie w kółko. Nawet sam Ben Gunn przyznawał, że „trudno nią było kierować, dopóki nie poznało się jej sposobów”.

Oczywiście nie znałem jej „sposobów”. Zwracała się we wszystkich kierunkach z wyjątkiem tego jednego, w którym powinienem był zdążyć; po większej części płynąłem w poprzek i zdawało mi się, że nigdy nie dosięgnę okrętu, chyba płynąc z prądem. Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności czy wiosłowaniu, jak wolałem przypuszczać, prąd ciągle mnie niósł. Hispaniola leżała dokładnie na mym szlaku, tak że niemal nie mogłem jej ominąć.

Zrazu majaczyła przede mną niby jakaś plama jeszcze czarniejsza od mroku, później jej maszty i kadłub zaczęły nabierać kształtów, a w chwilę później - gdyż im dalej się posuwałem, tym bardziej rączy stawał się prąd odpływu - stanąłem koło cumy i zatrzymałem się.

Cuma była naprężona jak cięciwa - tak silnie wyciągnęła się na kotwicy. Wokoło kadłuba w ciemności zwałniony prąd bełkotał i gwarzył jak źródło górski. Jedno cięcie mego noża żeglarskiego i Hispaniola winna była z szumem pomknąć z nurtem odpływu.

Aż dotąd wszystko dobrze; zaraz jednak uprzytomniłem sobie, że napięta lina, nagle przecięta, jest czymś tak niebezpiecznym jak wierzgający koń. Było dziesięć szans przeciw jednej, że jeżeli okaże się na tyle zuchwały, by odciąć Hispaniolę od kotwicy, wtedy sam wraz z moją „topiduszką” pójdę na dno.

To zmusiło mnie do zastanowienia, a gdyby los nie był mi powtórnie wyjątkowo sprzyjał, musiałbym poniechać swego przedsięwzięcia. Owe lekkie powiewy, które początkowo nadciągały z południowego wschodu i południa, z nastaniem nocy zmieniły kierunek na południowo-zachodni! Właśnie gdy się namyślałem, nadbiegł silniejszy powiew, ogarnął Hispaniolę i pchnął ją pod prąd. Ku wielkiej mej radości odczułem, że lina nieco pofolgowała mi w garści, a dłoń, w której ją trzymałem, zanurzyła się na mgnienie w wodę.

Wówczas opamiętałem się, wydobyłem nóż, otworzyłem go zębami i zacząłem przecinać jedno pasmo po drugim, aż okręt cały oparł się na dwu strzępach liny. Wtedy dałem spokój dalszej robocie odkładając rozerwanie dwóch ostatnich powróseł do czasu, gdy lina będzie jeszcze raz rozprężona tchnieniem wiatru.

Przez cały ten czas słyszałem dźwięki głośnej rozmowy dochodzące z kajuty; prawdę powiedziawszy jednak miałem głowę tak całkowicie zaprzątniętą czym innym, że prawie ich nie słuchałem. Teraz wszakże, gdy już nic nie miałem do roboty, zacząłem uważniej nasłuchiwać.

W jednym z głosów rozpoznałem podsternika Izraela Handsa, który był ongiś puszkarczkiem Flinta. Drugim z rozmówców był bez wątpienia mój przyjaciel w czerwonej szlafmicy. Obaj mieli już

dobrze w czubie, a mimo to pili zawzięcie, ponieważ w tym czasie, gdy nasłuchiwałem, jeden z nich z pijackim okrzykiem otworzył okno i wyrzucił coś, co jak mi się zdawało, było próżną butelką. Byli jednak nie tylko podchmieleni, ale niewątpliwie też zajadle rozjuszeni. Przekleństwa sypały się jak grad, a raz po raz następował taki ich nawał, iż sądziłem, że niechybnie skończy się na bójce. Lecz za każdym razem sprzeczka ustawała i głosy przechodziły na chwilę w pomruk, póki nie nadszedł nowy kryzys i z kolei nie minął bez żadnych skutków. .

Na łądzie widziałem blask wielkiego ogniska obozowego przeświecającego jaskrawo poprzez kępy drzew nadbrzeżnych. Ktoś tam śpiewał jednostajną, starą, monotonną pieśń marynarską, z pauzą i trelem na końcu każdego wiersza - pieśń, która rzekłbyś, nie skończy się wcale, chyba że już nie starczy cierpliwości śpiewającemu. Słyszałem ją niejednokrotnie podczas podróży i zapamiętałem te słowa:

*Jeden ocalał z całej tej załogi,*

*Choć siedemdziesięciu ruszyło do drogi.*

Pomyślałem sobie, że ta śpiewka aż nadto niestety stosować się mogła do drużyny, która poniosła tak okrutne straty tego ranka. W rzeczywistości wszakże, z tego, co widziałem, wszyscy ci piraci byli tak mało wrażliwi jak morze, po którym żeglowali.

W końcu nadciągnął wiatr. Szoner przesunął się w bok i zbliżył w ciemności. Jeszcze raz odczułem, jak lina pofolgowała, a wtedy jednym silnym pociągnięciem przerwałem ostatnie włókna.

Wiatr nieznacznie tylko oddziaływał na moją łódź, ale i tak prawie natychmiast znalazłem się naprzeciw dzioba okrętu. W tej samej chwili Hispaniola zaczęła obracać się w koło, lawirując z wolna w poprzek prądu.

Harowałem jak sam diabeł, gdyż w każdej chwili oczekiwałem zatonięcia, a odkąd się przekonałem, że nie zdołam prowadzić łódki w prostym kierunku, wiosłowałem wstecz. Wreszcie uwolniłem się od mego niebezpiecznego sąsiada, a właśnie gdy brałem ostatni rozpęd, dłonie moje napotkały lekką linkę zwisającą z pokładu poprzez parapet rufy. Pochwyciłem ją w mig.

Nie umiem powiedzieć, czemu to uczyniłem. Z początku działałem jedynie pod wpływem instynktu; gdy jednak miałem już linę w rękę i przekonałem się, że jest umocowana, zaczęła brać we mnie górę ciekawość i postanowiłem zajrzeć do okna kajuty.

Wdrapałem się po lince, a kiedy uznałem, że jestem już dostatecznie blisko, podniosłem się, pomimo wielkiego ryzyka, do połowy swej wysokości i zobaczyłem pułap oraz odcinek wnętrza kajuty.

Podczas tego żaglowiec wraz ze swą małą towarzyszką chyżo mknął z wodą: zrównaliśmy się już z ogniskiem na wybrzeżu. Okręt „gadał” - jak mówią żeglarze - głośno, prując niezliczone fale i rozbryzgując nieustannie wełnistą wodę, dlatego też, gdy przytknąłem oko do szybki okna, nie

mogłem pojąć, czemu strażnicy nie byli wcale zaniepokojeni. W każdym razie wystarczyło mi jedno przelotne spojrzenie - jedyne, jakie mogłem rzucić z mej chwiejnej łódki. Ujrzałem Handsa i jego towarzysza zwartych ze sobą w śmiertelnych zapasach... Jeden wpił się dłonią w gardło drugiego.

Ześliznąłem się z powrotem do łódki, bynajmniej nie za wcześnie, gdyż omal nie straciłem jej spod stóp. Przez chwilę nie mogłem nic dojrzeć oprócz tych dwu wściekłych, krwią nabiegłych twarzy, nachylonych ku sobie wzajem pod kopącą lampą; przymknąłem oczy, aby się oswoić z ciemnością.

Nieustająca śpiewka dobiegła wreszcie końca, a cała - tak już nieliczna - drużyna korsarska przy ognisku zanuciła chórem pieśń, którą słyszałem tak często:

*Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni –*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

*Diabli i trunek resztę bandy wzięli!*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

Myślałem sobie właśnie, jak diabeł wespół z trunkiem gościli w tej chwili w kajucie Hispanioli, gdy wtem zaskoczył mnie nagły ruch mej łódki. W tej chwili szarpnąwszy silnie zdawała się zmieniać kierunek. Jednocześnie dziwnie wzrosła jej szybkość.

Otwarłem natychmiast oczy. Otaczały mnie drobne fale załamujące się z ostrym, syczącym poszumem i lekko fosforyzujące. His-paniola, od której kilwateru oddaliłem się, lawirując już o kilka jardów wahała się w swym biegu, a maszty jej słabo rysowały się na tle nocnej ciemności. W miarę jak się jej przyglądałem, nabierałem przekonania, że płynęła również na południe.

Obejrzałem się poza siebie i serce podskoczyło mi w piersiach. Tuż za mną biła łuna ogniska obozowego. Prąd skręcał pod kątem prostym, obracając zarówno wysokim szonerem, jak i nikłą, harcującą łódeczką. Coraz bardziej przyśpieszając biegu, coraz wyżej się piętrząc, coraz głośniej pomrukując przedzierał się skłębiony nurt przez cieśninę ku pełnemu morzu.

Nagle statek przede mną wykonał gwałtowny zwrot obracając się?

O jakieś dwadzieścia stopni, a prawie jednocześnie nastąpiły, jeden po drugim, dwa okrzyki. Usłyszałem dudnienie stóp po schodach kajuty, z czego wniosłem, że dwaj pijacy zaprzestali na koniec swarów i do pewnego stopnia uprzytomnili sobie grożące im niebezpieczeństwo.

Położyłem się na wznak na dnie mego zwariowanego czółenka

I pobożnie polecałem Bogu duszę. Byłem pewny, że u ujścia cieśniny wpadnę niechybnie w zaporę rozszalałych bałwanów, gdzie rychło ustaną wszystkie me troski. Ale choć zapewne zniósłbym spokojnie śmierć, nie mogłem znieść widoku nadchodzącego przeznaczenia.

Musiałem tak leżeć godzinami, nieustannie tam i z powrotem miotany falami, raz po raz zraszany mżącymi bryzgami wody i nie przestając ani na chwilę oczekiwać śmierci przy pierwszym zanurzeniu. Stopniowo opanowywała mnie coraz większa ociężałość i mimo grozy umysł mój podlegał oszołomieniu i odrętwieniu. Wreszcie zmorzył mnie sen. Długo tak spoczywałem w swej „topiduszce” podrygującej na morzu i śniłem o domu rodzinnym i o starym „Admirale Benbow”.



## Wędrówka „topiduszki”

Gdy się przebudziłem, był już dzień w całej pełni. Rozglądając się wokoło zmiarkowałem, że ocieram się o południowo-zachodni cypel Wyspy Skarbów. Słońce było już wysoko, lecz ukrywało się jeszcze przed moim wzrokiem za potężną bryłą Lunety, która z tej strony dochodziła prawie do morza groźnymi ścianami.

Z boku znajdował się szczyt Wielkiej Liny i wzgórze Bezanmasz-tu. Wzgórze było nagie i ciemne, a szczyt obramowany skałami, wysokimi na czterdzieści do pięćdziesięciu stóp i nastroszony rumowiskiem oberwanych głazów. Byłem oddalony niespełna o ćwierć mili od brzegu; pierwszą więc moją myślą było skierować tam wiosła i wylądować.

Myśl tę wkrótce porzuciłem. Wśród zwałonych głazów grzywiaste fale wrzały z łoskotem. Głośne echa, ciężkie zwały wód, wznoszące się i opadające, nacierały jedne po drugich z sekundy na sekundę. Widziałem, że jeżeli odważę się podejść bliżej, zostanę zdruzgotany na śmierć przy zjeżonym brzegu lub nadaremnie zmarnuję swe siły na sterczących pionowo krzesanicach.

Nie dość tego. Na brzegu zobaczyłem olbrzymie, oślizłe potwory, podobne do ślimaków nieprawdopodobnej wielkości, czołgające się po gładkich płytach skalnych lub wskakujące do morza z głośnym pluskiem, zawsze po dwa lub trzy razem. Ich szczekanie obudziło echa wśród skał.

Odtąd zrozumiałem, że są to lwy morskie, zwierzęta zgoła nieszkodliwe. Jednakże ich widok na tle niedostępnego wybrzeża i wysoko pnących się bałwanów wystarczał aż nadto, by mnie zniechęcić do lądowania w tym miejscu. Wolałem cierpieć głód na morzu, niż zetknąć się z podobnymi niebezpieczeństwami.

Tymczasem miałem przed sobą lepsze warunki, niż przypuszczałem. Na północ od Szczytu Wielkiej Liny ląd wydłużał się i podczas odpływu pozostawało tam długie pasmo żółtego piasku. Na północ stamtąd znowu był inny cypel - Przylądek Leśny, jak go oznaczono na mapie - schowany wśród zieleni gonnych jodeł, które dochodziły aż do krawędzi roztoczy.

Pamiętałem, co Silver opowiadał o prądzie, który kierując się na północ obiega całe zachodnie wybrzeże Wyspy Skarbów. Wnosząc zaś ze swojego położenia, że już znajduję się w pasie jego działania, wolałem zostawić za sobą Szczyt Wielkiej Liny i zachować siły na później, gdy miałem się pokusić o wylądowanie na przystępniejszym pono Przylądku Leśnym.

Morze było z lekka rozkołysane, jak okiem sięgnąć. Ponieważ wiatr niezmiennie i łagodnie dmuchał z południa, nie było żadnych niesnasek między nim a prądem - fale podnosiły się i opadały bez załamań.

Gdyby nie to, dawno już byłoby po mnie. Jednakże w danych okolicznościach łatwość i pewność, z jaką płynęła moja drobna i lekka łódeczka, przejmowały mnie zdumieniem. Często, gdy kładłem się na dnie, poprzestając jedynie na spoglądaniu ponad dziób „topiduszki”, spostrzegałem spory wzgórek błękitny, wzdymający się tuż nade mną - ale łódź moja tylko trochę się podrywała, podskakiwała jak na sprężynach i osadzała się w zagłębieniu po drugiej stronie, zwinnie niby

ptaszek.

Po krótkim czasie ośmieliłem się na tyle, iż zachciało mi się spróbować zręczności w wiosłowaniu. Wszakże nawet najmniejsza zmiana w rozkładzie ciężaru wywoływała gwałtowne zmiany w zachowaniu się czółna. Zaledwie popchnąłem 'naprzód łódkę, powstrzymując raptownie jej łagodnie taneczny ruch, nadbiegł słup wody tak spiętrzony, że przyprawił mnie o zawrót głowy i wbił dziób „topiduszki” głęboko w bok następnej fali, kropiąc obficie pianą.

Byłem zmoknięty i nastraszony, więc położyłem się w dawnej pozycji, dzięki czemu dłubanka jakby znowu odnalazła swą drogę, niosła mnie lekko jak przedtem po wygięciach i nurtu. Nie ulegało wątpliwości, że należało zdać się na jej wolę - atoli nie mogąc mieć żadnego wpływu na bieg łodzi, jakąż mogłem mieć nadzieję, że dobiję do lądu?

Ciarki przechodziły po mnie, mimo wszystko jednak nie straciłem głowy. Najpierw, poruszając się z całą ostrożnością, wychlustywałem po trosze czapką marynarską wodę z łodzi, następnie zaś, patrząc ponownie nad jej dziób, zacząłem badać, czemu ona przemyka się tak spokojnie po falach.

Przekonałem się, że każda fala, która z brzoju lub z pokładu statku wydaje się wielką, połyskliwą górą, jest naprawdę jakby łańcuchem wzgórz na lądzie stałym, z mnóstwem wierzchołków, przełęcz i dolin. Łódź pozostawiona sama sobie zwracała się to w jedną, to w drugą stronę, wybierała sobie, że tak powiem, drogę przez owe kotlinki, unikając stromych zboczy oraz wyższych, spadających wzniesień fali.

- No, dobrze! - myślałem sobie. - Muszę, rzecz jasna, leżeć w miejscu i nie zakłócać równowagi, lecz również jest rzeczą oczywistą, że mogę wysunąć wiosło z boku i od czasu do czasu, w miejscach łagodniejszych, dać jedno lub dwa pchnięcia w stronę lądu.

Co pomyślałem, uczyniłem natychmiast. Ułożyłem się na łokciach w postawie nader uciążliwej i raz po raz dawałem jedno lub dwa lekkie pchnięcia, aby skierować bieg łódki ku brzegowi.

Była to praca niezmiernie żmudna i powolna, jednak w widoczny sposób osiągałem swój cel; kiedy zbliżyłem się do Przylądka Leśnego, to choć widziałem, że bez wątpienia nie utrafię w ten punkt, w każdym razie zboczyłem już o kilkaset jardów na wschód. Byłem już naprawdę bardzo niedaleko lądu. Rozpoznawałem chłodne, zielone wierzchołki drzew chwiejące się z wiatrem i nabrałem pewności, że niezawodnie dostanę się do najbliższego przylądka.

Był już wielki czas, gdyż zaczęło mnie nękać pragnienie. Żar słońca nad głową, jego tysiakkrotne odbłyśki na fałdach, woda morska, która spadała i wysychała na mnie, pokrywając solą nawet moje wargi - wszystko to sprawiło, że w gardle paliło mnie, a głowa pękała mi z bólu. Widok drzew, tak niedalekich, wzniecił we mnie niemal chorobliwą tęsknotę. Lecz prąd zniósł mnie wkrótce za cypel, a skoro otwarła się nowa przestrzeń morza przede mną, ujrzałem nowy widok, który doszczętnie przeniecił moje zamysły.

Wprost przed sobą, mniej niż o pół mili, ujrzałem Hiszpaniolę z rozwiniętymi żaglami. Byłem pewny wprawdzie, że mogę być przyłapany; tak mnie jednak nękało pragnienie, że nawet nie

wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy trapić ową myślą. Toteż zanim doszedłem do jakichkolwiek wniosków, zdumienie tak niepodzielnie owładnęło moim umysłem, iż przez długi czas jedyną rzeczą, na jaką mogłem się zdobyć, było wytrzeszczanie oczu.

Hispaniola miała rozwinięty grotzagiel i dwa kliwry, a piękne białe płótna lśniły w słońcu jak śnieg lub srebro. Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wszystkie jej żagle były wzdęte, a statek podążał na północny zachód, z czego wnosiłem, że marynarze płyną z powrotem dokoła wyspy ku przystani. Obecnie okręt zaczął coraz bardziej skręcać ku zachodowi, tak iż myślałem, że mnie spostrzegli i puścili się w pogoń.

W końcu jednak wpadła Hispaniola na wiatr przeciwny, cofnęła się nieco i przez chwilę stała w miejscu bezradna, łopocąc żaglami.

- Och, niedołęgi! Niezdary! - zawołałem. - Muszą być pijani jak bąki! - I pomyślałem sobie, jakby to ich kapitan Smollet nagnał do roboty.

Tymczasem szoner stopniowo opadał z sił, to znów porywał się do biegu, płynął rączo przez jedną lub dwie minuty i ponownie nieruchomiał napotkawszy opór wiatru. Powtarzało się to wielokrotnie. Tu i tam, tam i z powrotem, na północ, na południe, wschód i zachód pływała Hispaniola szarpiąc się i miotając, a każdy taki wysiłek kończył się tak, jak się rozpoczął - opadnięciem bezsilnych żagli. Stało się dla mnie oczywiste, że nikt nie sterował. Jeżeli tak, to gdzie są ludzie? Albo się zapili do cna, albo opuścili Okręt; stąd przyszło mi na myśl, że gdyby mi się udało dostać na pokład, zdołałbym zapewne oddać statek w ręce prawego właściciela.

Prąd unosił jednakowo łódkę i żaglowiec ku południowi. Atoli dryf szonera był tak bezwładny i przerywany, tak długo statek raz po raz przystawał na miejscu, że z pewnością na tym nic nie zyskiwał,

O ile nie tracił. Gdybym miał tylko możliwość wyprostować się i wiosłować, niechybnie mógłbym go dogonić. Plan mój miał cechę awanturniczości, która mnie ożywiała, a myśl o bałwanach koło kajuty przedniej zdwajała rosnącą we mnie odwagę.

Podniosłem się, powitany prawie natychmiast przez nowy tuman perlącej się wody, tym razem nie przeszkadzającej memu zamiarowi, i z całą siłą i ostrożnością zacząłem wiosłować ku nieokiełzanej Hispanioli. Zrazu tak ciężko przychodziło mi porać się z morzem, iż niejednokrotnie zatrzymywałem się i wylewałem wodę z łódki z sercem trzepocącym jak ptak. Stopniowo jednak doszedłem do wprawy i swobodnie już prowadziłem łódkę wśród fal, jedynie niekiedy otrzymując uderzenie w dziób łódki lub kłębek piany w twarz.

Doganiałem statek co sił. Widziałem mosiądz połyskujący na okuciach steru szamocącego się tam i z powrotem. Na pokładzie nie było żywej duszy, toteż byłem pewny, że okręt jest opuszczony, w najgorszym zaś razie znajdujący się na nim ludzie leżeli w stanie nietrzeźwym w kajucie, gdzie mogłem ich z pewnością obezwładnić i zrobić ze statkiem, co mi się żywnie podobało.

Przez czas pewien okręt robił, co tylko mogło być dla mnie najgorszego - a mianowicie - stał w miejscu. Zmierał mniej więcej na południe, kręcąc się oczywiście przez cały czas. Ilekroć ustawał,

żagle wzdymały się nieco i niosły go przez chwilę z wiatrem. Powiedziałem, że było to dla mnie, co tylko mogło być najgorszego. Chociaż bowiem statek wydawał się tak bezradny w swym położeniu, choć żagle huczały jak armata, a krążki, reje i liny kręciły się i chygotały, to jednak widziałem, że wszystko to oddalało się ode mnie nie tylko dzięki rąchości prądu, ale i wskutek całego naporu przeciwnego wiatru, niewątpliwie nader silnego.

W końcu jednak okoliczności zaczęły mi sprzyjać. Wiatr przycichł na kilka chwil, Hispaniola zaś, dryfując z wolna, odwróciła się do mnie rufą. Okno kajuty, jak zauważyłem, było wciąż otwarte, a lampa na stole mimo dnia paliła się jeszcze. Grotzagiel obwisał w dół jak chorągiew. Okręt znieruchomiał unoszony tylko przez prąd.

Jeszcze przed chwilą zostawałem coraz bardziej w tyle, teraz zaś podwajając wysiłki rozpocząłem znów pościg. Byłem niespełna o sto jardów oddalony od statku, gdy wiatr znów nagle dmuchnął, poruszył linami na bakbocie, a okręt znów popędził kołysząc i śmigając jak jaskółka.

Pierwszym moim wrażeniem było uczucie rozpacz, które wnet przemieniło się w radość. Okręt począł zataczać krąg, aż zwrócił się do mnie całą szerokością, w ten sposób odrobił najpierw połowę, później dwie trzecie, a w końcu trzy czwarte odległości, jaka dzieliła mnie od niego. Widziałem fale biało kłębiące się pod jego dziobem. Z mej niskiej łódki wydawał mi się ogromnie wysoki.

Nagle zacząłem rozumieć sytuację. Nie miałem już czasu do namysłu - ledwo starczyło mi go na działanie i własne ocalenie. Znajdowałem się na grzbiecie jednej z fal, gdy żaglowiec opadał z sąsiedniej. Bukszpryt był tuż nad moją głową. Zerwałem się na równe nogi i podskoczyłem spychając łódź pod wodę. Jedną ręką złapałem się za bumkliwer, a nogą zaczepiłem się między sztag i bra-sę; gdy jeszcze tak wisiałem zasapany, tępe uderzenie dało mi znać, że statek zatopił i zmiażdżył łódkę i że już nieodwołalnie muszę pozostać na Hispanioli.

## Zrywam korsarską banderę

Zaledwie zdobyłem oparcie na bukszprycie, gdy rozpuszczony kliwer na innej linii załopotał i wzdał się z łoskotem podobnym do huku działa. Okręt wykonawszy zwrot zatrząsł się aż po sam kil, za chwilę jednak, gdy wzdymały się jeszcze inne żagle, kliwer znów zatrzepotał i obwisł nieruchomo.

Wstrząs ten omal nie stracił mnie w morze; nie tracąc wiele czasu przeczołgałem się wzdłuż bukszprytu i głową w przód stoczyłem się na pokład. Znalazłem się na nawietrznej stronie przedniego kasztelu, a grotżagiel, który jeszcze się wzdymał, zasłaniał przede mną sporą połać tylnego pokładu. Przed sobą nie widziałem żywej duszy. Deski, których nie zmywano od czasu buntu, były upstrzone licznymi śladami obłoconych stóp, a próżna butelka z ułamaną szyjką toczyła się jak żywa tam i z powrotem w szpygatach.

Naraz Hispaniola stanęła wprost pod wiatr. Kliwry znajdujące się poza mną zatrzeszczały głośno, ster zgrzytnął, cały okręt uniósł się zawrotnie i zatrząsł, w tej samej chwili grotreja przekrzywiła się, jedna z bras z turkotem przesunęła się w zbloczu, a oczom moim ukazała się osłonięta od wiatru część pokładu tylnego.

Spoczywali tam obaj strażnicy okrętu, bez wątpienia: człowiek w czerwonej szlafmicy leżał na wznak, sztywny jak drąg, z ramionami rozkrzyżowanymi na kształt krucyfiksu, pokazując zęby przez rozchylone wargi. Izrael Hands oparł się o burtę, z brodą na piersi, rozpostarłszy dłonie na pokładzie: jego twarz była pod opalenizną żółta jak gromnica.

Przez chwilę statek boczył się i stawał dęba jak narowisty koń. Żagle wzdymały się prężąc jedną brasę po drugiej; bumy kołysały się tam i sam, a maszt jęczał rozgłośnie. Co pewien czas nad burtą pojawiała się chmura mżących rozbryzgów, a żebra statku uderzały głucho o spiętrzone bałwany: o wiele cięższą przeprawę miał ten duży, olinowany okręt aniżeli moja domorośla, nieoceniona „topiduszka” spoczywająca już na dnie morza.

Za każdym podrygiem szonera człowiek w czerwonej szlafmicy kiwał się na wszystkie strony, przy czym - co straszliwie wyglądało - mimo tej niewygodnej pozycji ani jego postawa, ani też grymas wyszczerzonych zębów nie ulegały żadnej zmianie. Natomiast Hands za każdym wstrząsem zdawał się coraz bardziej zapadać w siebie i obsuwać na pokładzie; stopy jego ześlizgiwały się coraz niżej, tułów wciskał się w rufę, a twarz pomału nikła mi z oczu, aż w końcu nie widziałem już nic prócz jednego ucha i zwichrzonego kędziora bokobrodów.

Jednocześnie zauważyłem dokoła nich obu plamy czarnej krwi na deskach i zacząłem mieć pewność, że pozabijali się wzajemnie w pijackiej kłótni.

Długo przypatrywałem się im ze zdziwieniem. Naraz, w chwili gdy okręt zachowywał się spokojnie, Izrael Hands obrócił się w bok i z cichym jękiem przekręcił się z powrotem do pozycji, w której ujrzałem go przedtem. Jęk, który świadczył o bólu i śmiertelnym osłabieniu, oraz kurczowe rozwarcie szczęk poruszyły mi serce. Lecz gdy przypomniałem sobie rozmowę podsłuchaną w beczce od jabłek, cała litość we mnie zagasła.

Postąpiwszy kilka kroków doszedłem do grotmasztu.

- Jak się miewamy, panie Hands! - odezwałem się szyderczo. Łypnął ciężko oczyma i powiódł nimi wokoło, lecz był zanadto

nieprzytomny, by okazać zdziwienie. Zdobył się na wymamlanie tylko jednego słowa:

- Gorzałki!

Przyszło mi na myśl, że nie należy tracić czasu, więc wymijając bum, tatłający się po pokładzie, cofnąłem się i zszedłem po schodach do kajuty.

Przedstawił się tu mym oczom nieład, który trudno sobie wyobrazić. Wszystkie zamknięte schowki porozbijano w poszukiwa - 162 -

niu mapy. Na podłodze, gdzie ci grubianie zasiadali pić lub naradzać się po włóczędze wśród mokradeł wokół obozowiska, spoczywała gruba warstwa błota. Ściany, biało malowane i otoczone złoconą obwódką, splamione były odciskami brudnych rąk. Tuziny pustych flaszek zderzały się ze sobą po kątach za każdym poruszeniem okrętu. Jedna z książek medycznych doktora leżała otwarta na stole, a połowę jej kartek wydarto - pewno do zapalania fajek. Lampa wisząca pośrodku rzucała jeszcze wokoło przyćmione światło - zakopcona i brunatna jak glina.

Zszedłem do piwnicy. Wszystkie beczki były opróżnione, a koło nich leżała ogromna ilość wypitych butelek. Z pewnością odkąd rozpoczął się bunt ani jeden z tych ludzi nie był trzeźwy.

Myszkując wszędzie, znalazłem butelkę z odrobiną gorzałki dla Handsa; dla siebie wyszperałem trochę sucharów, nieco marynowanych owoców, wielką porcję rodzynków i kawał sera. Wyszedłem z tym na pokład, złożyłem własne zapasy za trzonem steru, daleko poza zasięgiem podsternika, udałem się do zbiornika wody i napiłem się do syta; potem dopiero, nie wcześniej, dałem Handsowi gorzałkę.

Wypił pewno z kwaterkę, zanim odjął flaszkę od ust.

- Ach, do kroćset! - odezwał się - Tego mi było trzeba! Siedziałem już w swoim kącie i wziąłem się do jedzenia.

- Ciężka rana? - zapytałem go. Chrząknął, a raczej zaszczekał.

- Gdyby ten doktor był na okręcie - wykrztusił - byłbym zdrów raz dwa, ale ja nie mam szczęścia, jak widzisz; taki to mój los! A co się tyczy tego niedołęgi, to już on trup na dobre! - dodał pokazując człowieka w czerwonej czapce. - To nie był marynarz. Gdzie mu tam! Ale skądęś ty się tu wziął?

- Mniejsza o to - odpowiedziałem - przybywam objąć okręt w swoje posiadanie, panie Hands, więc racz uważać mnie za swego kapitana i nie sprzeciwiać mi się w niczym.

Spojrzał na mnie dość kwaśno, lecz nic nie rzekł. Na policzki jego wrócił nikły rumieniec.

Mimo to łotr wciąż jeszcze wyglądał na bardzo chorego i wciąż jeszcze osuwał się bezwładnie w dół w miarę chybotania się okrętu.

- Przy sposobności zaznaczę - ciągnąłem dalej - że nie zgodzę się na barwy naszej bandery, panie Hands. Pan pozwoli, że strączę ją z masztu. Lepiej żadna niż ta.

Wyminąwszy znów jeden z bumów podbiegłem do fansznura, ściągnąłem w dół przeklętą czarną banderę i zrzuciłem ją z okrętu.

- Boże zachowaj króla! - zawołałem wymachując czapką. - Na pochybel kapitanowi Silverowi!

Hands popatrzył na mnie hardo i chytrze, trzymając przez cały czas brodę na piersi.

- Zdaje mi się - odezwał się na koniec - zdaje mi się, kapitanie Hawkins, że chcesz teraz dostać się do brzegu... Pozwól, że porozmawiamy...

- Owszem - odparłem - z całą chęcią, panie Hands. Proszę mówić.

I wzięłem się znów do jedzenia z wielkim apetytem.

- Ten człowiek - rozpoczął wskazując lekkim ruchem głowy zwłoki - nazywał się O'Brien... zakamieniały Irlandczyk. On i ja rozwinęliśmy żagle zamierzając poprowadzić okręt z powrotem. Otóż on już nieżywy... martwy jak kłoda. Nie wiem, kto teraz potrafi kierować statkiem. Wiadomo, ty tego nie potrafisz, chyba że ci udzielę wskazówek... Więc słuchaj, ty mi dasz jeść i pić... i jaką starą szmatę czy chustkę do przewiązania rany... ja zaś powiem ci, jak masz żeglować. W ten sposób skwitujemy się...

- Powiem ci jedno - odrzekłem. - Nie myślę wracać do przystani Kapitana Kidda. Chcę dostać się do Północnej Zatoczki i tam spokojnie wylądować.

- Aha, to ś ty, ptaszku, splatał nam tego figla! - krzyknął Hands. - Ale ja nie jestem takim skończonym durniem, za jakiego mnie masz! Mam oczy, a jakże. Próbowałem się stąd wydostać i nie udało mi się, a tyś mnie tu zwąchał. Północna Zatoczka? Owszem, nie mam już wyboru! Pomogę ci doprowadzić okręt do Doku Stracenia. Do kroćset! Zrobię to!

Słowa Handsa po trosze trafiły mi do przekonania. Zawarliśmy układ na poczekaniu. W ciągu trzech minut sprawiłem, że Hispa-niola płynęła bez trudności z wiatrem wzdłuż wybrzeża Wyspy Skarbów, mając nadzieję opłynięcia cypla północnego jeszcze przed południem i dotarcia przed przyborem wody do Zatoki Północnej, gdzie mogliśmy bezpiecznie przybić do brzegu i oczekiwać, aż odpływ pozwoli nam na wylądowanie.

Następnie przymocowałem zwrotnicę steru, zszedłem na dół do mego własnego kufra i wydobyłem miękką jedwabną chusteczkę otrzymaną od matki. Z moją pomocą Hands przewiązał sobie wielką krwawiącą ranę w udzie, a gdy coś niecoś przekąsił i wychylił ze dwa kieliszki wódki, począł w widoczny sposób nabierać sił, wyprostował się i usiadł; mówił głośniejszym i wyraźniejszym głosem, wyglądał pod każdym względem na zupełnie innego człowieka.

Wiatr sprzyjał nam zadziwiająco. Pędziliśmy z nim chyżo jak ptak; wybrzeże wyspy migało nam przed oczyma, a widok zmieniał się co chwilę. Niebawem minęliśmy wyżynę i przejeżdżaliśmy obok płaskiej, piaszczystej okolicy z rzadka usianej karłowatymi sosnami; niezadługo i ją pozostawiliśmy poza sobą i okrążyliśmy skaliste wzgórze, które stanowi zakończenie wyspy na północy.

Byłem niezwykle dumny z świeżo upieczonego dowództwa i rozkoszowałem się jasną, słoneczną pogodą oraz różnorodnością widoków na lądzie. Miałem teraz pod dostatkiem wody i różnych smakołyków, a sumienie, które poprzednio ostro mnie karmiło za samowolne oddalenie się, uspokoiło się wielkością zdobyczy. Myślałem, że nie potrzebuję się już niczego obawiać oprócz oczu podsternika, które drwiąco ścigały mnie po pokładzie, i dziwnego uśmiechu, który pojawiał się nieustannie na jego twarzy. Był to uśmiech, który miał w sobie sporo bólu i zmęczenia - uśmiech posępnego, starego człowieka, lecz oprócz tego była szczypta szyderstwa i jakby cień zdrady w jego rysach, gdy ustawicznie i przebiegle śledził mnie w trakcie mych czynności.



## Izrael Hands

Wiatr, który był na nasze usługi, skierował się obecnie na zachód, tak iż było tym łatwiej płynąć z północnowschodniego narożnika wyspy do wylotu Zatoki Północnej. Ponieważ jednak nie mogliśmy zarzucić kotwicy, a nie odważyliśmy się przybijać do brzegu, zanim przyplływ nie posunie się znacznie dalej, więc mieliśmy dość zbywającego czasu. Podsternik nauczył mnie, jak mam nastawić okręt; po wielu próbach powiodło mi się wykonać to zadanie. Siedliśmy w milczeniu, pożywając się.

- Kapitanie - przemówił ów wreszcie, zawsze z jednakowym niemiłym uśmiechem - tu leży mój towarzysz O'Brien; przypuszczam, że zechcesz zepchnąć go z okrętu. Na ogół nie jestem przesadny i nie mam nic przeciwko zostawieniu tego ścierwa, ale uważam, że nie jest dekoracyjny. Może ty to zrobisz?

- Nie mam dość sił na to i nie podejmę się tej roboty; niech sobie tu leży - odpowiedziałem.

- To nieszczęśliwy statek... ta Hispaniola, Jimie - ciągnął dalej, mrużąc oczy. - Moc ludzi na nim pozabijano, moc ludzi zginęło i przepadło, odkąd wsiedliśmy na okręt w Bristolu. Nie widziałem nigdy tak podłego niepowodzenia, dalibóg, nie. Oto był tutaj ten O'Brien, a teraz... nie żyje, prawda? No, ja jestem, człowiek nieuczony, a ty jesteś chłopcem, co to umie czytać i pisać; jak tobie się zdaje, czy człowiek umarły już umarł na zawsze, czy może znów ożyć?

- Możesz zabić ciało, panie Hands, ale nie duszę - odpowiedziałem - powinieneś to już widzieć. O'Brien znajduje się na tamtym świecie i może patrzy na nas.

- Ach, tak! - odezwał się na to. - O, to niedobrze... tak wygląda „, jakby zabijanie ludzi było trwonieniem czasu. Bądź co bądź, niewiele znaczą, o ile się przekonałem. Założę się o to z du-i, Jimie. A teraz, ponieważ tak swobodnie mówiłeś, więc będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli pójdziesz do kajuty i przyniesiesz mi... dobrze, cdo kroćset!... nie umiem tego nazwać... dobrze, więc przyniesiesz mi Butelkę wina, Jimie... ta wódka jest za mocna na moją głowę...

Niepewność i wahanie podsternika wydało mi się nader podejrzane, e; wcale nie uwierzyłem jego słowom, że woli wino niż gorzałkę. Cał<sup>^</sup>jt historia była tylko pretekstem. Chciał, ażebym opuścił pokład zrozumiałem; w jakim jednak celu, nie mogłem dociec żadną . Jego wzrok ani razu nie spotkał się z moim, lecz błąkał się na wszy/stkie strony w górę i w dół, to kierując się nagle ku niebu, to znów przelotnie spoczywając na zwłokach O'Briena. Przez cały czas powiernik uśmiechał się i wystawiał język w sposób złodziejski i jak<sup>^</sup>y zakłopotany, tak że dziecko nawet mogłoby powiedzieć, iż zair<sup>^</sup>yśła jakieś oszustwo. W każdym razie nie zawahałem się z od-po\\r'iedzią, gdyż widziałem, w czym mam przewagę, i że wobec tak głupiego chłopca z łatwością będę mógł ukrywać do końca swe pocj<sup>^</sup>ej rzenia.

- Trochę wina! - rzekłem. - Tym lepiej. Chcesz białego czy czerwonego?

- Eee! Nie jestem wybredny, kamracie - odpowiedział. - Byłe było mocne i dużo, to zresztą jest mi wszystko jedno!

- Doskonale - odparłem. - Przyniosę ci portugalskiego wina, parcie Hands! Muszę jednak dokopać się do niego.

^Rzekłszy to, z hałasem, na jaki tylko mnie było stać, zszedłem do kaj ,/ty. Stąd, zdejawszy obuwie, bez szelestu przebiegłem przez ciasny korytarz, wdrapałem się po drabinie kasztelu i wytknąłem głowę z kajuty przedniej. Wiedziałem, że me będzie się spodziewał tam mnie zobaczyć, mimo to powziąłem wszelkie możliwe środki ostrożności. I o t o najgorsze z mych podejrzeń okazały się aż nadto prawdziwe.

On powstał z poprzedniej pozycji, opierając się na rękach i kolanach, a chociaż przeszkadzała mu noga - która bolała go sną/lż dotkliwie, gdyż słyszałem, jak wydał głośny jęk, kiedy się szył - jednak kłapiąc całym ciałem włókł się po pokładzie.

W pół minuty przyczołgał się do szpygaty i wyciągnął ze zwoju sznurów długi nóż albo raczej krótki puginał, zbryzgany krwią po rękojeść. Przyglądał mu się przez chwilę, wysuwając naprzód dolną szczękę, spróbował ostrza na dłoni, a potem pośpiesznie chowając broń w zanadrze bluzy potoczył się z powrotem na dawne miejsce koło burty.

Było to wszystko, co chciałem wiedzieć. Oto Izrael mógł już się poruszać i był uzbrojony, a jeżeli z takim niepokojem starał się mnie oddalić, to nie ulegało wątpliwości, że nikt inny tylko ja miałem być jego ofiarą. Co zamierzał później uczynić - czy spróbowałby przeczolgać się na przelaj przez wyspę od Zatoki Północnej do obozowiska wśród moczarów, czy też wypaliłby ze śmigownicy ufając, że jego towarzysze przyjdą mu z pomocą - było dla mnie doprawdy zagadką.

Czułem jednak, że odkąd nasze interesy zbiegły się, mogłem mu dowierzać w jednej rzeczy, to jest w poleceniach odnoszących się do okrętu. Obaj niewątpliwie życzyliśmy sobie, żeby statek przybił do brzegu bezpiecznie, w miejscu zasłoniętym, i to tak, aby gdy nadejdzie sposobność, mógł znów popłynąć na pełne morze bez wielkich wysiłków i niebezpieczeństw. Dopóki to nie nastąpiło, mogłem na razie być spokojny o życie.

Układając sobie w głowie te zamysły, nie próżnowałem jednak. Wkradłem się znów do kajuty, nałożyłem z powrotem obuwie, porwałem na chybił trafił butelkę wina i trzymając ją w ręce na świadectwo ukazałem się znów na pokładzie.

Hands leżał, jak go pozostawiłem, cały zwinięty w kłębek, przymrużywszy oczy, jak gdyby był zbyt słaby, żeby znieść światło. Gdy wszakże nadbiegłem, podniósł oczy, zręcznie odtłukł szyjkę butelki - jak człowiek, który często to robił - i pociągnął tęgi łyk ze swym ulubionym toastem: „Na szczęście!” Przez chwilę potem leżał spokojnie, następnie wyciągnąwszy laseczkę tytoniu poprosił mnie, abym ukroił mu kawałek.

- Odetnij mi ociupinę, bo nie mam noża i jestem prawie bezsilny, ledwo, że się mogę ruszać. Oj, Jimie, Jimie, pono już kipnę! Utnij mi kawałek tytoniu, pewno już po raz ostatni w mym życiu, mój chłopcze... bo już pójdę do Abramka na kwaśne... Tak, nie myślę się!

- Dobrze, ukroję ci kawałek tytoniu, ale na twoim miejscu, gdybym czuł się tak źle, wziąłbym się do pacierza, jak przystoi na chrześcijanina.

- Dlaczego? - spytał ów. - Powiedz mi, dlaczego?

- Dlaczego? - zawołałem. - Pytasz mnie o to w obliczu śmierci! Zawiodłeś zaufanie, żyłeś w grzechu, kłamstwie i krwi; oto w tej chwili u stóp twych leży człowiek, którego zabiłeś, i jeszcze pytasz mnie, czemu? Proś Boga o łaskę, panie Hands!

Mówiłem z pewnym rozgorączkowaniem, myśląc o krwawym puginale, który on ukrył w kieszeni i przy którego pomocy zamierzał w swej złośliwości ze mną skończyć. On ze swej strony pociągnął znów sporo wina i zaczął przemawiać z niezwykle namaszczonej powagą:

- Przez trzydzieści lat żeglowałem po różnych morzach, widziałem ludzi dobrych i złych, znałem lepszego lub gorszego losu, przyjaznej i niepomyślnej pogody, wyczerpania żywności, walki na noże i nie wiedzieć czego jeszcze. Ale nigdy me widziałem, powiadam ci, żeby dobry dobrze wychodził na swej dobroci. Lubię tych, którzy atakują, umarli nie kłają; takie są moje poglądy. Amen, niech tak będzie. A teraz spojrzysz na tu - dodał zmieniając nagle ton - dość już o tych bzdurstwach! Przyływ jest akurat stosowny. Wypełnij moje polecenie, kapitanie Hawkins, a wjedziemy dobrze do przystani.

Prawdę powiedziawszy, mieliśmy tylko dwie mile do przebycia, lecz żegluga była dość skomplikowana, gdyż wjazd do przystani północnej był nie tylko ciasny i płytki, lecz rozchodził się na wschód i zachód, tak iż należało sprawnie kierować okrętem, by tam wjechać. Zdaje mi się, że byłem dobrym i ochoczym podkomendnym, a jestem pewny, że Hands był znakomitym pilotem, gdyż lawirowaliśmy tam i sam i wymijaliśmy mielizny z taką pewnością i dokładnością, że aż miło było patrzeć.

Zaledwie zdołaliśmy przebyć cieśninę, już byliśmy zamknięci wokoło lądem. Brzegi Zatoki Północnej były tak gęsto zalesione jak dokoła przystani południowej, lecz przestrzeń była dłuższa i węższa, podobna raczej do zalewu rzeczno-jeziornego, którym zresztą była w istocie. Na wprost przed sobą, na południowym krańcu zobaczyliśmy szczątki rozbitego okrętu w stanie ostatecznego rozkładu. Był to i niegdyś wielki statek o trzech masztach, lecz spoczywał tu tak dawno, wystawiony na działanie niepogody, że obwieszony był już wokoło wielkimi zwojami wilgotnych chwastów morskich, a na pokładzie zapuściły korzenie krzewy pobrzeżne, obsypane teraz właśnie gęstym kwieciem. Smutny to był widok, lecz wskazywał nam, że przystań jest spokojna.

- Popatrz no - rzekł Hands - jakie to rozkoszne miejsce do osadzenia okrętu! Piękny gładki piasek, nigdzie ani śladu żywej istoty, drzewa dokoła, a kwiaty rosną jak w ogrodzie na tym starym okręcie!

- A kiedy już przybijemy do lądu - pytałem - jak później ściągniemy okręt z powrotem?

- Ba, w ten sposób - odparł Hands - wyciągniesz na brzeg linę po tamtej stronie przy niskim stanie wody i okręcisz ją dokoła jednej z tych wielkich sosen, następnie przyciągniesz ją z powrotem, nawiniesz na kabestanie i czekać będziesz odpływu. Kiedy przyjdzie wielka woda, pociągniemy za linę i okręt obróci się gładko jak po maśle. A teraz, chłopcze, do pracy! Jesteśmy teraz w pobliżu ławicy i Hispaniola zanadto się ku niej kieruje. Trochę na prawo - tak - na wprost - na prawo - trochę na lewo - na wprost - na wprost!

Wydawał tak rozkazy, które spełniałem bez wytchnienia, aż nagle krzyknął:

- A teraz, kochasiu, z wiatrem!

Zatrzymałem ster, Hispaniola obróciła się szybko i pomknęła w prostym kierunku ku płaskiemu lesystemu wybrzeżu.

Podniecenie wywołane tymi manewrami osłabiło nieco czujność, z jaką dotychczas wytrwale śledziłem podsternika. Tak byłem wówczas zajęty przybijaniem okrętu do brzegu, iż zapomniałem zupełnie o niebezpieczeństwie wiszącym nad moją głową i przechyliłem się przez poręcz pokładu sterowego, przyglądając się falom rozchodzącym się daleko wszcz pod uderzeniem okrętu. Zginałbym nie broniąc nawet własnego życia, gdyby nie ogarnął mnie nagle niewyjaśniony niepokój, który kazał mi odwrócić głowę. Może usłyszałem jakieś skrzypnięcie lub kątem oka spostrzegłem jakiś poruszający się cień, może był to jak gdyby koci instykt - dość, że gdy obejrzałem się poza siebie, Hands z puginałem w prawej dłoni znajdował się w pół drogi do mnie.

Wykrzyknęliśmy obaj głośno, kiedy oczy nasze się spotkały, gdy jednak mój krzyk był przeraźliwym okrzykiem trwogi, to jego jak gdyby wściekłym porykiem rozjuszonego byka. W jednej chwili rzucił się naprzód, a ja uskoczyłem w bok ku burcie. Gdy to uczyniłem, wypuściłem z rąk rękojeść szturu, która odskoczyła raptownie w bok. Widać, że ocaliło mi życie, gdyż trzonek ugodził Handsa w żebra, oszołamiając go na chwilę.

Zanim zdołał oprzytomnieć, wydostałem się z kąta, do którego runie zapędził, okrążając cały pokład. Zatrzymałem się koło masztu głównego, wyciągnąłem królicę z kieszeni, wycelowałem z zimną Krwią, pomimo że zbój odwrócił się i zdążył znów prosto ku mnie, i pociągnąłem na cyngiel. Kurek spadł, lecz po nim nie nastąpił ani błysk, ani huk: proch był zupełnie nieużyteczny wskutek zamknięcia W wodzie morskiej. Przeklinałem sam siebie za swoje niedbalstwo. płaczę o wiele wcześniej nie podsypałem nowego prochu i nie nabiłem powtórnie broni? tnie byłbym, jak się stało obecnie, jedynie owieczką uciekającą przed rżnięciem rzeźnika.

Pomimo rany Hands mógł się poruszać z zadziwiająco szybkością; jego szpakowate włosy wichrzyły się nad twarzą zaczerwienioną z zapalczowości i pasji jak czerwony proporzec. Nie miałem czasu ani też, prawdę mówiąc, wielkiej ochoty na próbowanie drugiego pistoletu, gdyż byłem pewny, że nie zda się to na nic. Z jednej rzeczy tylko zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie powinienem cofać się po prostu przed nim, gdyż zatarasuje mnie przy burcie, jak o mało co nie zatarasował mnie na rufie. Jeszcze raz wpadnę w taką pułapkę (myślałem), a dziewięć- czy dziesięćocalowy puginał, zboczony Jerwią, położy kres memu życiu na tym świecie!... Oparłem się dłońmi o grotmaszt, który był sporej grubości, i oczekiwałem, mając każdy jierw \v naprężeniu...

Widząc, że zamierzam wymykać się, on również zatrzymał się. Przez pewien czas próbował mnie podejść, a ja uchylałem się odpowiednim poruszeniem. Było to coś w rodzaju gry, w którą często bawiłem się w domu na skałach Black Hill Cove, lecz nigdy przedtem, wiercie mi, nie biło mi serce tą trwogą jak w owej chwili. Lecz jak powiedziałem, była to zabawa chłopięca i sądziłem, że się w niej ostoję przeciw staremu już marynarzowi ze skaleczonym udem. Toteż odwaga moja zaczęła do tego stopnia wzrastać, że od czasu do czasu zabawiałem się dociekaniem, czym też się zakończy cała awantura. Wiedząc, że mogę długo tak się bawić, nie miałem jednak nadziei, iż uratuję

się ostatecznie.

Wśród tej dziwnej sytuacji naraz Hispaniola uderzyła o coś, zachwiała się i ugrzęzła na chwilę w piasku, następnie zaś z błyskawiczną szybkością przechyliła się na bok, tak iż pokład stanął pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a prawie cała beczka wody chlusnęła przez otwory, rozlewając wielką kałużę między pokładem a burzą.

Obaj w jednej chwili zwaliliśmy się z nóg i potoczyliśmy się niemal razem do szpygatów, a nieżywy człowiek w czerwonej szlafmicy, z rozkrzyżowanymi jeszcze ramionami, sztywnie potoczył się za nami. Byliśmy tak blisko siebie, że głowa moja zderzyła z obcasem podsternika, aż mi głośno zadzwoniły zęby. Jednym susem stanąłem znów pierwszy na nogach, gdyż Hands zaplątał się w ciało nieboszczyka. Nagłe przechylenie okrętu uniemożliwiło mi wymknięcie się, musiałem więc znaleźć inną drogę ucieczki, i to natychmiast, gdyż mój prześladowca już mnie prawie miał w ręku. Błyskawicznie jak myśl skoczyłem między liny bezanmasztu, wdzierając się na rękach coraz wyżej i nie odetchnąłem, póki nie usadowiłem się na rtfi.

Uratowałem się dzięki swej żwawości. Puginał uderzył o niecałe pół stopy pode mną, gdy wspinałem się w górę. Izrael Hands stanął z otwartymi ustami i twarzą zwróconą ku mojej - istny posąg zdziwienia i rozczarowania.

Korzystając z dogodnej dla mnie chwili, zmieniłem proch w króci-cy, następnie zaś, mając jedną broń gotową do strzału i chcąc być podwójnie zabezpieczony, wyciągnąłem nabój z drugiej i naładowałem ją na nowo.

Moje nowe zajęcie zbiło z tropu Handsa, gdyż pojął, że przyszła kreska na niego. Po widocznym wahaniu przywlókł się na koniec ciężko ku linom i trzymając puginał w zębach, począł powoli i z trudem wspinać się do góry. Wiele czasu i jęków kosztowało go wleczenie za sobą zranionej nogi, wobec czego spokojnie ukończyłem swe przygotowania, zanim przebył przeszło trzecią część drogi pod górę. Wtedy, trzymając pistolety w obu rękach, przemówiłem do niego:

- Jeszcze krok, panie Hands, a roztrzaskam ci mózgownicę! Ludzie umarli nie kłają, sam o tym wiesz - dodałem z chichotem.

Zatrzymał się od razu. Z gry jego twarzy poznałem, że starał się myśleć, ale proces myślowy postępował tak wolno i niesprawnie, że śmiałem się głośno w swej bezpiecznej kryjówce. W końcu, zadławiwszy się kilkakrotnie, zaczął mówić, a na twarzy miał wciąż jeszcze ten sam wyraz niebywałego zmieszania. Żeby móc się odezwać, musiał wyjąć z ust puginał, zresztą pozostał nieruchomy.

- Jimie! - powiedział. - Zdaje mi się, że i ty, i ja postąpiliśmy źle, więc powinniśmy zawrzeć układ. Chciałem cię użyć tylko do tej przeprawy. Ale nie mam szczęścia, nie... I zdaje mi się, że będę musiał walczyć, a - widzisz, że to ciężko takiemu staremu żeglarzowi... z takim chłopcem okrętowym jak ty, Jimie.

Wchłaniałem jego słowa i śmiałem się do rozpuku, czupurnie jak kogut na murku. Wtem zniecka ujrzałem jego prawicę podniesioną do góry. Coś warknęło w powietrzu jak strzała.

Poczułem uderzenie, a następnie ostry ból i spostrzegłem, że coś mnie przygwoździło za ramię do masztu. Podczas strasznego bólu i oszołomienia owej chwili, nie mogę powiedzieć, czy stało się to z mojej woli, a jestem pewny, że nie celowałem świadomie, oba moje pistolety wypaliły i wypadły mi z rąk. Lecz upadły nie same. Podsternik, wydawszy stłumiony okrzyk, wypuścił z garści linę i głową na dół plusnął w wodę.

## „Talary! Talary!”

Wskutek przechylenia okrętu maszty sterczały daleko nad wodą, tak iż ze swego stanowiska na poprzecznicy nie widziałem pod sobą nic oprócz powierzchni zatoki. Hands, który nie wdrapał się tak wysoko, był oczywiście bliżej okrętu i spadł pomiędzy mną a burtą. Wydostał się jeszcze raz na powierzchnię, ociekając pianą i krwią, a potem pogąrzył się już na zawsze. Gdy woda się wygładziła, zobaczyłem, jak leżał skurczony na czystym, jasnym piasku w cieniu boków statku. Kilka ryb uwijało się przy jego zwłokach. Niekiedy podczas wstrząśnień wody zdawało się, że trup się nieco porusza, jak gdyby usiłując powstać. Jednakże podsternik nie żył już na pewno, przestrzelony i zatopiony jednocześnie, i stał się pastwą ryb w tym samym miejscu, w którym usiłował mnie zabić.

Zanim jednak doszedłem do tej świadomości, dał mi się we znaki ból, wycieńczenie i przerażenie. Gorąca krew spływała mi po plecach i po piersi. W miejscu gdzie puginał przygwoździł mnie do maszty, ramię piekło mnie jak rozpalonym żelazem. Lecz te istotne cierpienia nie były moją największą udręką, gdyż mniemałem, że potrafię je znieść bez skargi. O wiele więcej lękałem się, że spadnę z wierzchołka maszty w tę cichą, zieloną wodę i spocznę na dnie, obok ciała podsternka.

Wpiłem się oburącz w drewno, aż uczułem ból pod paznokciami, i zamknąłem oczy, jak gdybym chciał zasłonić przed sobą niebezpieczeństwo. Z wolna odzyskałem zmysły, tętna moje poczęły bić równomiernie i zapanowałem nad sobą.

Pierwszą mą myślą było wyrwać puginał z ciała. Lecz albo ostrze utkwilo zbyt silnie, albo też siły mnie zawiodły, gdyż poniechałem tego, przejęty gwałtownym dreszczem. Rzecz szczególna, że ten dreszcz uczynił swoje. Sztylet bowiem ugodził był mnie w ten sposób, że niewiele brakowało, by chybił; trzymał się tylko na skrawku skóry, dreszcz wyrwał go zupełnie. Oczywiście krew popłynęła tym obficie, lecz stałem się już panem siebie i jedynie za surdut i koszulę przyczepiony byłem do maszty.

Jednym szarpnięciem zerwałem tę ostatnią przeszkodę i po sztaku zszedłem znów na pokład. Pomimo całego wstrząsu nie wróciłbym za nic w świecie po zwieszającej się wancie, z której tak niedawno runął w morze Izrael.

Zszedłem w dół i opatrzyłem ranę, jak umiałem. Bolała mnie ona dotkliwie i wciąż jeszcze krwawiła obficie, lecz nie była ani głęboka, ani niebezpieczna i nie ocierała się bardzo, gdy poruszałem ramieniem. Następnie rozejrzałem się dokoła, a że okręt stał się obecnie niejako moją własnością, począłem przemyśliwać nad sposobami pozbycia się ostatniego pasażera - nieżywego O'Briena.

Jak wspomniałem, zatoczył się on do burty, pod którą leżał niby szpetna i niezgrabna kukła - wielkości żyjącego człowieka, lecz jakże daleki od barwy i powabu życia! W tej pozycji łatwo przyszło mi się z nim uporać, ponieważ zaś nawyk tragicznych przeżyć zatarł we mnie wszelką odrazę do śmierci, ująłem go wpół, jakby to był wór z otrębami, i za jednym zamachem strąciłem go z okrętu. Z głośnym pluskiem poszedł na dno, jedynie czerwona czapka zsunęła mu się z głowy i bujała na powierzchni wody. Gdy wzburzona toń zablżyła się, ujrzałem jego i Izraela leżących jeden obok drugiego, obu poruszanych chwiejnym kołysaniem się wody. O'Brien, choć był jeszcze

wcale młody, miał sporą łysinę; spoczywał ułożwszy łusą głowę na kolanach człowieka, który go zabił, a zwinne ryby przewijały się tam i sam nad oboma.

Byłem teraz samiutki na okręcie: właśnie rozpoczął się odpływ. Słońce skłoniło się już tak nisko, że cienie sosen na zachodnim brzegu stały się pomostem przez całą szerokość przystani i rysowały wzorki na pokładzie. Wieczorny wiatr ruszył od morza, a choć zaporę dlań tworzył dwuwierzchołkowy wzgórek na wschodzie, to jednak liny poczęły z cicha poświstywać, a nieczynne żagle zaszeleściły tu i ówdzie.

Pomiarkowałem, że okrętowi grozi niebezpieczeństwo. Po»spiesz- ,t nie zwinąłem kliwry i byle jak ściągnąłem je na pokład, gorsza ssprawa | jednak była z grotżaglem. Gdy bowiem okręt się przechylili, bom; żaglowy wysunął się poza jego obręb, a nasada oraz kilka łokci żagla | zanurzyły się pod wodę. Myślałem, że to samo powiększa jeszcze | niebezpieczeństwo; co więcej, lina była tak ciężka, iż omal lękałem się i pod nią podchodzić. W końcu dobyłem noża i przeciąłem liny podtrzymujące żagiel. Wierzchołek opadł nagle, a wielka -wzdęta |J płachta luźnego żagla rozpostarła się szeroko na wodzie: na nic się już J nie zdały wszystkie zabiegi, by ściągnąć go z powrotem. Tyle tylko, mogłem zdziałać. Odtąd już Hispaniola, podobnie jak ja, rmusiła ! zawierzyć własnemu szczęściu.

Tymczasem cała przystań osnuła się cieniem. Ostatnie prcomienie ( słoneczne - pomnę jak dziś - przenikały przez leśną polarne i połyskiwały jasno jak drogie kamienie na kwiecistej oponie rozbitego statku. Zaczęło się robić chłodno; odpływ zdązał gwałtownie w stronę morza, a szoner coraz to więcej i więcej przechylał się na book.

Wygramoliłem się naprzód i rozejrzałem się wokoło. Zdawało mi się, że jest dość płytko, więc na wszelki wypadek oburącz trzymając uciętą cumę, zsunąłem się ostrożnie z burty. Woda sięgała mi zaledwie pasa, piasek był twardy i pomarszczony od fal, brnąłem do brzegu bardzo odważnie, pozostawiając Hispaniolę obaloną na bok, z płachtą żagla szeroko zalegającą powierzchnię zatoki. Mniej więcejj w tym czasie słońce zaszło zupełnie, a wiatr szeleścił nieznacznie w pomroce pośród rozchybotanych sosen.

A więc nareszcie rozstawałem się z morzem, a nie wracałem m też z pustymi rękoma. Tam leżał szoner oczyszczony nareszcie z piratów oraz przysposobiony dla naszych ludzi do wsiadania i powtórnej żeglugi. Nie miałem w tej chwili gorętszego pragnienia nad to, by powrócić do warowni i pochłubić się swymi czynami. Może oczekiwała mnie nagana za włóczęgostwo, lecz zdobycie Hispanioli było odpowiedzią dostatecznie usprawiedliwiająca na każdy zarzut i spodziewałem się, iż sam kapitan Smollet przyzna, że nie zmarnowałem czasu..

Tak rozmyślając i ożywiony dobrą otuchą, zacząłem kierować się ku stancy i moim druhom. Pamiętałem, że najbardziej na wschód płynąca rzeczka spośród tych, które wpadają do przystani Kapitana Kidda, wypływa ze wzgórza o dwóch wierzchołkach po mej lewej ręce, zwróciłem więc kroki w tę stronę, w której mogłem przejść rzeczulkę, jako że była tam jeszcze niegłęboka. Las był nader przejrzysty, teraz idąc wzdłuż skraju podnóża okrążyłem niebawem załom wzgóрка i niedługo potem przebrnąłem nie sięgającą mi do kolan strugę.

W ten sposób znalazłem się w pobliżu tego miejsca, w którym spotkałem był „marona” Ben



Gunna. Odtąd szedłem uważniej, rozglądając się na wszystkie strony. Ciemność była wprost jakby dotykalna, a gdy spojrzałem na rozpadlinę między dwoma wierzchołkami, dostrzegłem ogień migocący na tle nieba. Nasunęło mi się przypuszczenie, że to nasz wyspiarz gotował sobie wieczerzę na buzującym ognisku, i zdumiałem się w głębi serca, że ten człowiek jest na tyle nieostrożny. Przecież jeżeli ja dostrzegałem ów blask, to czyż mógł on ujść wzroku samego Silvera, który obozował na wybrzeżu pośród trzęsawisk?

Stopniowo noc stawała się coraz czarniejsza, więc czyniłem, co było w mej mocy, by choć z największymi trudnościami przedostać się do miejsca przeznaczenia. Rozdwojony wzgórek oraz szczyt Lunety po mej prawicy stawały się coraz mniej wyraźne, gwiazdy były blade i nieliczne, a w wądołach, przez które przechodziłem, potykałem się ustawicznie o krzaki i staczałem się po usypiskach piaskowych.

Naraz oblała mnie jakaś światłość. Spojrzałem w górę: blade blask promieni księżycowych zajaśniał na szczycie Lunety, a wkrótce potem ujrzałem coś szerokiego i srebrzystego, co podnosiło się z wolna spoza drzew - poznałem, że wschodzi księżyc.

Przy jego świetle przebyłem pośpiesznie tę część drogi, jaka pozostawała jeszcze przede mną. To idąc, to znów biegnąc zbliżałem się z niecierpliwością do warowni. Wszakże gdy zacząłem przedzierać się przez gąszcze, które opasują ją, miałem tyle równowagi, że zwolniłem kroku i szedłem z niejaką ostrożnością. Byłby to zaiste fatalny koniec mych przygód, gdyby miał mnie przez omyłkę zastrzelić ktoś z mej własnej kompanii!

Księżyc wznosił się wciąż wyżej i wyżej, a jego blask począł słać się tu i ówdzie płatami wśród bardziej odsłoniętych połaci lasu. Wprosi przede mną pojawił się między drzewami odbłysek odmiennej barwy. Był on czerwony i jaskrawy, a od czasu do czasu nieco przygasał, jak gdyby to było przysypane popiołem zarzewie wielkiej sobótki. Jak mi życie miłe, nie mogłem odgadnąć, co to było takiego.

Wreszcie doszedłem do samej krawędzi wyrębu. Zachodni kraniec był już zalany światłem miesiąca, reszta, między innymi i sama warownia, pogrążona była w mrocznym cieniu przekreślonym tu i ówdzie podłużnymi smugami srebrzystej poświaty. Z jednej strony domu dopalało się ognisko przyświecając jasno i rzucając nieustannie czerwone odbłyski, które silnie kontrastowały z łagodną bladeścią księżyca. Nie było żywej duszy, nie było słyhać najmniejszego szmeru oprócz szumu wiatru.

Zatrzymałem się, przejęty zdziwieniem, a może trochę i obawą. Nie było naszym zwyczajem zakładać duże ogniska, gdyż według rozporządzenia kapitana oszczędzaliśmy paliwa, zacząłem się więc obawiać, że zaszło coś niedobrego podczas mej nieobecności.

Przekradłem się koło wschodniego narożnika, trzymając się cały czas w cieniu, a w dogodnym miejscu, gdzie mrok był najgęstszy, przelazłem przez palisadę.

Dla wszelkiej pewności stanąłem na czworakach i poczołgałem się bez szelestu do węgła domu. Gdy podszedłem bliżej, nagle uczułem w sercu wielką ulgę. Chrapanie samo przez się nie jest przyjemnym odgłosem i często kiedy indziej uskarżałem się na nie, lecz w owej chwili wydało mi

się, że słyszę muzykę, gdy doszło do mych uszu głośne i spokojne chrapanie śpiących mych przyjaciół. Okrzyk straży nocnej na okręcie, owe przemiłe słowa: „Wszystko w porządku!” nie podziałały na mnie nigdy bardziej uspokajająco.

Na razie jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: pełniono tu wartość haniebnie opieszale. Gdyby tak Silver ze swymi drapichrustami podkraść się pod ich stanowisko, żywa dusza nie doczekałaby brzasku dnia. Otóż, co się dzieje (myślałem sobie) gdy kapitan jest raniony!

I począłem znów robić sobie surowe wyrzuty za opuszczenie ich w takim niebezpieczeństwie, gdy było za mało ludzi do zaciągania straży.

Dotarłszy do drzwi podniosłem się na równe nogi. Wewnątrz było ciemno, tak że choć oko wykol, nic nie mogłem rozeznąć. Słuchem wyróżniałem za to nieprzerwany pomruk chrapiących i jakiś cichszy, z rzadka powtarzający się odgłos jakby trzepotania się czy dziobania, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć.

Wyciągnąwszy ręce przed siebie szedłem po omacku wciąż naprzód.

- Położę się na swoim miejscu - myślałem sobie śmiejąc się w duchu - i ubawię się widokiem ich twarzy, gdy odnajdą mnie rano.

Posuwając się zawadziłem o coś stopą - była to noga jednego ze śpiących; ów przewrócił się i stęknął, lecz się nie obudził.

Wtem zupełnie nieoczekiwanie z głębi ciemności wybuchnął przeraźliwy głos:

- Talary! Talary! Talary! Talary! Talary! - i tak dalej, bez przerwy i odmiany, niby klekotanie młynka.

Kapitan Flint, zielona papuga Silvera! Ją to poprzednio słyszałem dziobiącą kawałek kory. Ona to teraz strażując lepiej niż jakakolwiek istota ludzka, oznajmiła swym jednostajnym refrenem moje przybycie.

Nie zdążyłem już ochłonąć. Na ostry, przeraźliwy krzyk papugi śpiący zbudzili się i porwali z miejsca. Rozległo się siarczyste przekleństwo i głos Silvera:

- Kto idzie?

Zwróciłem się do ucieczki, ale zderzyłem się gwałtownie z jakąś osobą, odbiłem się i wpadłem prosto w objęcia drugiej, która z swej strony zwarła ramiona i uchwyciła mnie jak w kleszcze.

- Przyniesź żagiew, Dicku - rzekł Silver. Byłem pojmany.

Jeden z ludzi opuścił stanicę i za chwilę wrócił z płonąącym łuczywem.

**Część Szósta**

**KAPITAN SILVER**

## W obozie nieprzyjacielskim

Czerwony blask gorejącej głowni oświecając wnętrze stancy pozwolił mi osądzić, że sprawdziły się najgorsze moje przypuszczenia. Piraci zawładnęli domem i zapasami; stała tu jak poprzednio beczka koniaku, gdzie indziej zaś wędlna i chleb, co zaś dziesięciokrotnie powiększało moje przerażenie, nie było ani śladu jakiegokolwiek jeńca. Mogłem jedynie przypuszczać, że wszyscy zginęli, a serce gorzko mi wyrzucało, że mnie tu nie było, by zginąć wraz z nimi.

Było tam wszystkiego sześciu rozbójników, bo poza tym ani jeden z nich nie pozostał już przy życiu. Pięciu z nich stało na nogach, a byli czerwoni i opuchnięci, zniecka wybici z pierwszego, pijackiego snu. Szósty uniósł się tylko na łokciach: był trupioblady, a nasiąkła krwią przewiązka dokoła jego głowy świadczyła, że niedawno został raniony, a znacznie później go opatrzone. Przypomniałem sobie człowieka, który otrzymał postrzał podczas wielkiego starcia i zbiegł pomiędzy drzewa; nie wątpiłem, że to ten sam.

Papuga usiadła na ramieniu Długiego Johna czyszcząc sobie pióra. Sam jej właściciel, jak odniosłem wrażenie, wydawał się nieco bledszy i poważniejszy niż zazwyczaj go widywałem. Odziany był jeszcze w piękny garnitur z grubego sukna, w którym sprawował swe poselstwo, ale to jego ubranie wyglądało teraz znacznie gorzej, powalane gliną i porozdzierane na cierniach leśnych.

- Ho! Ho! - odezwał się. - To Jim Hawkins! Niech mnie piorun spali! Złapał się ptaszek, zdaje się, he? No, chodź, pogawędzimy sobie po przyjacielsku.

To rzekłszy usiadł okrakiem na beczce wódki i począł nabijać fajkę.

- Pozwól no tu łuczywo, Dicku - przemówił, a gdy miał już dość światła, dodał:

- Wystarczy, chłopcze, zatknij tę szczapę w stos drzewa, a wy, mości panowie, usiądźcie! Nie macie potrzeby wstawać przed panem Hawkinsem; on wam to daruje, bądźcie tego pewni. A więc, Jimie - tu wyjął z ust fajkę - jesteś tu! Sprawileś nader miłą niespodziankę biednemu staremu Johnowi. Poznałem, że jesteś sprytny, już wtedy, gdy pierwszy raz spojrzałem na ciebie, ale to, co tu widzę, przechodzi wszelkie moje oczekiwania.

Na wszystko to, jak łatwo się domyślić, nie dawałem żadnej odpowiedzi. Oni ustawili mnie plecami do ściany i stałem tak, patrząc Silverowi w twarz z wielką na oko odwagą, lecz z czarną rozpaczą w duszy.

Silver z wielką powagą pociągnął kilkakroć z fajki, a potem mówił znowu:

- Widzisz, Jimie, ponieważ jesteś tu, dam ci jedną radę: zawsze cię lubiłem, tak jest, lubiłem jako dzielnego chłopca i jako mój własny obraz z czasów, gdy byłem sam młody i piękny. Zawsze chciałem, żebyś się do nas przyłączył, wziął swoją część i umarł jako wielki pan... a teraz, mój ptasiu, będzie musiał. Kapitan Smollet jest doskonałym marynarzem, jak o tym przekonywałem się z każdym dniem, ale ma twardą rękę i lubi karność. „Obowiązek to obowiązek” - powiada - i ma słuszność. Teraz ty uciekłeś od kapitana. Sam doktor ma z tobą na pieńku; powiadał: „Niewdzięczny

nicpoń” kiedy wspominał ciebie. Krótko mówiąc, cała historia tak się mniej więcej przedstawia: nie możesz już wracać tam, gdziebyś chciał, bo oni ciebie nie chcą. Zanim więc wyruszysz z trzecią drużyną okrętową na własną już rękę, a może sam jeden, musisz wprawdzie zawrzeć sojusz z kapitanem Silverem.

Jak dotąd, wszystko przedstawiało się dobrze. Zatem moi druhowie żyli, a choć częściowo wierzyłem w prawdziwość zapewnień Silvera, że grupa „kajutowa” była na mnie rozjątrzona za oddalenie się, jednakże to, co usłyszałem, raczej mnie pocieszyło, niż przygnębiło.

- Nie wspomnę ci już o tym, że jesteś w naszych rękach - mówił dalej Silver - chociaż mamy cię w garści, możesz być tego pewny! Będę starał się przemówić ci do rozumu; nigdy nie widziałem, żeby coś dobrego wyszło z pogroźek. Jeżeli ci się podoba służba u nas, to dobrze, przystań do mnie! A jeżeli nie, to masz, Jimie, prawo szczerze odmówić. Z całą chęcią cię słucham, kamracie. Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli kiedy jakikolwiek żeglarz był bardziej uprzejmy ode mnie!

- Czy mam odpowiedzieć na to wszystko? - zapytałem bardzo drżącym głosem. Mimo całego pochlebstwa i poufałości w jego gawędzie, czułem grozę śmierci, która wisiała nade mną, i policzki mi gorzały, a serce biło boleśnie w piersiach.

- Chłopcze - odparł Silver - nikt cię nie nagli. Zastanów się. Nikt z nas nie pogania cię, żebyś się śpieszył, przyjacielu. Czas płynie tak miło w twoim towarzystwie, sam widzisz.

- Dobrze - odpowiedziałem nabierając nieco śmiałości. - Jeżeli mam wybierać, oświadczam, że mam prawo przekonać się, co i jak się to stało, skądęście wy tu się wzięli i gdzie są moi przyjaciele.

- Co i jak się stało? - powtórzył jeden ze zbójców mruknawszy coś pod nosem. - Ależ on się ucieszy, kiedy się o tym dowie!

- Może będziesz trzymał język za zębami, póki do ciebie nie gadają, mój przyjacielu - krzyknął Silver opryskliwie na niego, następnie zaś tonem uprzejmym jak przedtem odpowiedział mi:

- Wczoraj rano, panie Hawkins, w porze psiej warugi\* przybył do nas doktor Livesey z białą chorągwią i prawi: „Kapitanie Silver, jesteście zdradzeni. Okręt odpłynął”. Otóż my akurat wtedy wzięliśmy się do kieliszka i przepijając do siebie śpiewaliśmy sobie. Nie przeczę, że tak było. Dość, że nikt z nas nie miał się na baczości. W pewnej chwili patrzymy, aż tu, do pioruna! Stary okręt gdzieś odpłynął. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego zbarania pomiędzy żeglarską gromadą, a powiadam ci, że „sam najgorzej zbaraniałem. „Dobrze - mówi doktor - zawrzyjmy układ”. Zawarłem więc z nimi układ i oto my teraz jesteśmy tutaj panami placu.

Dyżur okrętowy, po 12-tej godz. w nocy.

Zapasy, wódka, warownia, opał, który byli dowcipni narąbać, słowem cały (że tak powiem) rozkoszny statek od najwyższych wiązań aż po kil do nas teraz należy. Oni zaś gdzieś drapnęli i sam nie wiem, gdzie teraz przebywają.

Pociągnął znów spokojnie z fajki.

- A żebyś sobie nie myślał - ciągnął dalej - że o tobie była umowa w układzie, to powiem ci, jakie były ostatnie słowa: „Ilu was mam przepuścić?” - zapytałem. - „Czterech - odpowiedział doktor - czterech, z których jeden raniony. Co zaś się tyczy tego chłopca, to nie wiem, gdzie on się podziewa, więc mniejsza o niego (tak powiedział). Nie troszczę się o niego. Mamy go dość!”. Takie były jego słowa.

- Czy to wszystko?

- Tak, to wszystko, co miałeś usłyszeć, mój synku - odrzekł Silver.

- A teraz, czy mam wybierać?

- A teraz masz wybierać, a jakże! - oświadczył Silver.

- Dobrze - odrzekłem - nie jestem tak głupi, żebym nie wiedział dobrze, jak się mam na to zapatrywać. Niech się stanie, co się stać może najgorszego, mało mnie to wzrusza. Zbyt wiele razy oglądałem śmierć, odkąd poznałem się z tobą. Mam ci jednak kilka rzeczy do powiedzenia (w tej chwili byłem bardzo podniecony), przede wszystkim zaś to: wpadłeś teraz w ciężkie opaty, straciłeś okręt, skarb i ludzi, całe twoje przedsięwzięcie poszło na marne. Może chcesz wiedzieć, kto tego wszystkiego dokonał? Odpowiem ci - to ja! Ja to byłem w beczce od jabłek tej nocy, kiedyśmy ujrzeli ład, i słyszałem ciebie, Johnie, i ciebie, Dicku Johnsonie, i Handsa, który teraz leży na dnie morza; a zanim przeszła godzina, zameldowałem każde słowo, któreście mówili. Ja to również odciąłem cumę szonera i ja pozabijałem ludzi, których zostawiliście na pokładzie, i ja zaprowadziłem okręt tam, gdzie ani ty, ani żaden z was już go nigdy nie zobaczy. Mogę śmiać się z was, bo od początku byłem w tej sprawie górą i nie boję się was więcej niż muchy. Zabij mnie, Johnie Silverze, albo oszczędź, jak ci się podoba. Ale powiem ci jedną rzecz, nie więcej: jeżeli mnie oszczędzicie, wtedy to, co przeszło, będzie wam zapomniane, a kiedy zaniechacie rozbojów, wtedy, kamraci, ocalę, kogo będę mógł spośród was! Do was należy wybór. Zabijajcie bliźnich i samym sobie wyrządzajcie szkodę albo też oszczędźcie mnie, a otrzymacie poręczenie, które ocali was od szubienicy!

Przerwałem, gdyż, powiadam wam, zabrakło mi tchu w piersi. Ku memu zdziwieniu, żaden z nich się nie poruszył, lecz siedzieli wlepiwszy we mnie oczy jak trzoda owiec. A gdy jeszcze się tak gapili, podjąłem znów:

- A teraz, panie Silver, ponieważ uważam cię za najtęższego człowieka w tej oto gromadzie, więc jeżeli moja sprawa przyjmie najgorszy obrót, będę cię prosił, żebyś był łaskaw powiadomić doktora.

- Będę o tym pamiętał - rzekł Silver z tak dziwnym odcieniem głosu, że jak mi życie miłe, nie mogłem rozstrzygnąć, czy śmiał się z mej prośby, czy też był życzliwie nastrojony moją odwagą.

- Jedno mam jeszcze do dodania - zawołał stary marynarz o mahoniowej twarzy, nazwiskiem Morgan, którego widziałem niegdyś w karczmie Długiego Johna koło bulwarów w Bristolu. - To on poznał Czarnego Psa.

- Dobrze, słuchaj jeszcze - dodał kucharz okrętowy. - Ja ci powiem jeszcze coś innego, do pioruna! To jest ten sam chłopak, który wycygnął mapę od Billa Bonesa. Słowem, rozbiliśmy się na Jimie Hawkinsie, jak na rafie... i to we wszystkim!

- Więc niech ginie! - rzekł Morgan zakławszy i wyciągając nóż podskoczył raźnie, jakby miał dwadzieścia lat.

- Wara! - krzyknął Silver. - Kimże ty jesteś, Tomaszu Morganie? Może sądzisz, że ty jesteś tu kapitanem, co? Nauczę cię moresu, do kroćset! Spróbuj okazać się nieposłuszny, a pójdziesz tam, gdzie już wielu tęgich ludzi poszło przed tobą, od pierwszego do ostatniego, w ciągu tych trzydziestu lat. Jedni skończyli na rejach, inni zrzućeni za burtę do morza, a wszyscy poszli rybom na żer! Jeszcze nie było takiego człowieka, który by śmiał skakać mi do oczu i dobrze na tym wyszedł, możesz być tego pewny, Tomaszu Morganie!

Morgan stanął jak wryty, lecz wśród innych wszczęło się głucho szemranie.

- Tom ma słuszość - rzekł jeden.

- Już dość długo gnębił mnie jeden tyran - dodał drugi.

- Niech mnie powieszą, jeżeli ty masz mnie jeszcze gnębić, Johnie Silverze.

- Czy który z was, mości panowie, życzy sobie mieć ze mną do czynienia? - ryknął Silver wychylając się daleko w przód ze swej beczki i trzymając w prawej ręce jeszcze żarzącą się fajeczkę.

- Powiedźcie wyraźnie, o co wam idzie, nie jesteście chyba głuchoniemi, jak sądzę. Ten, który czegoś żąda, dostanie, co mu się należy. Tyle lat żyję na świecie, a jakaś tam kufa rumu będzie mi pod koniec życia stawać okoniem? Znacie na to sposób; jesteście przecie, jak się wam wydaje, „panami szczęścia”. Dobrze; jestem gotów! Kto się ośmiela, niech weźmie kordelas do ręki, a zobaczą kolor jego gnatów i bebechów, zanim ta fajka będzie próżna.

Nikt się nie ruszał, nikt nie odpowiadał.

- Tacy to jesteście? - mówił znów Silver wkładając fajkę do ust.

- Oho! Aż miło na was patrzeć, no, no! Do walki żaden z was się nie pali. Ale może rozumiecie angielszczyznę jegomości króla Jerzego? Jestem waszym kapitanem z wyboru. Jestem waszym kapitanem, gdyż na wiele mil morskich wokoło jestem najlepszym marynarzem. Nie chcecie walczyć, jak przystało na „panów szczęścia”, więc do pioruna, macie słuchać, a jakże! Ten chłopak niezmiernie przypadł mi do serca. Nigdy nie widziałem lepszego chłopca nad niego! Jest on bardziej mężczyzną aniżeli dwóch takich jak wy, szczury przebrzydłe! A to wam jeszcze powiadam: niech no ujrzą, że ktoś z was tknie go choć palcem! Tyle wam powiadani, a jakże!...

Nastąpiła długa chwila ciszy. Stałem przy ścianie wyprostowany jak struna. Serce biło we mnie jak młot kowalski, lecz w głębi mej duszy świtać począł promyk nadziei. Silver oparł się o ścianę, założywszy ręce i trzymając fajkę w kącie ust, tak spokojnie, jak gdyby znajdował się w kościele,

lecz oko jego błądziło wciąż, ukradkiem spoglądając z ukosa na niesfornych towarzyszy. Oni ze swej strony coraz bardziej skupiali się w najdalszym kącie stancy, a cichy szept ich rozmowy rozbrzmiewał nieprzerwanie w mym uchu jak szmer potoku. Jeden po drugim podnosił oczy, a czerwony blask główni padał przelotnie na ich nerwowe twarze; spoglądali jednak nie na mnie, lecz na Silvera. V

- Zdaje mi się, że chcecie mi coś powiedzieć - zauważył Silver splunawszy daleko przed siebie.

- Wyśpiewajcie wszystko, niech no usłyszę, albo dajcie sobie spokój.

- Przepraszam, mości panie - odparł jeden z nich. - Znadto samowolnie sobie poczynasz w stosunku do naszych spraw; może będziesz łaskaw być ostrożniejszy na przyszłość. Ci oto ludzie są niezadowoleni; ci oto ludzie nie pozwolą, ażeby im w kaszę dmuchać; ci oto ludzie mają prawa na równi z innymi załogami, powiem ci otwarcie, a według naszych własnych praw, jak sądzę, możemy z sobą porozmawiać. Przepraszam cię, panie (uznając cię na razie za kapitana), lecz domagam się swego prawa i wychodzę na naradę.

I złożywszy przesadny ukłon marynarski ów drab, rosły mężczyzna lat trzydziestu pięciu, o chorowitym wyglądzie i żółtawych oczach, ruszył spokojnie do drzwi i zniknął poza domem. Reszta poszła kolejno za jego przykładem, a każdy przechodząc oddawał ukłon i mówił coś na swoje usprawiedliwienie.

- Według prawa - rzekł jeden.

- Narada kasztelu! - oznajmił Morgan.

I tak bez żadnych uwag wymaszerowali wszyscy jeden za drugim, zostawiając Silvera i mnie samych przy łuczywie. Kucharz wyjął naraz fajkę z ust.

- Popatrz no, Jimie Hawkinsie - odezwał się spokojnie, ledwo 'dosłyszalnym szeptem - byłeś już o pół piędzi od śmierci i co gorsza od tortur. Oni mają zamiar mnie obalić, lecz zakarbuj sobie w pamięci, ja będę stał przy tobie, cokolwiek nas spotka! Nie miałem takiego zamiaru, nie... aż dopiero, kiedy ty przemówiłeś. Byłem prawie zrozpaczony, że straciłem tak wiele i że zostałem zmuszony do układów. Ale widzę, że z ciebie zuch nie lada! Powiedziałem sobie: Johnie, stań przy Hawkinsie, a Hawkins stanie przy tobie! Ty jesteś, Johnie, ostatnią jego kartą, a on twoją, do jasnego pioruna! Wet za wet, powiadam sobie. Ocalisz swego świadka, a on ocali twoją szyję! Zacząłem jak przez mgłę domyślać się, o co chodzi.

- Myślisz, że wszystko stracone? - zagadnąłem.

- Tak, u licha, tak myślę! - odpowiedział. - Okręt stracony, to i szyja stracona. Taki jest sens wszystkiego. Kiedy spojrzałem na zatokę, Jimie Hawkins, i nie zobaczyłem statku, to choć jestem wytrzymały, jednak upadłem na duchu. Co się zaś tyczy tej zgrai i jej narad, wierzaj mi, że są to sami głupcy i tchórze. Uratuję ci życie, o ile stanie się wszystko, co w mej mocy. Lecz pamiętaj, Jimie, że płacić trzeba pięknym za nadobne! Ty musisz uratować Długiego Johna od szubienicy.

Byłem oszołomiony; tak beznadziejne wydawało się to, o co prosił



- on, stary korsarz, a do tego herszt bandy!

- Uczynię, co będzie w mej mocy! - odpowiedziałem.

- To mi układ! - krzyknął Długi John. - Mówisz śmiało i... do pioruna, mam szczęście!

Pokuszykał do żagwi zatkniętej w stos drzewa i zapalił znów fajkę.

- Chciej mnie zrozumieć, Jimie - odezwał się powracając.

- Mam ja głowę na karku... tak, mam. Jestem teraz po stronie dziedzica. Wiem, że ukryłeś okręt gdzieś w bezpiecznym miejscu. Jak tego dowodziłeś, nie wiem, ale wiem, że okręt jest bezpieczny. Jestem pewny, że Hands i O'Brien okazali się skończonymi durniami. Nigdy nie miałem wielkiego mniemania o żadnym z nich. Teraz uważaj. Nie będę o nic pytał ani nie pozwolę innym pytać. Wiem, gdzie się ta gra kończy, tak, wiem i znam chopca, który jest wielkim chwatem. Tym chłopcem jesteś ty! Ty i ja możemy razem działać siłą dobrego!

Utoczył nieco koniaku z beczki do cynowego kubka.

- Nie skosztujesz, druhu? - zapytał, a gdy odmówiłem, rzekł:

- Dobrze, a więc wypiję sam, Jimie. Potrzebuję pomocnika, gdyż mam kłopot nie lada. A skoro mowa o kłopotach, powiedz mi, Jimie, czemu ten doktor dał mi mapę?

Na twarzy mojej odbiło się tak szczere zdziwienie, że Silver widział daremność dalszych zapytań.

- No tak... w każdym razie to zrobił - rzekł. - Ale niewątpliwie coś się w tym kryje, Jimie, coś w tym się kryje złego czy dobrego.

I łyknął znów gorzałki potrząsając wielką siwą głową jak człowiek, który jest przygotowany na najgorsze.

## Znów czarna plama

Narada opryszków przeciągała się czas jakiś. W końcu jeden z nich wkroczył znów do domu i powtarzając ten sam ukłon, który w moich oczach miał znamię szyderstwa, poprosił o pożyczenie mu na chwilę łuczywa. Silver zezwolił krótkim mruknięciem, a wysłannik oddalił się z powrotem zostawiając nas obu w ciemności.

- Nadciąga wiatr, Jimie - odezwał się Silver, który tymczasem nabrał zupełnie przyjaznego i poufałego tonu głosu.

Przysunąłem się do najbliższej strzelnicy i wyjrzałem na dwór. Żar wielkiego ogniska wypalił się i tlił się teraz ciemno przy samej ziemi; rzecz więc zrozumiała, że spiskowcy potrzebowali pochodni. Mniej więcej w połowie drogi na zboczu wiodącym do warowni zebrali się w gromadkę; jeden trzymał światło, a drugi pośrodku klęczał. Widziałem, jak ostrze otwartego noża połyskiwało w jego dłoni mieniając się różnobarwnie w blasku księżyca i żagwi. Inni byli nieco zgarbieni, jak gdyby śledzili poruszenia tamtego. Zdołałem dostrzec, że miał on w ręce prócz noża jakąś książkę. Zachodziłem w głowę, skąd przyszli do posiadania rzeczy tak do nich nie pasującej, gdy wtem klęcząca postać podniosła się znów na nogi i cała gromada ruszyła hurmem ku budynkowi.

- Nadchodzą tutaj - oznajmiłem i powróciłem do poprzedniej postawy, gdyż zdawało mi się, że nie licowałoby z moją godnością, gdyby przekonali się, że ich podglądam.

- Dobrze, chłopcze, niech przyjdą, niech przyjdą - rzekł Silver wesoło - jeszcze mam naboje w puzderku.

Drzwi się otwały, a pięciu ludzi stanęło kupą koło samego wejścia, wypychając jednego naprzód. W każdej innej okoliczności jego powolne posuwanie się mogłoby wyglądać pociesznie: każdy krok stawiał z wahaniem, ale dzierzył wciąż przed sobą zaciśniętą pięść.

- Podejdz no, dryblasie! - zawołał Silver. - Przecież cię nie zjem. Daj mi to, kpie. Znam prawo, nie znieważę posła!

Tak zachęcony, opryszek postąpił naprzód raźniej i podawszy coś SiWerowi z ręki do ręki czmychnął co rychlej do swych towarzyszy. Kucharz spojrzał na to, co mu wręczono.

- Czarna plama! Tak sobie myślałem - zauważył. - Ale skądęście to wyrwali taki papier? Hola! Cóż to? Patrzcie no! To niedobrze świadczy! Wycięliście to z Biblii! Jakież to dureń pociął Biblię?

- O, to to! - rzekł Morgan. - To właśnie! Co mówiłem? Mówiłem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Tak, samiście już to powiedzieli między sobą - mówił dalej Silver. - Zdaje mi się, że będziecie wszyscy wisieć. Któryż, to głupiec miał Biblię?

- To Dick - rzekł jeden z nich.

- To Dick? Więc Dick może odmawiać pacierza - rzekł Silver. - Dick zepsuł własne szczęście; tak, możecie być tego pewni.

Lecz tu przerwał mu ów sążnisty drab z żółtymi oczyma.

- Zaprześć tego gadania, Johnie Silverze. Ci ot ludzie na walnym zebraniu uchwalili wręczyć ci czarną plamę zgodnie z naszymi prawami; przed chwilą zgodnie z prawem rozwinąłeś ją i odczytałeś, co tam było napisane. Teraz możesz mówić.

- Dziękuję ci, George - odparł kucharz. - Zawsze byłeś prędko do czynu i umiałeś prawa na pamięć, a to mi się w tobie, George, bardzo podoba. No, w każdym razie, cóż to jest takiego? Aha! „Pozbawiony dowództwa” - tylko tyle? Bardzo pięknie napisane, zapewne! Jak drukowane, słowo daję! Czy to twoje pismo, George? Oho, stałeś się już przywódcą tej drużyny! Będziesz wkrótce kapitanem, nie ma co się dziwić. A teraz użyczcie mi znów tej główki... co, nie łaska? Fajka nie chce mi się palić.

- Chodź no teraz - rzekł George - nie będziesz już obałamu-cał drużyny. Jesteś wymownym człowiekiem, nikt ci tego nie od i mawia, ale teraz przestałeś już być dowódcą i może raczysz zejść z tej beczki, żeby wziąć udział w głosowaniu!

- Powiedziałeś, zdaje się, że znasz nasze prawa - odciął się Silver z pogardą. - Jeżeli ty ich nie znasz, to przynajmniej ja je znam, więc zostanę tutaj, ponieważ jestem jeszcze waszym kapitanem - wiedzcie o tym! - póki nie uzasadnicie swych zażaleń. A tymczasem wam odpowiem, że wasza czarna plama nie jest warta i jednego suchara. Co potem, zobaczymy!

- Ech! - odrzekł George. - Nie jesteś jeszcze naszym więźniem; jesteśmy tu wszyscy równi i basta. Po pierwsze, naszą wyprawę zamieniłeś w rzeź. Musiałbyś być człowiekiem bezczelnym, gdybyś temu zaprzeczył! Po wtóre, wypuściłeś bezinteresownie nieprzyjaciela z tej pułapki. Dlaczego chcieli oni wyjść stąd? Nie wiem tego, ale jest oczywiste, że tego chcieli. Po trzecie, nie pozwoliłeś nam iść na nich przez moczary. Przeniknęliśmy cię na wskroś, Johnie Silverze. Chcesz obłowić się zdobyczą, w tym twoja wina. Wreszcie, po czwarte, ten oto chłopak...

- Czy to wszystko? - zapytał Silver spokojnie.

- Chyba wystarczy - obruszył się George. - Wszyscy będziemy wisieć i prażyć się na słońcu przez twoją nieudolność.

- Dobrze, dobrze, a teraz uwaga! Odpowiem wam na te cztery punkty; odpowiem na wszystkie po kolei. A więc tę wyprawę zamieniłem w rzeź, wszak tak? Dobrze, powiem wam na to, że wszyscy wiecie, czego chciałem, i wszyscy wiecie, że gdyby tak się było stało, jak mówiłem, gdybyśmy byli na pokładzie Hispanioli - tej nocy jak zawsze - wszyscy byśmy żyli i bylibyśmy dobrej myśli, jedlibyśmy placek ze śliwkami, a skarb byłby już złożony na okręcie, do kroćset! Kto mi się sprzeciwił? Kto mnie przymuszał, choć byłem prawowitym kapitanem? Kto wręczał mi czarną plamę w tym dniu, kiedyśmy lądowali, i rozpoczął tę zabawę? Ach, były to ładne płasy - pod tym względem do was należę - skończą się tańcem na stryczku, w Doku Stracenia koło Londynu, tak jest! Ale kto to uczynił? Andersen i Hands, i ty, George Merry! Jesteś najmłodszy z marynarzy, z całej tej

warcholskiej drużyny, i ty masz, u diaska, tyle bezczelności, że zadzierasz nosa i chcesz być kapitanem nade mną? Ty, który zaprzepaściłeś całą naszą gromadę?! Do kroćset! To nie doprowadzi do niczego!

Silver umilkł, a z twarzy George'a i jego współników poznałem, że słowa te nie przeszły bez skutku.

- Tyle co do punktu pierwszego - krzychał oskarżony ocierając pot z czoła, gdyż mówił z taką gwałtownością, że cały dom trząsł się w posadach. - Słowo wam daję, że już mi obrzydło wciąż tak przemawiać do was. Nie macie ani oleju w głowie, ani pamięci i nie mogę sobie wyobrazić, jak każdemu z was matka pozwoliła zostać marynarzem. Marynarze! Panowie szczęścia! Zdaje mi się, że krawie-czyzna powinna być waszym rzemiosłem!

- Do rzeczy, Johnie - pohamował go Morgan. - Odpowiedz na inne zarzuty.

- Ach, inne! - odparł John. - O, to też ładne figle, nieprawdaż? Mówicie, że ta wyprawa była partacka. Ach, u licha, gdybyście mogli zrozumieć, jak naprawdę była partacka, wtedy byście dopiero zobaczyli! Jesteśmy tak blisko szubienicy, że szyja mi cierpnie, kiedy o tym myślę. Może będziesz widział ich skutych i powieszonych. Ptactwo krąży nad nimi, a żagle pokazują palcami na nich, płynących z falą. „Kto to”? - zapyta ktoś. „To? A jakże, to zwłoki Johna Silvera. Znałem go dobrze” - odpowie drugi. A ty słyszysz, jak dzwonią kajdanki, gdy sam idziesz na stracenie i już, już masz zadyndać. Oto, co nas czeka dzięki niemu i Handsowi, i Andersonowi, i innym głuptasom z waszego grona. A jeżeli chcecie dowiedzieć się czegoś w sprawie punktu czwartego, to jest o tym chłopcu, owszem, do kroćset! Czy nie jest on zakładnikiem? Czy mamy się pozbawiać zakładnika? Nie, nie, żadną miarą! On może być ostatnią naszą deską ratunku - nic by w tym nie było dziwnego. Zabijać tego chłopca? Nie, ja tego nie uczynię, kamraci! A punkt trzeci? O, o punkcie trzecim można by dużo powiedzieć. Może to uważacie za nic, że przychodzi tu co dzień, prawdziwy, kolegiálny doktor, aby was opatrzyć. Ciebie, Johnie, z tą porąbaną głową albo ciebie George Merry, który przed sześciu godzinami miałeś dreszcze febry, a w tej chwili masz oczy jak skórka cytrynowa? A może nawet nie wiedziałeś, że przybył nam sprzymierzeniec? Tak jednak jest w istocie, a niebawem zobaczymy, kto będzie się cieszył z zakładnika, kiedy przyjdzie co do czego. Co się zaś tyczy punktu drugiego, to jest dlaczego zawarłem układ... A jakże! Czołgaliście się przede mną na kolanach, ażebym go zawarł. Na klęczkach czołgaliście się, tak upadliście na duchu. I umarlibyście zresztą z głodu, gdybym tego nie uczynił. Ale to drobnostka! Zważcie no... otóż dlaczego!

I rzucił na ziemię papier, który poznałem natychmiast. Było to nic innego, jak mapa na żółtym papierze, z trzema czerwonymi krzyżykami, którą znalazłem w ceratowym zawiniątku na dnie kufra kapitana. Nie mogłem jednak odgadnąć, czemu doktor mu ją podarował.

O ile jednak dla mnie stanowiło to nie rozwikłaną zagadkę, o tyle dla pozostałych przy życiu buntowników jej ukazanie się było czymś nieprawdopodobnym. Rzucili się na nią jak koty na mysz. Jeden wydzierał ją drugiemu i przechodziła z rąk do rąk, a sądząc z przekleństw, krzyków i dziecinnego śmiechu, które towarzyszyły temu przyglądaniu się, można by przypuszczać, że nie tylko dotykali palcem samego złota, lecz że bezpiecznie płynęli z nim przez morze.

- Tak, to z pewnością Flint rysował - rzekł jeden. - To jego litery: J. F., a poniżej wycięcie z

węzełkiem do niego przyklejonym; on tak zawsze robił.

- Bardzo pięknie - odezwał się George. - Ale jak mamy się z tym stąd wydostać bez okrętu?

Silver skoczył nagle i opierając się dłonią o ścianę krzyknął:

- Teraz ja cię ostrzegam, George! Jeszcze jedno zuchwałe słowo z twojej strony, a wyzwę cię i będę z tobą walczył. Jak? To ja mam wiedzieć? Tyś powinien mi na to odpowiedzieć, ty i inni, którzy zaprzepaścili mi okręt przez swoje wtrącanie się, żeby was choroba! Ale ty byś i odpowiedzieć na to nie umiał. Nie masz nawet tyle rozumu co plugawy karaluch! W każdym razie jednak mógłbyś i powinieneś mówić nieco grzeczniej, George Merry, a jakże!

- To pięknie! - rzekł stary Morgan.

- Pięknie! Chyba że tak! - odparł kucharz. - Wyście stracili okręt, a ja znalazłem skarb. Kto z nas lepszy? A teraz, do pioruna, zrzekam się dowództwa! Wybierajcie, kogo chcecie na kapitana, ja już mam dość tego!

- Silver! - krzyknęli wszyscy. - Patelnia kapitanem! Patelnia kapitanem!

- Oho, tak teraz śpiewacie! - zawołał kucharz. - George, spodziewałem się, że będziesz oczekiwał innego obrotu rzeczy.

Szczęście, twoje szczęście, że nie jestem mściwy. Nigdy nie miałem tego zwyczaju. A teraz, druhowie, ta czarna plama? To nie bardzo dobrze wróży? Prawda? Dick miał nieszczęście zniszczyć Biblię...

- Czy teraz dalej trzeba będzie całować tę księgę? - mruknął Dick, widocznie niezadowolony z kłątwy, którą ściągnął na siebie.

- Biblię z wyciętą kartką! - zadrwił Silver. - Nie, nie trzeba. Ona nie obowiązuje do niczego więcej niż zbiorok ballad.

- Naprawdę, ejże! - zawołał Dick jakby radośnie. - W każdym razie myślę, że i tak ma swoją wartość.

- Jimie, mam tu coś ciekawego dla ciebie - rzekł Silver i rzucił mi skrawek papieru.

Był on okrągły, mniej więcej wielkości srebrnej korony. Jedną stronę miał białą, gdyż była to ostatnia kartka, druga zaś zawierała kilka wierszy z Objawienia św. Jana, między innymi zaś te słowa, które silnie wryły mi się w pamięć, gdy byłem w domu: „A precz pójda łupieżcy i złoczyńcy”. Strona ta była poczerniona węglem drzewnym, który zaczął się już ścierać i brudził mi palce; na odwrocie zaś tym samym czernidłem wypisano słowa: „Pozbawiony dowództwa”. Przechowuję po dziś dzień u siebie tę osobliwość, lecz obecnie nie pozostało ani śladu pisma oprócz jednego skrobnięcia jakby zrobionego paznokciem dużego palca.

Tak się zakończyły nocne zajścia. Wkrótce potem wypiwszy kolejkę ułożyliśmy się na

spoczynek, a objawem zemsty Silvera było postawienie George'a Merry na warcie i zagrożenie mu śmiercią, gdyby okazał się niesumienny.

Sporo czasu upłynęło, zanim zmrużyłem oczy. Bóg wie, że wiele myślałem o człowieku, którego zabiłem po południu broniąc się w niebezpieczeństwie, a nade wszystko o tej dziwnej grze, którą jak widziałem, rozpoczął Silver - jedną ręką trzymając w ryzach buntowników, a drugą chwytając się wszelkich możliwych i niemożliwych sposobów, ażeby osiągnąć spokój i uratować swe nędzne życie. On sam spał spokojnie i głośno chrapał, ja natomiast martwiłem się o niego, mimo jego wszystkich występków, myśląc o ponurych niebezpieczeństwach, które go otaczały, i o haniebnej szubienicy, która go oczekiwała.

## Słowo honoru

Obudziłem się - ściślej mówiąc obudziliśmy się wszyscy, gdyż zobaczyłem, że nawet wartownik drgnął i zerwał się z miejsca, gdzie spoczywał oparty o framugę drzwi - posłyszawszy wyraźny, dziarski głos nawołujący nas od rubieży lasu.

- Hola, szalas! Doktor idzie!

Istotnie był to doktor. Choć uradowałem się słysząc ten głos, jednak radość moja była nie bez domieszki goryczy. Zmieszałem się wspomniawszy moje nieposłuszeństwo i nieszczerłość, a gdy uprzytomniłem sobie, do czego mnie one przywiodły - pomiędzy jakie towarzystwo i w jakie niebezpieczeństwa mnie wtrąciły - uczułem, że wstydzę się spojrzeć doktorowi w oczy.

Musiał wstać ze snu jeszcze po ciemku, gdyż na niebie dopiero świtał dzień, a gdy podbiegłem ku strzelnicy i wyjrzałem przez nią na świat, zobaczyłem go stojącego, jak przedtem Silver, po kolana w pełzającej mgle.

- Aa, to pan, panie doktorze! Dobry dzionek panu! - zawołał Silver, wyspany i promieniejący dobrym humorem. - Pogodnie i wcześnie, a jakże! Ranny ptaszek zdobywa sobie pożywienie, jak mówi przysłowie. George, wyciągnij no swoje pedały, mój synku, i pomóż doktorowi Liveseyowi dostać się do nas. Wszyscy mają się dobrze. Wszyscy pańscy pacjenci zdrowi i weseli.

Tak trajkotał stojąc na szczycie wzgórza, ze szcudłem pod pachą, jedną rękę trzymając na ścianie domu, zupełnie dawny John z głosu, zachowania się i wyrazu twarzy.

- Mamy tu dla pana wielką niespodziankę - ciągnął dalej. - Mamy tu małego przybysza. He, he! Nowy marynarz i domownik, panie, a wygląda tego i raźnie ten smyk! Spał jak nadzorca towarów, koło samego Johna. Leżeliśmy jak dwie kłody przez całą noc!

Doktor Livesey przedostał się tymczasem przez palisadę i był już niedaleko od kucharza. Zauważyłem zmianę w jego głosie, gdy zagadnął:

- Czy nie Jim?

- Jim we własnej osobie - odpowiedział Silver.

Doktor stanął jak wryty, ale nic nie mówił i upłynęło kilka sekund, zanim zdawał się już zdolny do poruszenia się dalej.

- Dobrze, dobrze - odezwał się na koniec - najpierw obowiązek, a później przyjemność, jakbyś z pewnością sam powiedział, Silverze Obejrzymy tych waszych pacjentów.

W chwilę później wkroczył do budynku i skinąwszy mi surowo głową zajął się chorymi. Nie czuł się wcale zakłopotany, choć musiał wiedzieć, że życie jego pośród tych zdradzieckich złoczyńców wisiało na włosku. Gawędził ze swymi pacjentami w ten sposób, jakby odbywał

zwyczajną zawodową wizytę w spokojnej rodzinie angielskiej. Jego obejście, zdaje mi się, podziało na łotrzyków, gdyż odnosili się do niego tak, jak gdyby nie było zaszło - jak gdyby on był jeszcze lekarzem okrętowym, a oni wiernymi marynarzami, kwaterującymi na przodzie statku.

- Ty już przychodzisz do zdrowia! - rzekł do junaka z obwiązaną głową. - Jeżeli kto, to ty masz jędrną czaszkę; łeb twardy jak żelazo. No, George, jak ci się powodzi! Ładną masz cerę, nie ma co mówić. Ho, ho! Wątroba nie w porządku. Czy zażywałeś lekarstwo? Ludzie, czy on zażywał to lekarstwo?

- Tak, tak, panie łaskawy, zażywał! - odpowiedział Morgan.

- Bo widzicie, odkąd jestem lekarzem buntowników, czyli lekarzem więziennym, jak wolę się nazywać - mówił doktor Livesey z najuprzejmiejszą miną - uważam sobie za punkt honoru nie zmarnować ani jednego człowieka podległego królowi Jerzemu (niech Bóg ma go w swej opiece!) i kandydującego do szubienicy!

Łotrzy spojrzeli po sobie, lecz przełknęli w milczeniu tę gorzką pigułkę.

- Dick czuje się niedobrze - rzekł jeden.

- Niedobrze? - powtórzył doktor. - Chodź no tu, Dicku, pokaż mi język! Nie, byłbym bardzo zdziwiony gdyby czuł się dobrze! Jego język mógłby straszyć Francuzów. Znowu febra.

- O, tak! - westchnął Morgan. - Wszystko to poszło ze znieważenia Biblii.

- To poszło z tego, że jesteście skończonymi osłami - zakpił doktor - i nie macie dość rozumu, żeby odróżnić uczciwe powietrze od zatrutego, a suchy łąd od obrzydliwego, zapowietrzonego bagna. Uważani za rzecz wysoce prawdopodobną - lecz to jest jedynie przypuszczenie - że wszyscy pójdziecie do diabła, zanim odwykniecie od przestawania z malarią. Obozować na trzęsawiskach... Słyszane rzeczy! Silver, tobie bardzo się dziwię. Jesteś rozsądniejszy od wielu, wzięwszy was wszystkich razem, lecz zdaje mi się, że brak ci podstawowego pojęcia o higienie. No, dobrze! - dodał, gdy już każdemu dał jakieś lekarstwo, a oni przyjęli jego przepisy ze śmieszną zaiste pokorą, podobni bardziej do chłopców z ochronki aniżeli do skalanych krwią rokoszan i piratów. - Dobrze, na dziś wystarczy! A teraz życzylibym sobie za waszym pozwoleniem porozmawiać z tym chłopcem.

I skinął niefrasobliwie głową w moją stronę.

George Merry stał w drzwiach, spluwając i mrużąc coś z powodu lekarstwa o niemiłym smaku, lecz na pierwsze słowo propozycji doktora obrócił się mocno zaczerwieniony i wrzasnął:

- Nie!

Po czym dorzucił jakieś przekleństwo.

Silver uderzył dłonią w beczkę.

- Milczeć! - ryknął i potoczył dokoła władczo wzrokiem niby lew. - Doktorze - mówił dalej już



zwykłym tonem - właśnie o tym myślałem wiedząc, jak pan lubi tego chłopca. Jesteśmy panu serdecznie wdzięczni za jego łaskawość, a jak pan widzi, pokładamy w panu ufność i przełykamy te leki niby szklanki grogu. I otóż wiem, jak należy postąpić, żeby wszystkim dogodzić. Hawkins, czy dasz mi słowo honoru, szlachetny młodzieńcze - bo jesteś szlachetnym młodzieńcem, mimo żeś z ubogiej rodziny! - słowo honoru, że nie uciekniesz?

Chętnie dałem żadaną porękę.

- A więc, doktorze - rzekł Silver - pan teraz wyjdzie poza palisadę, a gdy już pan tam będzie, wtedy przyprowadzę panu chłopca pod sam częstokół z tej strony i sądzę, że będziecie mogli porozmawiać przez szpary między drągami. Do widzenia panu! Wyrazy szacunku dla pana dziedzica i kapitana Smolleta.

Objawy niezadowolenia, utrzymywane dotąd w korbach jedynie srogimi spojrzeniami Silvera, wybuchły znów z całą siłą, ledwo doktor wyszedł z domu. Jednogłośnie poczęto oskarżać Silvera o podwójną grę - że stara się zawrzeć odrębny pokój na własną rękę, że poświęca interesy swych współników i ofiar - słowem, dokładnie o to, co istotnie czynił. Opór wydał mi się tym razem tak silny, że nie mogłem sobie wyobrazić, jak kucharz zamierza odwrócić od siebie ich zawziętość. Lecz był on co najmniej dwukrotnie sprytniejszy od pozostałych, a zwycięstwo uzyskane zeszłej nocy zapewniło mu ogromną przewagę nad ich umysłami. Zwymyślał ich ostatnimi słowami od głupców i ciemiągów, powiadał, że to rzecz konieczna, bym rozmawiał z doktorem, powiewał im mapą przed oczyma, zapytywał, czy czują się na siłach, by łamać układ tego samego dnia, w którym mieli wyruszyć na poszukiwanie skarbu.

- Nie, u licha! - krzyczał. - Zerwiemy układ wtedy, kiedy przyjdzie stosowna pora. Aż do tego czasu muszę mieć tego doktora, jeżeli mam go całkiem skaptować.

Po czym rozkazał im rozpaść ognisko i wykulał się na szczudle z domu, trzymając rękę na mym ramieniu. Towarzyszów swoich pozostawił w kłótni, raczej uciszonych jego zręcznością aniżeli przekonanych.

- Pomału, mój chłopcze, pomału - rzekł do mnie. - Oni mogą w mgnieniu oka zwrócić się przeciw nam, jeżeli zobaczą, że się tak kwapimy.

Szliśmy więc bardzo ostrożnie na przełaj przez piasek aż do tego miejsca, gdzie po drugiej stronie palisady czekał na nas doktor. Gdy już byliśmy w takiej odległości, że można było z łatwością rozmawiać, Silver zatrzymał się.

- A więc, panie doktorze - przemówił - proszę teraz słuchać, a ten chłopak opowie panu, jak ocaliłem mu życie i nawet za to zostałem usunięty, może pan być tego pewny. Panie doktorze, kiedy kto tak daleko się zagalopował jak ja, kiedy rzecz można, bawi się w chowanego ze śmiercią, pan chyba nie sądzi, że zbyt wielką łaską dlań będzie jedno życzliwe słowo? Niech pan będzie łaskaw zważyć, że teraz chodzi nie tylko o moje życie, bo oto w zakład jest dane życie tego chłopca... Niech pan więc, panie doktorze, pomówi ze mną przychylnie i udzieli mi choć promyka nadziei... przez litość!

Silver zmienił się nie do poznania, ledwo oddalił się od budynku i odwrócił się plecami do swych towarzyszy. Policzki jak gdyby mu się zapadły, głos stał się drżący - nie widziałem nigdy człowieka równie przerażonego.

- Cóż to, Johnie, czy się boisz? - zapytał doktor Livesey.

- Doktorze, nie jestem tchórzem; nie, nie, nie jest tak źle! - i strzelił palcami. - A gdybym się bał, nigdy bym tego nie powiedział. Aleja mam wisieć... czuję już drgawki wisielcze! Pan jest dobrym i rzetelnym człowiekiem, nigdy nie widziałem lepszego! Pan nie zapomni, co uczyniłem dobrego, ale pan zapomni, co zrobiłem złego. Ja już odejdę na bok, niech pan patrzy, i zostawię pana z Jimem sam na sam. A pan niech to policzy na moją korzyść, bo jestem teraz w wielkiej niedoli.

Tak mówiąc odszedł nieco w tył, aż znalazł się w takiej odległości, gdzie już nie dochodził odgłos naszej rozmowy. Tu usiadłszy na pniu drzewa począł gwizdać, kręcąc się raz po raz w tę lub ową stronę, przy czym kierował wzrok to na doktora i na mnie, to znów na swych niesfornych prostaków, uwijających się po piasku między ogniskiem, które gorliwie rozniecali, a budynkiem, z którego wynosili wciąż wieprzowinę i suchary, by przyrządzić śniadanie.

- Tak, Jimie - przemówił doktor smutno. - Tu się znalazłeś! Jakiegoś piwa sobie nawarzył, takie teraz musisz wypić, mój chłopcze! Bóg mi świadkiem, że nie mam serca, żeby cię łąjać. Powiem ci tylko jedną rzecz, mniejsza o to, czy miła, czy niemiła: kiedy kapitan Smollet był zdrow, nie odważyłeś się odejść, a kiedy został ranny i nie mógł ci nic zrobić, do licha, postąpiłeś sobie całkiem po tchórzowsku!

Przyznam się, że w tej chwili zacząłem płakać.

- Doktorze - odezwałem się - mógłby pan mnie oszczędzać! Sam już dość sobie czyniłem wyrzutów; życie moje jest bądź co bądź narażone na szwank i już bym teraz nie żył, gdyby Silver nie stanął w mej obronie. A wierz mi pan, panie doktorze, że mogę umrzeć... Przyznaję się, że na to zasłużyłem... ale boję się tortur... Jeżeli oni zechcą mnie męczyć...

- Jimie - przerwał doktor, a głos mu się całkiem zmienił. - Jimie, ja na to nie mogę pozwolić. Przejdź na tę stronę i uciekniemy stąd.

- Doktorze - odpowiedziałem - dałem słowo honoru.

- Wiem, wiem - zawołał. - Nie możemy na to nic poradzić teraz, mój Jimie! Ale biorę to na swą głowę, było nie było, i hańbę, i naganę, mój chłopcze. Ale przyjdź tutaj, nie mogę cię opuścić. Umykaj! Jeden skok, a oddalimy się i będziemy uciekać jak antylopy.

- Nie! - odparłem. - Pan sam nie dopuściłby się czegoś podobnego. Ani pan, ani dziedzic, ani kapitan, a tym bardziej ja. Silver mi zaufał, dałem słowo, więc powrócę. Ale, mości doktorze, pan nie dał mi skończyć. Jeżeli zechcą mnie męczyć, mogę zdradzić mimo woli, gdzie znajduje się okręt. Bo zdobyłem nasz okręt, po części dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a po części dzięki zaryzykowaniu. Statek znajduje się w Zatoce Północnej, na wybrzeżu południowym, a obecnie zalany jest przyplływem. Podczas odpływu musi być widoczny na powierzchni.

- Okręt! - zawołał doktor.

Szybko opowiedziałem mu swoje przygody. On słuchał mnie w milczeniu, a gdy skończyłem mówić, zauważył:

- Jest w tym jakieś zrządzenie losu. Na każdym kroku ocalasz nam życie. Czy możesz przypuszczać, że cokolwiek się zdarzy, pozwolimy na twoją zgubę? Byłaby to nikczemność z naszej strony, mój chłopcze. Ty odkryłeś sprzysiężenie, ty odnalazłeś Ben Gunna. Są to najlepsze uczynki, jakich dokonałeś w swym życiu lub dokonasz, choćbyś dożył dziewięciu krzyżyków. A skoro już mowa o Ben Gunnie, na Jowisza! Cóż to za dziwo wcielone! Silver! - zawołał nagle donośnym głosem, a kiedy kucharz podszedł bliżej, mówił dalej spokojnie:

- Dam ci, Silver, dobrą radę. Nie śpiesz się zanadto do tego skarbu.

- Owszem, panie, uczynię, co w mej mocy, cokolwiek będzie

- zapewnił Silver. - Jednak za pozwoleniem pańskim tylko poszukując tego skarbu mogę uratować życie własne i tego chłopca. A jakże!

- Dobrze, Silverze - odpowiedział doktor - wobec tego posunę się o krok dalej: wystrzegaj się krzyków, kiedy go znajdziesz.

- Panie - rzekł Silver - mówiąc między nami, jest to za wiele i za mało. Naprawdę teraz nie wiem, co pana skłoniło do tego, żeby opuścić stanicę i dać mi tę mapę? A jednak z zamkniętymi oczyma wykonałem pańskie polecenie i nie otrzymałem ani słowa nadziei! Ale nie, to zanadto! Jeżeli pan nie chce powiedzieć otwarcie i wyraźnie, co pan ma na myśli, niech pan od razu tak powie, a dam za wygraną.

- Nie! - odpowiedział doktor zamyślając się. - Nie mam prawa powiedzieć nic nadto. Widzisz, Silver, nie jest to moja tajemnica, inaczej bym ci powiedział, daję ci słowo! Ale posunę się wobec ciebie tak daleko, jak daleko mi wolno, a nawet krok dalej, bo o ile się nie mylę, kapitan zmyje mi porządnie perukę! Otóż po pierwsze dam ci promyk nadziei! Silver, jeżeli my obaj wyjdziemy cało z tej wilczej nory, dołożę wszelkich starań, żeby cię uratować, przyrzekam ci to święcie!

Silverowi twarz rozjaśniła się i zawołał:

- Nie potrzebuje pan mówić nic więcej. Ufam panu jak rodzonej matce.

- Dobrze, to pierwsze ustępstwo z mej strony - dołożył doktor.

- Drugie będzie czymś w rodzaju rady. Miej chłopca zawsze przy sobie, a jeżeli będziecie potrzebowali pomocy, zawołajcie nas. Wyruszę wówczas, żeby sprowadzić wam pomoc. Już to ci dowiedzie, że nie mówię na wiatr. Do widzenia, Jimie!

To rzekłszy doktor Livesey uścisnął mi rękę poprzez palisadę, uklonił się Silverowi i szybkim krokiem podążył w głąb lasu.

## Poszukiwanie skarbu - drogowskaz Flinta

J imię - rzekł Silver, gdy byliśmy sami. - Jeżeli ja ocaliłem ci życie, to i ty ocaliłeś moje, a tego ci nie zapomnę. Widziałem, że doktor namawiał cię do ucieczki, widziałem kącikiem oka, i widziałem, żeś powiedział: „nie!” Zupełnie jakbym słyszał. Jimie, za to jestem ci bardzo wdzięczny! Jest to pierwsza iskierka nadziei, jaka mi zabłysła od czasu, gdy zawiódł nas atak na warownię. Tobie zawdzięczam tę nadzieję. Teraz, Jimie, mamy iść na poszukiwanie skarbu, z jakimiś tajnymi poleceniami. Tego to nie lubię. Musimy obaj trzymać się razem, jeden niemal u boku drugiego, a ocalimy szyje, na przekór wszelkim przeciwnościom losu!

Jeden z ludzi uwijających się przy ognisku zawołał na nas, że śniadanie już gotowe, toteż niezadługo siedzieliśmy na piasku i posilaliśmy się sucharami i przypiekanym solonym mięsem. Ognisko było tak wielkie, że można by na nim upiec całego wołu; właśnie w owej chwili wystrzeliło ona i rozgorzało tak potężnie, że podejść ku niemu można było jedynie od strony wiatru, i to z wielką ostrożnością. Z tą samą rozrzutnością przygotowali trzy razy więcej jadła, niż zdołaliśmy zjeść, a jeden z nich z pustym śmiechem cisnął resztę jadła na ognisko, które rozbłysło i zahuczało, podsycone tym niezwykłym paliwem. Nigdy w życiu nie widziałem ludzi tak mało dbających o jutro. Cały ich tryb życia w tym się streszczał, żeby być sytym w danej chwili. Widząc, jak marnowali żywność i spali na warcie, nabierałem przeświadczenia, że choć mieli dość śmiałości do staczania małych utarczek, to jednak byli całkiem niezdatni do jakiegokolwiek dłuższej wojny.

Nawet Silver, który wciąż zajadał trzymając Kapitana Flinta na ramieniu, nie miał dla nich słowa napomnienia za tę nieprzezorność. Dziwiło mnie to tym bardziej, że sądziłem, iż nigdy nie okazał się bardziej przebiegły niż wówczas.

- Tak, marynarze - mówił - wasze szczęście, że macie Patelnię, który za was pracuje głową. Zdobyłem, co chciałem, tak jest! Oni na pewno mają okręt w swych rękach. Gdzie go ukrywają, na razie jeszcze nie wiem, ale kiedy posiadziemy skarb, zaczniemy szukać na wszystkie strony, aż go znajdziemy, a wtedy, kamraci, mając łodzie stanowczo zwyciężymy!

Uwijał się ustawicznie wśród nich i gadał, choć usta miał pełne gorącego boczku. W ten sposób ożywiał ich nadzieje i zaufanie, a zarazem, jak mi się zdaje, sam sobie dodawał otuchy.

- Co się tyczy zakładnika - mówił dalej - zapewniam was, że była to ostatnia jego pogawędka z tymi, których kocha tak gorąco! Uzyskałem kilka nowych wiadomości, za które jestem mu bardzo wdzięczny. Na tym jednakże koniec. Kiedy pójdziemy na poszukiwanie skarbów, wezmę go na postronek, bo musimy go na wszelki wypadek zatrzymać na pewien czas przy sobie. Trzeba go tymczasem na wszelki wypadek strzec jak oka w głowie, zapamiętajcie to, kamraci! Kiedy już zdobędziemy i okręt, i skarb, i pohulamy na morzu, jak przystało na wesołych towarzyszy, wtedy i owszem, pogadamy z mości Hawkinsem i damy mu należną zapłatę za wszystkie jego grzeczności, a jakże.

Nie dziwota, że łotrzykowie wpadli w doskonały humor. Co do mnie, byłem niesłychanie przygnębiony. Gdyby plan przed chwilą wysunięty był możliwy do wykonania, Silver, który już dwakroć okazał się zdrajcą na pewno nie zawahałby się go urzeczywistnić. Stał jeszcze na rozdrożu

między jednym a drugim obozem, a nie ulegało wątpliwości, że przeniósłby bogactwo i swobodę po stronie korsarzy nad samo ocalenie głowy od stryczka, czego w najlepszym wypadku mógł się spodziewać po naszej stronie.

A zresztą, gdyby nawet tak się złożyły okoliczności, że byłby zmuszony wytrwać w zobowiązaniach względem doktora Liveseya, jakież i wówczas oczekiwały nas niebezpieczeństwa! Jakaż to będzie chwila, gdy sprawdzą się podejrzenia jego podwładnych i gdy on, kaleka, wraz ze mną, pacholęciem, będzie musiał walczyć w obronie życia przeciw pięciu silnym i zwinnym marynarzom!

Do tego podwójnego kłopotu dodać należy tajemnicę, która osłaniała działalność mych przyjaciół, ich niewytłumaczoną ucieczkę z twierdzy, wręcz niepojęte dla mnie wyrzeczenie się mapy, a wreszcie, co jeszcze trudniej było odgadnąć, słowa, którymi doktor niedawno ostrzegął Silvera: „Wystrzegaj się krzyków, gdy go znajdziesz” - a chyba uwierzycie, że śniadanie nie bardzo mi smakowało i że z ciężkim sercem wyruszyłem na poszukiwanie skarbu w towarzystwie ludzi, którzy mnie pojмали.

Tworzyliśmy dziwny orszak; zdumiałby się, gdyby nas tak kto zobaczył! Wszyscy byliśmy odziani w zasmolone ubrania marynarskie i wszyscy prócz mnie byli uzbrojeni od stóp do głów. Silver przewiesił sobie przez ramię dwie rusznice, jedną z przodu, a drugą z tyłu; do boku przypasał wielki kordelas, a w każdej kieszeni swego wyciętego surduta miał pistolet. Dziwaczno jego wyglądu dopełniał Kapitan Flint, który siedział mu na ramieniu, paplać bez związku urywkami gwary żeglarskiej. Ja, opasany liną na biodrach, szedłem z uległością za kucharzem, który trzymał luźny koniec powroza bądź w wolnej ręce, bądź w swych potężnych zębach. Słowem, byłem całkiem podobny do cygańskiego niedźwiedzia.

Reszta ludzi była rozmaicie objuczona. Jedni dźwigali kilofy i łopaty - gdyż był to najpierwszy sprzęt, który wynieśli na ląd z Hispanioli - inni byli obładowani wieprzowiną, pieczywem i wódką przeznaczoną na obiad. Wszystkie te zapasy pochodziły z naszego składu i mogłem się przekonać o prawdziwości słów Silvera, wypowiedzianych zeszłej nocy. Gdyby on i jego rabusie nie zawarli układu z doktorem, wówczas, odcięci od okrętu, musieliby poprzestawać na czystej wodzie i na łupach z polowania. Woda nie bardzo przypadłaby im do smaku, a żeglarz zazwyczaj bywa lichym myśliwym. Zresztą skoro tak marnie zaopatrzyli się w żywność, prawdopodobnie także nie mieli pod dostatkiem prochu.

W takim rynsztunku wyruszyliśmy wszyscy pospołu - nawet ów drapichrust z rozbitą głową, który z pewnością wolałby pozostać w cieniu - i wymknęliśmy się gęsiego ku wybrzeżu, gdzie oczekiwały na nas dwa czółna. Nawet i one nosiły ślady pijackiego szaleństwa piratów, gdyż jedno miało strzaskany przód, a oba były zabłocone i zaśmiecone nad wszelki wyraz. Mieliśmy je wziąć z sobą na wszelki wypadek: na razie podzieliwszy się na dwie gromadki poczęliśmy się przeprawiać przez zatokę.

Podczas przeprawy wywiązał się spór co do treści mapy. Czerwony krzyżyk był oczywiście zbyt wielki, aby mógł stanowić dostateczną wskazówkę, a słowa notatki na odwrotnej stronie, jak się dowiedzie, nastroczały pewne dwuznaczności. Były one, jak czytelnik pamięta, następujące:

Wysokie drzewo, cypel „Lunety”, kierując się na Pn. od strzałki kompasu Pn. Pn. W. Wyspa Szkieletów W. Pn. W., ku W. Dziesięć stóp.

Zatem wysokie drzewo było najważniejszym punktem orientacyjnym. Otóż na wprost przed nami zatoka była obrzeżona wyżyną wznoszącą się na dwieście do trzystu metrów, która na północy przylegała do stromego zbocza południowego Lunety, natomiast ku południowi piętrzyła się w dziką skalistą wyniosłość zwaną Bezan-masztem. Wierzch płaskowyżu był gęsto zarośnięty sosnami różnej wysokości. Tu i ówdzie jakieś drzewo odmiennego gatunku wzbijało się czterdzieści lub pięćdziesiąt stóp ponad swe otoczenie; które z nich było owym „wysokim drzewem”, wymienionym przez kapitana Flinta, można było stwierdzić dopiero na miejscu podług wskazówek kompasu.

Mimo to, zanim przebyliśmy połowę drogi, każdy z jadących na czołnach upatrzył sobie jakieś drzewo. Jedyne Długi John wzruszał ramionami i radził im, by poczekać, aż przybędą na miejsce.

Wiosłowaliśmy lekko, wedle zleceń Silvera, aby nie przemęczać się przedwcześnie. Po dość długiej jeździe wylądowaliśmy koło ujścia drugiej rzeki, tej, która wypływa z leśnego parowu Lunety. Następnie skręciwszy w lewo poczęliśmy wdzierać się po urwisku ku wyźnie.

Na wstępie ścieżki błotnisty grunt i splątana roślinność bagienna utrudniały niezmiernie nasz pochód; z wolna jednak wzgórze poczęło się pięć stromo i droga stawała się kamienista, a las zmieniał charakter, stawał się bardziej przestronny. Ta połać, do której przybliżaliśmy się, stanowiła chyba najpiękniejszą część wyspy. Wonne j anowce i rozliczne kwitnące krzewy zastąpiły niemal zupełnie trawę. Gęszcze zielonych drzew muskatowych, urozmaicone w rzadkich odstępach czerwonymi pniami i szerokimi baldachimami sosen, mieszały swój aromat z zapachem żywicy. Powietrze, świeże i orzeźwiające, w jasnych promieniach słońca było cudownym pokrzepieniem dla naszych serc i zmysłów.

Banda rozsypała się wachlarzowato, krzycząc i biegając na wszystkie strony. Mniej więcej w środku i w sporym oddaleniu od innych postępował Silver wraz ze mną - ja uwiązany na powrozie, on zaś brnąc z trudem, wśród ciężkich westchnień, po osuwającym się żwirze. Od czasu do czasu musiałem go po prostu prowadzić za rękę; w przeciwnym razie byłby się potknął i runął na wznak ze zbocza wzgórzka.

Przeszliśmy prawie pół mili i zbliżaliśmy się do krańca płaskowyżu, gdy wtem człowiek idący najdalej na lewo począł głośno krzyczeć jakby w przerażeniu, a następnie nawoływać swych kamratów, którzy rzucili się pędem w tym kierunku.

- Wątpię, żeby on znalazł skarb - rzekł stary Morgan przebiegając co żywo koło nas z prawej strony - bo skarb jest tam wyżej!

Istotnie, jak przekonaliśmy się doszedłszy również na miejsce, było to coś zupełnie innego. U stóp pięknej wybudowanej sosny, spowinięty w zielone pnącze, które nawet podniosły w górę kilka drobnych kostek, leżał na ziemi szkielet ludzki z kilkoma strzępkami odzienia. Sądzę, że przez chwilę mróz ściał wszystkim krew w żyłach.

- To marynarz! - odezwał się George Merry, który śmielszy od innych, podszedł bliżej i badał

strzępy ubrania. - Miał na sobie dobre sukno marynarskie.

- A jakże - rzekł Silver - juści że marynarz! Przecież nie znalazłbyś tu biskupa. Ale dlaczego te kości leżą w ten sposób? To coś nienaturalnego, niezwykłego!

W rzeczy samej, przypatrzwszy się dokładniej, nie można było przypuszczać, by ciało znajdowało się w pozycji naturalnej. Pominąwszy parę drobnych skrzywień - które zapewne były dziełem ptaków, żerujących na nim, lub powoli rosnącego pnącza, który stopniowo owijał jego szczątki - człowiek ów leżał zupełnie wyprostowany, tak iż stopy jego wskazywały w jednym kierunku, a jego dłonie, wzniesione nad głową jak u nurka, wyciągnięte były w stronę przeciwną.

- Coś mi zaświtało w starej mózgowicy! - zauważył Silver.

- To kompas. Tam widać szczyt Wyspy Szkieletów, sterczący jak kieł dzika. Teraz wyznaczenie kierunku w przedłużeniu tych kości.

Uczyniono, jak mówił. Zwłoki wskazywały dokładnie kierunek wyspy, a na kompasie odczytano rzeczywiście: W. Pd. W., ku W.

- Tak pomyślałem - zawołał kucharz - oto jest drogowskaz. Stąd to właśnie wiedzie nasza droga ku Gwieździe Polarnej i ku korsarskim talarem. A niech mnie piorun trzaśnie, ciarki mnie przechodzą, kiedy pomyślę sobie o Flincie. To jeden z jego żartów, ani słowa! Był tu sam przeciwko tamtym sześciu. Pozabijał każdego z osobna, a tego jednego przywłókł tutaj i ułożył według kompasu, a niechże mnie piorun strzeli! Długie kościska, a włosy rude! Tak, to na pewno był Allardyce. Pamiętasz Allardyce'a, Tomaszu Morganie?

- A jakże - odpowiedział Morgan - pamiętam! Był mi winien trochę grosza i zabrał mój nóż.

- Skoro mowa o nożach - rzekł inny - dlaczego nie znajdujemy przy nim jego noża? Flint nie miał zwyczaju gmerać po kieszeniach marynarza, a ptaki, sądzą, zostawiłyby nóż w spokoju!

- Prawda, u licha! - krzyknął Silver.

- Nie pozostawiono przy nim niczego - zauważył Merry obmacując jeszcze kościotrupa. - Ani złamanego szeląga, ani pudełka z tytoniem. Nie wydaje mi się to naturalne!

- Tak, niech to piorun strzeli! - przytakiwał Silver. - Ani naturalne, ani przyjemne, słusznie powiadasz! Do kroćset dział, kamraci! Gdyby Flint żył, byłoby na tym miejscu gorąco i mnie, i wam! Sześciu ich było, jak sześciu nas jest w tej chwili, a pozostały z nich tylko kości... ,

- Widziałem go na własne oczy nieżywego - rzekł Morgan.

- Billy mnie wprowadził do jego kajuty. Leżał mając po miedzianym pensie na obu powiekach.

- Umarł... tak. Pewno że umarł i zszedł z tego świata - oświadczył opryszek z obwiązaną głową. - Ale jeżeli kiedykolwiek jaki duch chodził po świecie, to chyba duch Flinta... Był to walny chłop, nasz Flint... ale umarł straszną śmiercią.

- Tak, tak, straszliwie konał - dorzucił drugi. - To dostawał napadów szału, to znów wołał, żeby mu przynieść rumu, to śpiewał: „Piętnastu chłopów”. Była to jego jedyna śpiewka, kamraci, a powiem wam prawdę, że odtąd nigdy me lubiłem słuchać tej pieśni... Był wielki upał... i okno było otwarte, więc wyraźnie słyszałem rozbrzmiewającą tę starą pieśń... i czułem, jak śmierć brała tego człowieka w swoje szpony...

- Chodźmy już chodźmy! - rzekł Silver. - Dość czezej gadaniny! Flint umarł i nie tuła się po świecie, to wiem na pewno. Przynajmniej nie chodzi za dnia. Możecie być tego pewni. Indyk myślał i zdechł, jak mówi przysłowie. Ruszemy na poszukiwanie dublonów.

Ruszyliśmy w drogę, lecz pomimo skwaru słonecznego i olśniewającego światła dziennego piraci już nie rozbiegali się na wszystkie strony i nie pohukiwali po lesie, ale trzymali się jeden przy drugim i mówili przytłumionym szeptem. Postrach nieżyjącego korsarza zaciężył nad ich duszami.



## Poszukiwanie skarbu - głos między drzewami

Częściowo pod przytłaczającym wpływem tego niepokoju, a częściowo w celu dania wypoczynku Silverowi i pomęczonym ludziom, cały oddział przysiadł, gdyśmy doszli do krawędzi zbocza.

Wyżyna była nieco nachylona ku zachodowi, toteż z miejsca, w którym odpoczywaliśmy, roztaczał się rozległy widok na wszystkie strony. Przed sobą, ponad wierzchołkami drzew, widzieliśmy Przylądek Leśny z frędzlą spienionej fali. Poza sobą nie tylko oglądaliśmy przystań w dole i Wyspę Szkieletów, lecz nadto dostrzegaliśmy - tuż ponad przesmykiem i wschodnią niziną - wielką płaszczyznę pełnego morza na wschodzie. Nad nami piętrzyła się Luneta, gdzieniegdzie usiana rzadkimi sosnami, gdzieniegdzie zaś rozwierająca czarne czeluście. Nie dochodził tu żaden odgłos oprócz huku odległych bałwanów, dochodzącego ze wszystkich stron, oraz brzęczenia nieprzeliczonych owadów w zaroślach. Nie było widać żywej duszy ludzkiej ani też żagla na morzu. Ogromna przestrzeń widoku zwiększała jeszcze poczucie samotności.

Silver usiadłszy zaczął na podstawie kompasu czynić obliczenia.

- Są tu aż trzy „wysokie drzewa” - odezwał się - prawie w prostej linii od Wyspy Szkieletów. „Cypel Lunety”, jak przypuszczam, oznacza ten niższy punkt. Odszukanie tych rzeczy to dziecinna zabawka. Mam zamiar najpierw zjeść obiad.

- Nie czuję się dobrze! - mrucał Morgan. - Kiedy myślę o Flincie, tak się czuję, jakby już było po mnie...

- Tak, tak! Mój synku, błogosław niebo i swoją gwiazdę, że on już nie żyje! - odrzekł Silver.

- Był to bies wcielony! - zawołał trzeci opryszek przejęty dreszczem. - A ta siność jego twarzy!...

- Występowała zawsze, kiedy rum podziałął na niego - dodał Merry. - Siność! Tak, bywał naprawdę siny! Użyłeś trafnego wyrazu!

Odkąd napotkali szkielet i wpadli na wiążący się z tym temat, gwarzyli coraz ciszej i ciszej, przechodząc niemal w szeptanie, tak iż ich rozmowa ledwo zakłócała ciszę leśną. Nagle z kępy drzew rosnących przed nami rozbrzmiał jakiś cienki, wysoki, drżący głos, nucący dobrze znaną melodię i słowa:

*Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni...*

*Jo-ho-ho! i butelka rumu!*

Nie widziałem nigdy ludzi tak przerażonych jak piraci w owej chwili. Sześć twarzy naraz

poblądło, jak gdyby ktoś na piratów rzucił urok. Niektórzy zerwali się na nogi, inni uczepili się ich kurczowo. Morgan potoczył się na ziemię.

- To Flint, do... - krzyknął Merry.

Śpiew urwał się tak nagle, jak się rozpoczął, załamawszy się w środku nuty, jak gdyby ktoś położył rękę na ustach śpiewającego. Rozlegając się daleko w czystym, słonecznym przestworzu pomiędzy zielonymi koronami drzew głos brzmiał nierealnie i łagodnie; tym okropniejsze wrażenie wywarł na mych towarzyszach.

- Chodźcie! - rzekł Silver usiłując wykrztusić słowo ze spowie-łałych warg. - Już się to nie powtórzy. Idźmy dalej. Jestem odurzony rumem i nie umiem nazwać tego głosu, ale to ktoś sobie z nas pokpiwa, ktoś mający ciało i krew! Możecie być tego pewni!

Gdy to mówił, powróciła mu znów odwaga, a równocześnie twarz ożywiła się rumieńcem. Już i inni zaczęli dawać posłuch jego zachętom i nieco ochłonęli z przerażenia, gdy wtem zabrzmiał znów ten sam głos. Tym razem już nie śpiewał, lecz odzywał się słabym, oddalonym nawoływaniem, które jeszcze słabiej powtarzało echo wśród rozpadlin Lunety.

- Darby M'Graw! - kwilił ten głos, gdyż to słowo może najlepiej określić ów dźwięk.

- Darby M'Graw! Darby M'Graw!

I tak dalej, jeszcze raz i znów, i znów, aż na koniec podnosząc się nieco wyżej i cisnąwszy przekleństwo, które pomijam, zajęczał:

- Przynieś mi rumu, Darby!

Zbójcy stanęli w miejscu jak wryci, a oczy wylazły im na wierzch głowy. Jeszcze w długą chwilę potem, gdy głos przebrzmiał, oni jeszcze utkwivszy zmartwiałe źrenice w przestrzeń przed sobą, stali w milczeniu i osłupieniu.

- To zła wróżba! - westchnął jeden. - Odejdzmy!

- To były jego ostatnie słowa - jęczał Morgan. - Ostatnie słowa, jakie wymówił na okręcie.

Dick otworzył Biblię i modlił się żarliwie. Ten chłopak był wychowany w dobrych zasadach, zanim wyruszył na morze, gdzie pokumał się ze złym towarzystwem.

Jedynie Silver był nie przekonany. Słyszałem, jak zęby dzwoniły mu z trwogi, jednak jeszcze się jej zupełnie nie poddał.

- Nikt na tej wyspie nie słyszał nigdy o Darbym - mruczał - nikt prócz nas, tu obecnych!

A potem opanowawszy się z wysiłkiem, zawołał:

- Towarzysze, moja w tym głowa, by rozwikłać tę zagadkę. Nie dam się zapędzić w kozi róg ani

człowiekowi, ani diabłu! Nigdy nie bałem się Flinta za życia, toteż, do kroćset, spojrzę mu w oczy i po śmierci. O ćwierć mili niespełna stąd znajduje się siedemset tysięcy funtów. Kiedyż to jaki „pan szczęścia” odwrócił się od tyłu talarów, bojąc się zapijaczonego starego żeglarza z siną gębą, i to jeszcze umarłego?

Lecz odwaga bynajmniej nie wstąpiła w serca jego towarzyszy, a jego zuchwałe słowa raczej przyczyniły się do powiększenia strachu.

- Daj spokój, Johnie - rzekł Merry. - Nie wchodź w drogę duchowi!

Inni zanadto byli przerażeni, by mogli coś odpowiedzieć. Już parę razy mieli ochotę drapnąć; gdybyż starczyło im na to odwagi! Lecz lęk trzymał ich dokoła Johna, jak gdyby jego śmiałość była im osłoną. On ze swej strony umiał nader zręcznie przewyciężyć ich słabość.

- Duchowi? Być może - odparł. - Jedna rzecz wszakże jest dla mnie niejasna. Przecież słyhać było echo. Wszak nikt jeszcze nie widział ducha z cieniem, wobec tego chciałbym wiedzieć, skąd się wzięło przy nim echo? To z pewnością nie byłoby naturalne, prawda?

Dowód ten wydawał mi się dość słaby, lecz nigdy nie można przewidzieć, co zrobi wrażenie na przesadnych. Ku memu zdziwieniu George Merry uspokoił się.

- Tak, ależ oczywiście! - powiedział. - Masz, Johnie, głowę na karku, bez wątpienia! Do dzieła, kamraci! Zdaje mi się, że zachodzi tu omyłka. Jeśli się zastanowić, głos ten był nieco podobny do głosu Flinta, przyznaję, ale niezupełnie. Tym razem był on podobniejszy do czyjego innego głosu... był podobniejszy do...

- Do głosu Ben Gunna! Niech mnie piorun trzaśnie! - ryknął Silver.

- Tak, i tak jest w istocie! - krzyknął Morgan podrywając się na kolana. - Przecież Ben Gunn tu przebywał!

- Czy to zmienia postać rzeczy! - zapytał Dick. - Ben Gunn, ale nieżywy, tak jak Flint.

Lecz starsi towarzysze przyjęli tę uwagę drwiąco.

- Ech! Nikt z nas nie boi się Ben Gunna! - zawołał Merry. - Niech będzie sobie żywy czy umarły! Mniejsza o niego.

Było coś niezwykłego w tym, jak zmieniały się ich nastroje i jak naturalny kolor odżył na ich twarzach. Wkrótce poczęli gawędzić spokojnie, nasłuchując w przerwach, a niebawem nie słysząc już żadnego głosu, wzięli manatki na plecy i ruszyli w dalszą drogę. Merry szedł pierwszy z kompasem Silvera, aby prowadzić ich na jednej linii z Wyspą Szkieletów. To, co powiedział, było prawdą: nikt nie zważał na Ben Gunna, żywego czy umarłego.

Jedynie Dick trzymał wciąż w ręce Biblię i idąc rozglądał się wokoło bojaźliwym wzrokiem. Nie znalazł wszakże uznania ani współczucia, a Silver kpił sobie z niego w żywe oczy.

- Mówiłem ci! - dogadywał. - Mówiłem ci, że znieważyłeś Biblię! Skoro nie nadaje się do tego, żeby na nią przysięgać, to czy sądzisz, że duch będzie choć trochę na nią zważał? Ani tyle! - i trzasnął swymi ogromnymi palcami, oparłszy się przez chwilę na szczudle.

Lecz Dick był niepokieszony. Wkrótce nabrałem przekonania, że chłopak wpada w chorobę. Febra, przepowiedziana przez doktora Liveseya, a przyspieszona przez upał, wyczerpanie i nagły niepokój, wzrastała widocznie szybko.

Przestronna była i wygodna nasza obecna droga na szczycie. Zeszliśmy nieco w dół, gdyż jak powiedziałem, wyżyna nachylała się ku zachodowi. Sosny, większe i mniejsze, rosły w szerokich odstępach, a między kępami muszkatowych drzew i azalii spore, otwarte polanki wygrzewały się w skwarnych blaskach słonecznych. Przedzierając się w poprzek wyspy mniej więcej w kierunku północno-zachodnim, z jednej strony przybliżaliśmy się coraz bardziej do grzbietów Lunety, z drugiej zaś mieliśmy coraz rozleglejszy widok na ową zatokę zachodnią, gdzie niedawno kołysałem się i trząsałem w „topiduszce”.

Dotarliśmy do pierwszego z wysokich drzew, a na podstawie obliczeń stwierdzono, że nie było ono tym, o które chodziło. To samo okazało się z drugim. Trzecie wystrzelało bez mała na dwieście stóp w górę ponad gąszcz krzewów; był to prawdziwy olbrzym świata roślinnego, o pniu grubym jak chata, rozrzucający naokół rozległy cień, w którym cały hufiec wojska mógłby odbywać ćwiczenia. Było ono z dala dostrzegalne od strony morza, zarówno ze wschodu, jak i z zachodu, i mogło być zamieszczone na mapie jako znak orientacyjny dla żeglarzy.

Jednakowoż nie wielkość drzewa wywarła w tej chwili wrażenie na mych towarzyszach, lecz świadomość, że siedemset tysięcy funtów w złocie leżało tu gdzieś zakopane w jego rozłożystym cieniu. W miarę jak się zbliżali myśl o pieniądzach stłumiła ich uprzednie obawy. Oczy pały im chciwością, nogi nabierały coraz to większej szybkości i lekkości; cała dusza wyrwała się im do tego szczęścia, do tego życia pełnego wybryków i rozkoszy, które oczekiwało każdego z nich.

Silver biegł utykając na szczudłach zrędcząc. Nozdrza mu się rozděły i trzęsły, a kłął jak opętany, gdy muchy siadały na jego zgrzanej i błyszczącej twarzy. Zapamiętałem szarpał powróż, na którym mnie trzymał, i od czasu do czasu rzucał na mnie przeszywające spojrzenie. Łatwo odgadnąć, że nie zadawał sobie trudu, by zataić swe myśli; toteż czytałem je jak z drukowanej książki.

W bezpośredniej bliskości złota zapomniał już zupełnie o wszystkim innym; jego obietnica i przestroga doktora należały już do przeszłości i nie mogłem wątpić, że spodziewał się dostać skarb w swe ręce, odnaleźć Hispaniolę, pod osłoną nocy naładować ją złotem, wyróżnąć wszystkich uczciwych ludzi na wyspie i odpłynąć, jak zamierzał pierwotnie, z brzemieniem zbrodni i bogactw.

Wobec przejęcia się podobnym niepokojem trudno mi przychodziło dotrzymywać kroku rozpędzonym i rozgorączkowanym zdobywcom skarbów. Kilkakrotnie potykałem się, wtedy Silver szarpał mnie brutalnie za postronek i miotał na mnie zabójcze spojrzenia. Dick, który toczył się za nami i tworzył naszą straż tylną, mrucał pod nosem na przemian modlitwy i przekleństwa, w miarę jak wzmagała się w nim gorączka. To również zwiększało moją rozpacz; na dobitkę prześladowała mnie myśl o tragedii, która niegdyś rozegrała się na tej wyżynie, gdy ów bezbożny rozbójnik z siną twarzą, który umarł w Savannah, śpiewając i wołając, by mu dano pić, własnoręcznie zgładził tu

sześciu swych wspólników. Przychodziło mi na myśl, że te zarośla, które teraz były tak spokojne, musiały wówczas rozbrzmiewać krzykiem, a sama ta myśl wywoływała we mnie wrażenie, że słyszę jeszcze ową wrzawę i jęk...

Byliśmy już na samym skraju gęstwiny.

- Hura! Społem, druhowie! - krzyknął Merry i począł biec jeszcze zapalczywiej.

Nagle niespełna o dziesięć jardów dalej ujrzeliśmy, że się zatrzymali. Wzbił się zdławiony okrzyk. Silver podwoił krok, migając rąco szczudłem niby prawdziwą nogą, a w chwilę później i on, i ja stanęliśmy również w miejscu jak skamieniali.

Przed nami znajdowała się wielka jama nie bardzo świeża, gdyż ściany już się rozwalaly i trawa wyrosła na dnie. Spoczywał tam rozłupany na dwoje trzonek kilofa oraz kilka desek rozrzuconych bezładnie, a pochodzących ze skrzyń do pakowania. Na jednej z tych desek ujrzałem wypalony żelazem napis: Koń Morski. Była to nazwa okrętu Flinta...

Wszystko było jasne jak na dłoni. Ktoś odkrył i ograbił kryjówkę; siedemset tysięcy funtów przepadło!

## Porażka herszta

W jednej chwili nastąpił niebywały wprost przewrót. Każdy z sześciu rzeźmieszków był jakby rażony piorunem. Lecz Silver prawie natychmiast otrząsnął się z osłupienia. Wszystkie myśli, które go nurtowały, zmierzały tylko niby koń wyścigowy ku jednemu celowi: zdobyciu złota; toteż i on stracił na chwile głowę. Jednakże wnet odzyskał przytomność i pewność siebie i zmienił plan, zanim inni mieli czas ujawnić czynnie swe rozgorzyczenie.

- Jimie - szepnął - weź to i bądź przygotowany na wszystko! To mówiąc wręczył mi dwustrzałowy pistolet, a równocześnie

zaczął spokojnie posuwać się ku północy i w kilku krokach odsądził się tak, iż jama przegrodziła nas dwóch od pięciu pozostałych. Potem spojrział na mnie i skinął, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jesteśmy przyparci do muru”, co moim zdaniem było zgodne z rzeczywistością. Jego spojrzenie było teraz wcale przyjazne. Byłem tak rozjątrzony tymi ciągłymi zmianami, że nie mogłem się powstrzymać od szeptu:

- Aha! Więc znowu zwinąłeś chorągiewkę w inną stronę. Nie pozostało mu już czasu na odpowiedź. Rozbójnicy poczęli

jeden po drugim, z krzykiem i złorzeczeniami, wskakiwać do jamy i grzebać palcami, odrzucając wśród tego deski na bok. Morgan znalazł sztukę złota i podniósł ją w górę, sypiąc istnym gradem przekleństw. Była to moneta wartości dwóch gwinei i przechodziła między nimi z rąk do rąk przez jakie ćwierć minuty.

- Dwie gwinee! - ryknął Merry wymachując pieniądzem w stronę Silvera. - To ma być twoje siedemset tysięcy funtów!

Toś ty prowadził te konszachty, nieprawdaż? Toś ty był tym człowiekiem, który nigdy nie pokpił sprawy? Ty łotrze! Ty łbie kapuściany!

- Kopcie dalej, chłopcy! - rzekł Silver zimno i hardo. - Znajdziecie parę truflí i nie będę się temu dziwił.

- Truflí! - powtórzył Merry przedrzeźniając. - Towarzysze, czy słyszycie? Mówię wam teraz, że ten człowiek od dawna wiedział o wszystkim. Spójrzcie no na jego twarz, a zobaczycie to tam napisane!

- Oho, Merry! - zadrwił Silver. - Znów stajesz się samo-zwańczym kapitanem! Chwacki z ciebie młodzian, nie ma co mówić!

Tym razem jednak wszyscy jak jeden mąż oświadczyli się po stronie Merry'ego. Poczęli wylazić z dołu, rzucając poza siebie wściekłe spojrzenia. Zauważyłem jedno, co dobrze nam wróżyło: wszyscy wydostali się na stronę przeciwną tej, po której stał Silver.

Ostatecznie stało nas dwóch po jednej stronie dołu, a pięciu po drugiej i nikt nie ważył się zadać pierwszego ciosu. Silver ani drgnął; podparty na szczudle, śledził przeciwników, a spoglądał chłodnym wzrokiem jak zawsze. Był on odważny, co do tego nie było wątpliwości.

W końcu Merry widocznie pomyślał, że przemową poprawi sytuację.

- Towarzysze! - odezwał się - ich jest tylko dwóch: jeden z nich to stary kuternoga, który nas tu wszystkich przywiódł i oszukał nieszczemnie, drugi zaś to ten smarkacz, któremu mam ochotę wypruć serce! No, kamraci...

Podniósł ramię i głos i otwarcie już zamierzał przypuścić szturm do nas. W tejże chwili jednak - paf! paf! paf! - trzy wystrzały muszkietowe huknęły z zarośli. Merry runął w jamę głową na dół. Człowiek z obwiązaną głową okręcił się wkoło jak bąk, upadł jak długi na bok i wił się w skurczach przedśmiertnych, trzej zaś pozostali wykonali zwrot w tył i co sił poczęli uciekać.

Zanimby ktoś zdołał mrugnąć, już Długi John wypalił z obu luf pistoletu do usiłującego powstać Merry'ego. Gdy ów w ostatniej męce konania zwrócił ku niemu oczy, Silver zaśmiał się:

- George, zdaje mi się, że już z tobą kwita!

W tej samej chwili spoza drzew muszkietowych wyszli ku nam: doktor, Gray i Ben Gunn z dymiącymi muszkietami.

- Naprzód! - krzyknął doktor. - Zdwoić szybkość, moi chłopcy! Musimy im odebrać czółna.

Ruszyliśmy szparkim krokiem, pogrążając się niekiedy po pachy w krzakach. Podkreślić jednak muszę, że Silver ledwie mógł za nami nadążyć. Trudy, jakie przechodził podskakując na szczudle, aż omal nie zerwał sobie mięśni na piersiach, były tak wielkie, że nie wytrzymałby ich nawet zdrowy człowiek. Takie było też zdanie doktora. Dlatego pozostał już o trzydzieści jardów za nami i znać po nim było doszczętne wyczerpanie, gdyśmy już dosięgali krawędzi zbocza.

- Doktorze! - zawołał. - Niech pan patrzy! Niepotrzebny pośpiech!

Zapewne, nie było się czego śpieszyć. W bardziej odsłoniętej połaci płaskowyżu ujrzeliśmy trzech niedobitków biegnących wciąż w tym samym kierunku, w którym pierzchali na początku - wprost ku wzgórzu Bezanmasztu. Byliśmy już pomiędzy nimi a łodziami; usiedliśmy więc we czterech, aby wytchnąć, a Długi John ocierając twarz przywłókł się z wolna do nas.

- Uprzejmie panu dziękuję, panie doktorze - przemówił. - Pan przybył jak na zawołanie, w samą porę dla mnie i Hawkinsa. A to ty tu jesteś, Ben Gunn! Ho! Ho! Ładnie wyglądasz, nie ma co mówić!

- Tak, to ja jestem Ben Gunn, to ja... - odpowiedział zesłaniec w zakłopotaniu wijąc się jak piskorz, a po długiej przerwie dodał:

- A jak ty się miewasz, mości Silver! Dziękuję ci, bardzo dobrze! Jak mówisz...

- Ben! Ben - mrucał Silver. - Pomyśleć sobie, żeś to ty mnie tak urządził!

Doktor posłał Graya po jeden z kilofów, porzucony w ucieczce przez buntowników, a następnie, gdy kroczyliśmy noga za nogą po stoku wzgórza do miejsca, gdzie stały czółna, opowiedział mi w kilku słowach wszystko, co zaszło. Była to historia, która niezmiernie zaciekała Silvera, a bohaterem jej od początku do końca był Ben Gunn, ów głupkowany zesłaniec.

On to podczas długiego, samotnego wałęsania się po wyspie znalazł nieboszczyka - i on to go ograbił. On znalazł skarb i wykopał go. Do niego należał złamany trzonek kilofa, który pozostał w jamie. On przeniósł swą zdobycz na plecach w wielu uciążliwych wędrówkach od podnóża wysokiej sosny do jaskini, którą miał na dwuwierzchołkowym wzgórku w północno-wschodnim zakątku wyspy. Tam też leżały w bezpiecznym schowku nagromadzone bogactwa, już na dwa miesiące przed przybyciem Hispanioli.

Otóż po południu w dzień bitwy doktorowi udało się wyciągnąć z niego tę tajemnicę, gdy zaś nazajutrz rano zobaczył przystań opuszczoną, udał się do Silvera i oddał mu mapę, która stała się już nieużyteczna, oddał mu zapasy, ponieważ jaskinia Ben Gunna była suto zaopatrzona w mięso kozłów, własnoręcznie przez niego solone - słowem - oddał wszystko, byleby uzyskać możliwość bezpiecznego przeniesienia się z warowni na wzgórze o dwóch wierzchołkach, wolne od zarazków malarii i zapewniające nadzór nad pieniędzmi.

- Co do ciebie zaś, Jimie, przychodziło mi to bardzo ciężko, lecz czyniłem, co uważałem za najlepsze dla tych, którzy wytrwali na wyznaczonym miejscu. Jeżeli nie byłeś jednym z nich, czyja to wina?

Gdy przekonał się, że padłem ofiarą owego strasznego zawodu, jaki zgotował opryszkom, pobiegł co tchu do jaskini i pozostawiwszy kapitana pod opieką dziedzica, wziął z sobą Graya i Gunna i ruszył na przełaj przez wyspę, aby co rychlej dotrzeć do sosny. Wkrótce jednak zobaczył, że nasz oddział znacznie go wyprzedza, wysłał więc naprzód Ben Gunna, który był rączy w nogach, dając mu zupełną swobodę działania. Gunnowi przyszło na myśl wyzyskać zabobonność swych dawnych współtowarzyszy. Udało mu się to wybornie, tak iż i Gray, i doktor przybyli na miejsce i urządzili zasadzkę jeszcze przed przybyciem poszukiwaczy skarbów.

- Ach - rzekł Silver - całe dla mnie szczęście, że miałem przy sobie Hawkinsa! Waszmość, panie doktorze, pozwoliłbyś na to, żeby starego Johna pocięto na kawałki i nawet byś się tym nie przejął?

- Nawet bym się nie przejął - odrzekł doktor Livesey pogodnie.

Tymczasem doszliśmy do czółen. Doktor pogruchotał jedno z nich kilofem, po czym wszyscy wsiedliśmy do drugiego i odbiliśmy od brzegu, by okrężną drogą przez morze zawinąć do Zatoki Północnej.

Droga ta liczyła dziewięć do dziesięciu mil. Silver, choć półżywy ze zmęczenia, ujął wiosło jak my wszyscy i niebawem pomykaliśmy szybko po spokojnym morzu. Wkrótce wypłynęliśmy z cieśnin i okrążyliśmy południowowschodni cypel wyspy, dokoła którego przed czterema dniami holowaliśmy Hispaniolę.



Gdy mijaliśmy wzgórek o dwu wierzchołkach, spostrzegliśmy ciasną gardziel jaskini Ben Gunna, a około niej stojącą postać, opartą na muszkiecie. Był to dziedzic. Zaczęliśmy powiewać ku niemu chusteczką i zahuczeliśmy podwójnym wiwatem, do którego dołączył się głos Silvera, brzmiący tak serdecznie jak okrzyk każdego z nas.

O trzy mile dalej, przy samym wylocie Zatoki Północnej, kogóż mogliśmy napotkać, jak nie Hispaniolę pływającą jak jej Bóg i wiatr zdarzył! Ostatni przyptyw podniósł ją. Gdyby tu jednak zerwał się większy wiatr albo silny prąd przy odpływie jak w przystani południowej, nie znaleźlibyśmy jej nigdy albo też porzuconą beznadziejnie na lądzie. W obecnym położeniu nie było poważniejszych strat oprócz zepsucia żagla wielkiego. Przystosowaliśmy rychło drugą kotwicę i zarzuciliśmy ją na półtora sążnia pod wodę. Powiosłowaliśmy wszyscy znów okrężną drogą do Zatoki Rumu, skąd było najbliżej do skarbcza Ben Gunna, po czym Gray w pojedynkę powrócił z czółnem do Hispanioli, gdzie miał spędzić noc na straży.

Od wybrzeża do wejścia jaskini wiodła łagodna pochyłość. Dziedzic oczekiwał nas na szczycie. Względem mnie był serdeczny i uprzejmy. O mej ucieczce nawet nie wspomniał - ani w formie wymówki, ani pochwały. Grzeczny ukłon Silvera przejął go gniewem.

- Johnie Silverze - rzekł - jesteś wstrętnym łotrem i oszustem, obrzydliwym oszustem, mój panie. Obiecałem, że nie będę cię prześladował. Dobrze więc, nie będę. Ale pomordowani ludzie ciążą na twojej szyi, mój panie, jak kamienie młyńskie.

- Dziękuję panu uprzejmie - odpowiedział Długi John kłaniając się powtórnie.

- Powinieneś mi być wdzięczny! - zawołał dziedzic. - Jest to wielkie zaniedbanie mej powinności! Odejdź.

Zaraz potem wszyscy weszliśmy do jaskini. Była obszerna i pełna powietrza: zawierała małe źródółko i sadzawkę czystej wody obwieszoną paprociami. Klepisko było wysypane piaskiem. Przed ogniskiem leżał kapitan Smollet, a w ustronnym kącie, blado oświetlonym odbłyskami ognia, spostrzegłem wielkie kupy pieniędzy i czworoboczne sagi sztab złota. To był skarb Flinta, na którego poszukiwanie przyjechaliśmy z tak daleka i który został okupiony życiem siedemnastu ludzi z załogi Hispanioli. Jaką ceną zapłacone było jego nagromadzenie, ile kosztowało krwi i cierpień... ile świetnych statków dla niego zatopiono... ile dzielnych ludzi poszło na rusztowanie z zawiązanymi oczyma... ile padło strażów armatnich... ile ciążyło na nim hańby, kłamstwa i okrucieństwa - tego może nikt z żyjących nie umiałby opowiedzieć. Jeszcze pozostało trzech ludzi na tej wyspie: Silver, stary Morgan i Ben Gunn, którzy brali udział w tych zbrodniach i którzy na próżno spodziewali się, że wezmą udział w nagrodzie.

- Chodź no tu, Jimie - rzekł kapitan. - Jesteś doskonałym chłopcem w swoim zawodzie, ale nie sądzę, żebyś popłynął jeszcze raz ze mną na morze. Zanadto cię polubiłem, mój chłopcze. Czy to ty, Johnie Silverze? Co cię tu przywiodło, człowieku?

- Chcę powrócić do swych obowiązków, panie - odrzekł Silver.

- Aha! - burknął kapitan i to było wszystko, co powiedział.

Jakąż biesiadę miałem tego wieczora widząc wszystkich przyjaciół dokoła siebie! Jakież były wspaniałe potrawy, począwszy od koziego mięsa, solonego przez Ben Gunna, a kończąc na smakołykach i butelce starego wina z Hispaniolil Jestem pewny, że nigdy ludzie nie byli weselsi i szczęśliwsi. Był przy nas i Silver, który siedział za nami prawie poza zasięgiem blasków ogniska, lecz jadł zawzięcie, zawsze gotów do usług, gdy czegoś było potrzeba, a nawet przyłączał się niefrasobliwie do naszych śmiechów. Słowem, był to ten sam układny, wytworny i nadskakujący marynarz, co i na początku naszej podróży.

## Rozdział trzydziesty czwarty i ostatni

Nazajutrz zabraliśmy się do roboty wcześniej, ledwo rozedniało, gdyż przenoszenie olbrzymich ładunków złota prawie przez milę drogą lądową ku wybrzeżu i przewożenie ich stąd łodzią trzy mile do Hispanioli było dziełem uciążliwym dla tak szczupłej liczby pracowników. Obecność trzech łotrów na wyspie nie bardzo nas niepokoiła, gdyż jeden posterunek na występie wzgórza mógł nas dostatecznie zabezpieczyć przed nagłym napadem: zresztą myśleliśmy, że chyba walka obmierzała im już całkowicie.

Dlatego też praca wartko posuwała się naprzód. Gray i Ben Gunn jeździli łodzią tam i z powrotem, gdy tymczasem pod ich niebytność reszta nas dostawiała skarb do wybrzeża. Dwie takie sztaby, przywieszzone na pętlicy powroza, stanowiły nie lada brzemień dla dorosłego człowieka - dobrze, że można było iść z nimi pomału. Ja, ponieważ nie nadawałem się bardzo do noszenia, miałem przez dzień cały zajęcie w jaskini i wsypywałem bitą monetę do skrzynek od sucharów.

Był to zbiór dziwny, różnorodnością znaków menniczych podobny do majątku Billa Bonesa, lecz wielokrotnie większy i bardziej urozmaicony, tak że chyba nigdy w życiu nie miałem tyle zajęcia, co wówczas przy sortowaniu tych pieniędzy. Znajdowały się tu monety angielskie, francuskie, hiszpańskie, portugalskie, dzordże i ludwiki, dublony i dwugwinee, luidory i cekiny, wizerunki wszystkich królów europejskich z ostatniego stulecia, dziwaczne blaszki wschodnie, na których desenie wyglądały jak poplątane sznurki lub strzępy pajęczyny, monety okrągłe i kwadratowe, przedziura wionę w środku, jak gdyby do noszenia ich na szyi - niemal wszystkie rodzaje monet, jakie tylko istniały na ziemi, mieściły się w tym zbiorowisku. Co się tyczy ilości, jestem przekonany, że było ich tyle, co liści jesienią, tak iż krzyże bolały mnie od schylania się, a palce od ciągłego przebierania.

Dzień za dniem upływał przy tej robocie. Z każdym wieczorem pomnażały się zasoby na okręcie, lecz jeszcze inne zasoby czekały do dnia następnego. Przez cały ten czas nie było ani słychu o trzech żyjących jeszcze opryskach.

Wreszcie - zdaje mi się, że było to na trzecią noc - doktor i ja przechadzaliśmy się po występie wzgórza, w miejscu gdzie zwraca się ono ku nizinnym częściom wyspy, gdy wtem z głębi nieprzebitej ciemności wiatr przyniósł nam jakiś odgłos, ni to krzyk, ni to śpiew. Jedyne urywki tej wrzawy doszły do naszych uszu, po czym znów zapadła cisza jak przedtem.

- Niech niebo ma ich w swej opiece! - odezwał się doktor. - To buntownicy.

- Pijani jak baki, panie łaskawy! - zabrzmiał za nami głos Silvera.

Silver, powinienem wyjaśnić, był pozostawiony zupełnie na wolnej stopie, a pomimo codziennych docinków i obojętności z naszej strony uważał się jakby znowu za uprzywilejowanego i przyjaznego naszego podwładnego. Doprawdy była to rzecz zadziwiająca, jak łatwo znosił swe upokorzenie i z jak nieznośną grzecnością usiłował wciąż zaskarbić sobie nasze łaski. Jednakże, jak mi się zdaje, każdy tu odnosił się doń jak do psa. Wyjątkiem był tylko Ben Gunn, który okropnie się bał swego dawnego kwatermistrza, i ja, który czułem istotnie dla niego pewną wdzięczność, choć

miałem powody, by mieć o nim gorsze niż inni wyobrażenie, gdyż widziałem, jak na płaskowyżu obmyślał był nową zdradę. Toteż doktor odpowiedział mu bardzo zgryźliwie:

- Pijani albo mającą w gorączce.

- Ma pan słuszość - odparł Silver - ale zarówno dla pana, jak i dla mnie małą to stanowi różnicę.

- Przypuszczam, że nie będziesz mnie prosił, żebym cię nazwał człowiekiem litościwym - rzekł na to doktor drwiąco - więc moje uczucia mogą cię zadziwiać, panie Silver. Gdybym wiedział na pewno, że mającą (a jestem moralnie przekonany, że przynajmniej jeden z nich zapadł ciężko na febrę), opuściłbym to obozowisko i jakkolwiek naraziłbym własne życie, starałbym się im dopomóc swą umiejętnością.

- Przepraszam pana, ale postąpiłby pan bardzo źle! - odpowiedział Silver. - Mógłby pan postradać swe drogocenne życie, może być pan tego pewny. Jestem teraz ciałem i duszą po waszej stronie i nie życzyłbym sobie, żeby nasza drużyna została uszczuplona i żebyś waszmość miał być pozostawiony sam, bo wiem dobrze, co waćpanu zawdzięczam. Ale tamci ludzie nie mogą dotrzymać słowa... nie, nie przypuszczam, by chcieli to uczynić, a co więcej, nie uwierzą panu tak jak pan im.

- Nie! - odpowiedział doktor. - Ty jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa, dobrze wiemy o tym.

W każdym razie były to niemal ostatnie wieści o trzech piratach. Tylko raz usłyszeliśmy strzał z rusznicy w znacznym oddaleniu i przypuszczaliśmy, że polują. Zwołaliśmy naradę, na której postanowiono, że musimy pozostawić ich na wyspie - ku niezmiernej, muszę powiedzieć, radości Ben Gunna i za silnym poparciem ze strony Graya. Zostawiliśmy im znaczny zapas prochu i kuł, sporą porcję solonego koziego mięsa, trochę lekarstw i nieco innych niezbędnych rzeczy, narzędzi, odzieży, zbyteczny żagiel, kilka sążni sznura, a także na specjalne życzenie doktora niezgorszą porcję tytoniu.

Na tym zakończył się nasz pobyt na wyspie. Przedtem jeszcze załadowaliśmy skarby, nabraliśmy dostatek wody i wzięliśmy resztę koziego mięsa, na wypadek jakiejś nieprzewidzianej potrzeby. Na koniec pewnego pięknego poranku podnieśliśmy kotwicę, co było bodaj jedyną czynnością, którą zdołaliśmy wykonać, i odpłynęliśmy z Zatoki Północnej. Nad nami powiewała ta sama bandera, którą kapitan rozwinął był i za którą walczył w warowni.

Jak wkrótce stwierdziliśmy, trzej korsarze śledzili nas lepiej, niż przypuszczaliśmy. Przedostając się bowiem przez cieśninę musieliśmy przybliżyć się do cypla południowego, tam zaś ujrzeliśmy wszystkich trzech klęczących na wydnie piaszczystej, z rękami wzniesionymi błagalnie do góry. Wszystkim nam żal się zrobiło pozostawiać ich w tym oplakany położeniu, lecz niepodobna się było narażać na powtórny rokosz, a zabierać ich z sobą do domu, by znaleźli śmierć na szubienicy, byłoby okrucieństwem. Doktor począł wołać w ich stronę, zawiadamiając ich o zapasach, któreśmy im zostawili, i o tym, gdzie mają je odnaleźć. Oni jednakże w dalszym ciągu wołali nas po imieniu i błagali nas na litość boską, żebyśmy się zmiłowali i nie porzucali ich na śmierć niechybną w takim miejscu.

Na koniec widząc, że okręt nie zmienia kierunku i chyżo oddala się od miejsca, gdzie ich wołania mogły być dosłyszalne, jeden z nich - nie wiem, który to mógł być - zerwał się na równe nogi z chrapliwym okrzykiem, złożył się muszkietem do ramienia i wystrzelił. Kula bżyknęła nad głową Silvera i przebiła grotzagiel.

Natychmiast pochowaliśmy się za burty, a gdy znów wyjrzałem, oni zniknęli już z wydmy, a sama wydma rozpływała się przed oczyma i zniknęła w rosnącej odległości. Tak skończyło się owo zajście. Jeszcze przed południem, ku mej niewysłowionej uciecze, najwyższy wierzchołek Wyspy Skarbów roztopił się w błękicie morza.

Mieliśmy tak niewielu ludzi, że każdy z jadących na okręcie musiał przykładać rękę do pracy. Jedynie kapitan leżał na materacu na rufie i wydawał rozkazy, mimo bowiem znacznej poprawy zdrowia potrzebował wciąż jeszcze wypoczynku. Zdążaliśmy do najbliższego portu w Ameryce hiszpańskiej, gdyż bez świeżych sił marynarskich nie mogliśmy przedsięwziąć podróży do ojczyzny. Zanim jednak tam dotarliśmy, przekorne wiatry i niespodziane nawałnice sprawiły, że opadaliśmy zupełnie z sił.

Był właśnie zachód słońca, gdy zapuściliśmy kotwicę w czarow-nej, okolonej lądem zatoce; natychmiast otoczyły nas wiankiem łódzie pełne Murzynów, Indian meksykańskich i Metysów, sprzedających owoce i warzywa i gotowych nurkować za rzuconą w morze monetą.

Widok tyłu wesoło nastrojonych twarzy, zwłaszcza czarnych, smak wyborny owoców podzwrotnikowych, a nade wszystko światła, które poczynały migotać w mieście, tworzyły uroczy kontrast z naszym niedawnym pobytom na ponurej i krwawej wyspie. Doktor i dziedzic wzięwszy mnie ze sobą poszli na ląd, aby tam spędzić czas przed nastaniem nocy. Tu spotkali kapitana angielskiego okrętu wojennego, wdali się z nim w rozmowę, poszli w odwiedziny na pokład jego okrętu i krótko mówiąc, przepędzili czas tak przyjemnie, że był już brzask dnia, gdy powróciliśmy na Hispamolę.

Ben Gunn pozostał sam jeden na pokładzie, a gdy wróciliśmy na okręt, począł z dziwnymi wykrętami robić nam wyznanie. Silver uciekł! Gunn uległ był jego namowom i przed kilku godzinami dopomógł mu do ucieczki w łódce indiańskiej, teraz zaś zaklinał się, że uczynił to jedynie w celu zabezpieczenia naszego życia, które niewątpliwie byłoby wystawione na szwank, gdyby „ten człowiek z jedną nogą pozostał na okręcie”. Nie było to jednak wszystko. Kucharz okrętowy nie czmychnął z próżnymi rękoma. Niepostrzeżenie wdarł się do składu i zabrał stamtąd jeden z worów pieniędzy, wartości trzystu lub czterystu gwinei, aby ułatwić sobie dalszą wędrówkę.

Sądzę, że wszyscyśmy byli radzi, iż tak tanim kosztem uwolniliśmy się od niego.

Żeby już zakończyć to długie opowiadanie, powiem, że najęliśmy kilku nowych marynarzy, odbyliśmy bez przeszkód drogę do domu, a Hispaniola zawinęła do Bristolu akurat wtedy, gdy pan Blandly zamyslał wyprawić w drogę statek konwojowy. Z tych ludzi, którzy na niej żeglowali, powracało tylko pięciu: „Diabli i trunek resztę bandy wzięli”, przyszła pomsta i kara. Bądź co bądź, nie byliśmy jeszcze w tak srogich opałach jak inny jakiś okręt, o którym śpiewali:

Jeden ocalai z całej tej załogi,

Choć siedemdziesięciu ruszyło do drogi.

Każdy z nas otrzymał sowiłą część skarbów i użył ich mądrze lub nierozsądnie - zależnie od swego charakteru i upodobań. Kapitan Smollet już zerwał z morzem. Gray nie tylko zaoszczędził swoje pieniądze, lecz opanowany naraz chęcią dobiecia się wyższego stanowiska, zaczął kształcić się w swym zawodzie; obecnie jest sztormanem i współwłaścicielem pięknej fregaty, ożenił się i został ojcem rodziny. Co się tyczy Ben Gunna, dostał on tysiąc funtów, które wydał czy roztrwonił w ciągu trzech tygodni lub powiedziawszy ściślej dziewiętnastu dni, gdyż dwudziestego dnia poszedł żebrać. Wówczas dostał posadę odźwiernego, właśnie tę, której tak bardzo obawiał się na wyspie. Żyje jeszcze do dziś dnia jako wielki ulubieniec wiejskich chłopców, dworujących sobie nieraz z niego, i jako wyborny śpiewak kościelny w niedzielę i dni świąteczne.

O Silverze nie słyszałem już nigdy. Ten straszny marynarz zjedną nogą przestał wreszcie być zmorą mego życia i przepadł gdzieś bez śladu. Prawdopodobnie spotkał się ze swą starą Murzynką i może jeszcze żyje szczęśliwie z nią i z Kapitanem Flintem, w każdym razie bardzo mało jest prawdopodobieństwa, żeby miał zaznać szczęścia na tamtym świecie.

Sztaby srebra i broń jeszcze spoczywają, o ile mi wiadomo, tam gdzie zakopał je Flint, życzę im, żeby spoczywały tam spokojnie na wieki. Wołami i powrozami nikt mnie nie zaciągnie powtórnie na tę przeklętą wyspę! Najgorsze sny, jakie miewam, to te, w których słyszę bałwany łomocące zaciekle dokoła jej brzegów lub gdy zrywam się z łóżka, a w uszach dzwoni mi utrapiony i przeraźliwy głos „kapitana Flinta”:

- Talary! Talary! Talary!

---

[1] Lugier – żaglowiec pobrzeżny.

[2] Dirk - sztylet, majcher. Wszyscy prawie korsarze, o których mowa w tej powieści, mają dziwne nazwiska: Flint to krzesiwo, Pew - klęcznik, Silver - srebro itp. (przyp. tłum.)

[3] Okręt - the ship - jest w języku angielskim rodzaju żeńskiego, marynarze często nazywają go po prostu she - ona (przyp tłum.)